



jantarowe szlaki



KWARTALNIK TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZY WOJEWÓDZTW PÓLNOCNÝCH

ROK XXXI

NR 4 (210)

1988 ROK



Władysław Kazimierz Wojewódzki	
Elektrownia Jądrowa w Budowie	1
Apel do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku	3
Slupskie przygotowania do IV Kongresu Krajoznawczego — Opole 1990	4
Edward Klamann	
Zarys dziejów Zakonu Dominikańskiego w Gdańsku (I)	5
Czesław Piskorski	
Budownictwo sakralne w województwie slupskim	13
Jerzy Glowacki	
Kościół parafialny w Czersku	18
Kazimierz Jaśkiewicz	
Pierwszy pobyt Zygmunta III Wazy w Gdańsku	20
Władysław Kazimierz Wojewódzki	
Gdański Ogród Zoologiczny	21
Jolanta Stahr	
O kolei żelaznej, o siedzibie Dyrekcji Kolei i o Muzeum Kolejnictwa w Gdańsku	23
Jan A. Kamiński	
100 lat temu ruszył pociąg w Świeciu nad Wisłą	28
Kazimierz Jaśkiewicz	
Jubileusz Świecia	29
Alfons Lemański	
Klasztorok	29
Hanna Adamczyk	
Biskup warmiński Andrzej Batory	31
Roman Klim	
Ostatnie czolny lebskie	32
Władysław Kazimierz Wojewódzki	
Piecki	33
Wojciech Turek	
Konfederaci barsey w Gdańsku	35
Alfons Lemański	
Źródło koło Kwidzyna	38
Andrzej Wyszkowski	
Od Fausta Socyna do Andrzeja Wajdy	39
Roman Klim	
W kręgu Brdy	41
Andrzej Michalezyk	
Kajakiem po Mazurach	47
Andrzej Wyszkowski	
Ignacy Prądzyński na Suwalszczyźnie	50
Jerzy Kuligowski	
Technika video w pracy krajoznawczej	51
Stanisław Poręba	
Ignacy Żniński — ojciec polskiego krajoznawstwa w Grudziądzu	53
Bernard Konarski	
Andrzej Benesz	54
Janusz Umiński	
Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w Tucholi w latach 1926—1939	59
Jubileusz Edwina F. Kozłowskiego	62
Dziesięciolecie Oddziału PTTK „Lubiana”	63
Kazimierz Jaśkiewicz	
Baltexpo '88	64

I stałe działy: Z życia PTTK, Listy, Przegląd Wydawnictw i Kronika.

**KWARTALNIK ODZNACZONY
ODZNAKĄ HONOROWĄ ZASŁUŻONYM ZIEMI GDAŃSKIEJ
ZŁOTĄ HONOROWĄ ODZNAKĄ PTTK
ORAZ
ZŁOTĄ ODZNAKĄ ZA OPIEKĘ NAD ZABYTKAMI**



Widok na zaplecze budowy Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec”.

Fot. S. Wiesiołowski

ROK XXXI

NR 4 (210) 1988 R.

CENA 100 ZŁ

Wydawca: Zarząd Oddziału PTTK w Gdańsku przy współpracy Zarządów Wojewódzkich PTTK województw północnych.

Redaguje: Kolegium w składzie: Włodzimierz Gaworecki — przewodniczący, Roman Bar (Gdańsk), Józef Cieplik (Slupsk), Roman Gębicz (Elbląg), Bernard Konarski (Koszalin), Edwin Kozłowski (Gdańsk), Wojciech Lipnacki (Szczecin), Edwin Rozenkranz (Gdańsk), Czesław Skonka (Gdańsk), Jerzy Szukalski (Gdańsk), Janusz Umiński (Bydgoszcz), Andrzej Wyszkowski (Olsztyn) i Janusz Zaremba (Kwidzyn).

Redakcja: Władysław Kazimierz Wojewódzki — redaktor naczelny, Edward Breza, Edmund Gilla — redaktor techniczny, Kazimierz Jaśkiewicz, Edward Klamann — sekretarz redakcji, Jerzy Kuligowski (Bydgoszcz), Leonard Rozenkranz, Lech Sarosiek (Szczecin) — zastępca naczelnego redaktora i Marek Sperski.

Adres redakcji: Zarząd Wojewódzki PTTK w Gdańsku, ul. Ogarna 72, parter, I wejście, pok. 1, tel. 31-14-88. Adres dla korespondencji: Zarząd Wojewódzki PTTK skr. poczt. 147, 80-950 Gdańsk — Redakcja Jantarowe Szlaki. Adres z-cy redaktora naczelnego: Zarz. Woj. PTTK, plac Batorego 2, 70-207 Szczecin, tel. 379-30.

Elektrownia Jądrowa „Żarnowiec” w Budowie

Szybki rozwój gospodarki pociąga za sobą ogromny wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną. Wpływa na to postęp elektryfikacji rolnictwa i transportu, większe zużycie na cele komunalno-ciepłownicze, wyższe wyposażenie gospodarstw domowych w urządzenia elektryczne. W zużyciu energii elektrycznej na jednego mieszkańca — 3,7 tys. KWh rocznie — znajdujemy się daleko za krajami wysoko rozwiniętymi. Zapotrzebowanie na energię elektryczną będzie stale wzrastać. Wymaga to szybkiej budowy nowych i modernizacji istniejących elektrowni. W tej sytuacji rozpoczęto w 1982 r. budowę pierwszej w Polsce jądrowej elektrowni, zlokalizowanej nad Jeziorem Żarnowieckim, 18 km od Wejherowa.

Budowa ta od samego początku posiada tyłu zwolenników, co przeciwników, a w Trójmieście tych przeciwników jest zdecydowanie więcej. Przecież z Żarnowca do Gdańska jest 52 km, do Sopotu 45 km, a do Gdyni tylko 35 km. Po wypadkach w Czarnobylu żadne odległości nie wydają się bezpieczne, a przecież Trójmiasto wraz z przylegającym terenem zamieszkuje prawie milion ludzi. Nie ma się więc co dziwić, że budowa ta wywołała wśród mieszkańców województwa gdańskiego ogromne zaniepokojenie i wiele wątpliwości. O sprawach tych ukazało się w naszej prasie wiele artykułów.

Budowa elektrowni jądrowej w Żarnowcu trwa już 6 lat. Co słychać obecnie na tej budowie, jak przedstawia się aktualny stan robót? Jest 20 lipca 1988 r., jestem w Żarnowcu w biurach Głównego Inwestora Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec” w Budowie, rozmawiam ze Specjalistą do Spraw Informacji Prasowej, mgr. Wiesławem Szlendakiem.

Faktycznie budowę rozpoczęto w kwietniu 1982 r. Początek wyglądał w ten sposób, że wykonawcy weszli na łąki i pola, gdzie miała stanąć elektrownia i rozpoczęło plantowanie terenu, budowę dróg dojazdowych, pierwszych baraków i magazynów. W kwietniu 1982 r. wbito pierwszą łopatę w łąki nad Jeziorem Żarnowieckim, ale naprawdę prace przy obiekcie podstawowym rozpoczęto dopiero w 1985 r., a betonowanie pierwszej płyty na wiosnę 1986 r.

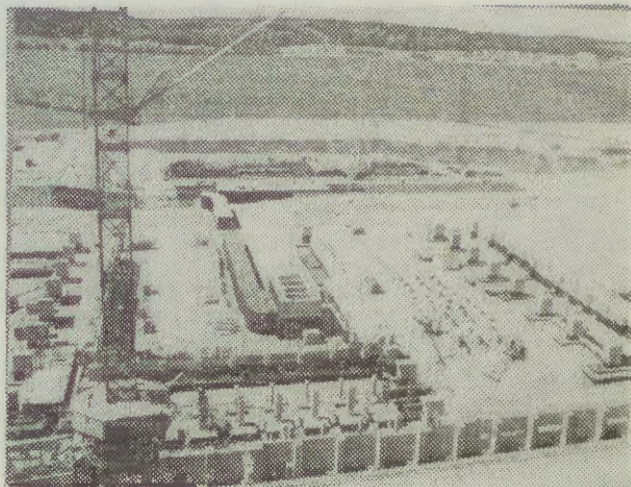
W tym miejscu warto wyjaśnić, że żarnowiecka elektrownia ma posiadać 4 bloki energetyczne o mocy 465 MW każdy, ogólna moc całej elektrowni wynosić będzie zatem 1860 MW (1 MW = 1 000 000 W — wyj. W.K.W.). W każdym bloku zainstalowany będzie reaktor jądrowy typu WWER-440, wodno-ciśnieniowy, opracowany w ZSRR, a wykonany w CSSR. Przed rozpoczęciem budowy pierwszy blok planowano oddać do użytku w 1990 r., a budowę zakończyć całkowicie w 1994 r.

Stan robót jest obecnie nieco opóźniony i realne zakończenie pierwszego bloku można przewidywać w latach 1991 — 1992, natomiast całkowite zakończenie budowy w latach 1996—1997. Opóźnienia zostały spowodowane między innymi trudnymi warunkami zimowymi, brakiem odpowiednio wystarczającej ilości sprzętu, szczególnie pomp do betonu i ciężkich dźwignów, niewystarczającego i nierytmicznego zaopatrzenia budowy w materiały, przede wszystkim w stal zbrojeniową i gazy techniczne, okresowych braków w dostawach cementu z Ożarowa, brakiem wykwalifikowanej siły roboczej. Obecnie przy budowie tego obiektu zatrudnionych jest około 6000 osób z 50 firm kooperujących, w tym pracowników bezpośrednio produkcyjnych 4200. W przyszłości przewiduje się, że elektrownia będzie zatrudniać 1600 — 1800 pracowników.

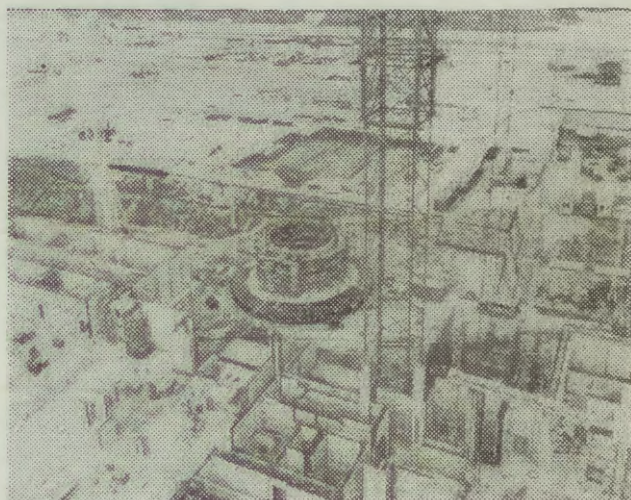
Obecny plac budowy obejmuje powierzchnię 200 ha, natomiast przyszła elektrownia będzie zajmowała powierzchnię 70 ha. Strefa ochronna wokół elektrowni jądrowej będzie mieć promień 1800 m. Na tym terenie nie będzie można zamieszkiwać, dlatego zapadła decyzja o przesiedleniu mieszkańców wsi Kartoszyń do Odagowa. Natomiast obszar wokół elektrowni objęty



Widok na budynek reaktorowni Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec” (w dalszej perspektywie bloki administracyjne).
Fot. S. Wiesiołowski



Maszynownia i przepompownia Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec” (stopy fundamentowe).
Fot. S. Wiesiołowski



Widok z góry na płytę fundamentową reaktorowni, zreby kolumna wentylacyjnego, magazyn gospodarki odpadami promieniotwórczymi Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec”.
Fot. S. Wiesiołowski

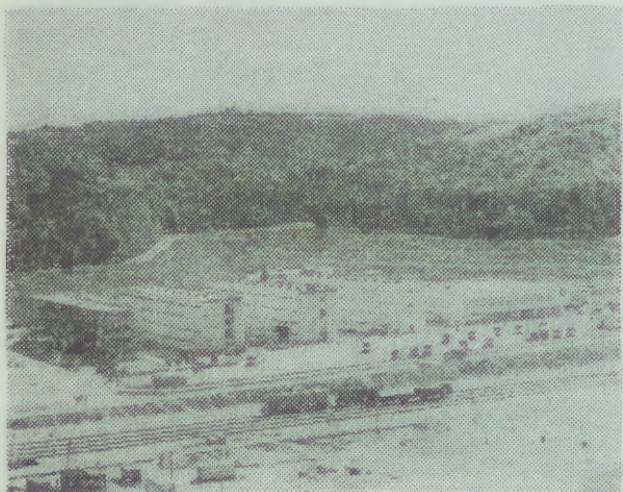


Widok na budynek gospodarki odpadami promieniotwórczymi Elektrowni Jądrowej „Zarnowiec”.
Fot. S. Wiesiołowski

kontrolą dozymetryczną przez Ośrodek Pomiarów Zewnętrznych dysponujący m. in. specjalnym masztem radiometrycznym będzie posiadał promień około 20 km.

Gdy w 1982 r. rozpoczynano roboty przy budowie tej elektrowni, ogólny jej koszt zaplanowano na sumę 49,5 miliarda zł. Dzisiaj ogólny koszt tej budowy jest nie do określenia, wiadomo jednak, że będzie to liczba 13-cyfrowa.

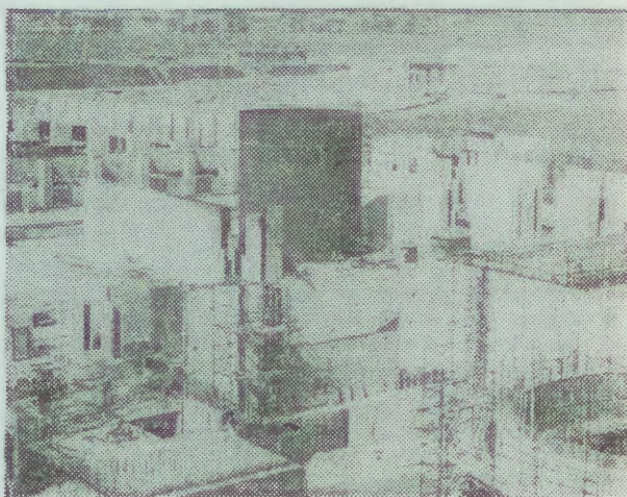
Na placu budowy roboty nieustannie posuwają się naprzód. Zakończono już prace niwelacyjne całego terenu. Wykonano i uruchomiono systemy komunikacji drogowej i kolejowej. Zapewniono zasilanie w energię elektryczną i parę grzewczą całego terenu budowy. Uruchomiono oczyszczalnię ścieków, otworzono wytwórnice betonu, pracuje już centralna zbrojownia. Uruchomiono obiekty socjalne na terenie budowy: szatnie, stołówkę centralną, hotele w Nadolu. Przekazano do eksploatacji Ośrodek Pomiarów Zewnętrznych. Obwałowania Jeziora Żarnowieckiego są w trakcie realizacji. Wykonano zaplecze techniczne budowy, osiągnęła stan gotowości bazy budowlano-montażowej warsztatów produkcji elementów. Stale trwają prace betoniarskie przy fundamentach pod przyszłe bloki energetyczne. Używa się tutaj zbrojonego betonu ze specjalnego, hydrotechnicznego, niskokalorycznego cementu, produkowanego przez cementownię „Małogoszcz” i „Pokój” w Rejowcu Fabrycznym. Elektrownia buduje stale własnymi siłami osiedla mieszkaniowe dla pracowników budowy i przyszłej załogi. Są to osiedla w Wejherowie — 760 mieszkań, w Redzie — 1200 mieszkań, w Gniewinie — 600 mieszkań i w Lęborku



Zaplecze socjalne: stołówka, budynki szatniowe Elektrowni Jądrowej „Zarnowiec”.
Fot. S. Wiesiołowski

również — 600 mieszkań. W osiedlach tych przewidziano również budowę szkół, przychodni zdrowia, przedszkoli, żłobków, sklepów, obiektów kulturalnych i sportowych.

Jakie są argumenty przemawiające za tym, żeby elektrownia jądrowa w Zarnowcu była budowana i to możliwie jak najszybciej? Zapotrzebowanie na energię elektryczną wzrasta szybciej niż nowe jej źródła i to powoduje, że już za dwa lata będziemy mieli niedobór ponad 2000 MW. Twierdzi się, że odejść od budowy elektrowni jądrowych w Polsce nie można, że nie ma tutaj alternatywy, bowiem na przyrost wydobycia węgla kamiennego nie możemy liczyć, a odwrotnie złoże węglowe ulegają szybkiemu wyczerpaniu. Oblicza się, że już za 5 lat nie będziemy mogli węgla eksportować, a odwrotnie będzie nam go brakować i potrzeby zakupu węgla z importu już w 1995 r. mogą sięgać 18 mln ton rocznie. Nie można więc zatrzymać ogólnoludzkich trendów rozwoju i dla zapewnienia odpowiedniej ilości energii elektrycznej należy budować elektrownie jądrowe. Trzeba jednak tego typu obiekty budować bezpieczne. Koszt wytwarzania energii elektrycznej w elektrowniach jądrowych jest znacznie niższy od wytwarzanego w elektrowniach węglowych. Paliwo w elektrowniach jądrowych stanowi około 30% kosztów produkcji energii elektrycznej, a w węglowych powyżej 70%. Elektrownie jądrowe nie zanieczyszczają atmosfery, nie przekazują do niej związków węgla i związków siarki i nie



Budynek reaktorowni Elektrowni Jądrowej „Zarnowiec”.
Fot. S. Wiesiołowski

pobierają milionów ton tlenu. Dla przykładu, elektrownia węglowa o mocy 1000 MW potrzebuje rocznie 3,5 mln ton paliwa (węglu kamiennego), w tym czasie pobiera z atmosfery 6,5 mln ton tlenu. A elektrownia jądrowa o tej samej mocy zużywa rocznie 30 ton paliwa (kilka specjalnych wagonów). Nie będzie już tutaj ogromnych strat spowodowanych przez opady dwutlenku siarki, ulatujących z kominów.

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia sprawa odpadów radioaktywnych. Sprawa ta budzi w społeczeństwie najwięcej niepokojów. Powstaje pytanie jak będzie wyglądał transport tych odpadów, gdzie wreszcie będą one składowane? Budowniczy elektrowni jądrowej „Zarnowiec” uważają ten problem w dużej części już za rozwiązany. Świeże paliwo jądrowe będzie bowiem załadowywane u producenta (ZSRR) w specjalnie uszczelnione kasety paliwowe, a następnie sprowadzane koleją w specjalnych kontenerach i po rozładowaniu wprowadzone do reaktora. Przez cały okres eksploatacji kasety zachowują szczelność i po wyeksploatowaniu będą wyjęte z reaktora i przechowywane przez kilka lat w bunkrze, w basenie wypalonego paliwa w budynku reaktorowni, aby nastąpił zanik niektórych izotopów. Kasety te nie będą u nas składowane, lecz odesłane, również transportem kolejowym, do producenta, czyli Związku Radzieckiego. Z odpadów promieniotwórczych, jakie pozostaną u nas do zagospodarowania zaliczyć tylko trzeba skażoną odzież ochronną, materiały izolacyjne i czasami skażone narzędzia. Loka-

lizacja składowiska tych odpadów nie została jeszcze ustalona.

Elektrownia jądrowa w Żarnowcu będzie posiadać obieg wody otwarty, której pobór nastąpi bezpośrednio z Jeziora Żarnowieckiego. Z kolei nieskażone ścieki będą kierowane do oczyszczalni i następnie poniżej jeziora do rzeki Piaśnicy.

Według danych statystycznych na koniec 1986 r. pracowało na całym świecie 396 bloków jądrowych o łącznej mocy 272 tys. MW, a w budowie było 137 bloków jądrowych o mocy 122 tys. MW. Międzynarodowa Agencja Energetyki Atomowej przewiduje, że w 2000 r. na całym świecie będzie w eksploatacji ponad 500 bloków jądrowych.

Jakie argumenty przemawiają za tym, żeby wstrzymać budowę elektrowni jądrowej „Żarnowiec” lub przynajmniej wstrzymać na razie trzeci i czwarty etap tej budowy? Jednym z głównych powodów jest fakt, że budowy te są bardzo drogie, a okres eksploatacji stosunkowo krótki. Budowa elektrowni jądrowej jest około 75% droższa od kosztów budowy elektrowni konwencjonalnej, a jej okres eksploatacji oblicza się na 25—30 lat. A co potem?

Podaje się, że obecnie na świecie są 33 państwa, które już posiadają względnie budują elektrownie jądrowe. Ale przecież nie wszystkie państwa muszą je posiadać. W Austrii wybudowano jedną elektrownię jądrową, lecz nie włączono jej do eksploatacji, Jugosławia i Holandia natomiast wstrzymały się z ich budową. Z kolei Szwecja zamknęła w 1986 r. wszystkie swoje elektrownie jądrowe i je zakonserwowała, a dalsza decyzja w kwestii ich uruchomienia ma być podjęta dopiero w 2000 r.

Przy wyborze tutaj możliwości nie pierwszy raz wychodzi sprawa budowy elektrowni wodnych. Zapadła decyzja o budowie elektrowni jądrowych, a jednocześnie zaniechano uprzednio już zatwierdzony plan przebudowy Wisły. Wybudowano jedną zaporę pod Włocławkiem i na tym na razie wszystko się zakończyło. W planie przebudowy Wisły miało być około 30 zapór i tyle elektrowni wodnych, których łączna moc byłaby dużo większa niż moc elektrowni w Żarnowcu, a okres eksploatacyjny też dużo dłuższy, bo prawie 100 lat. Elektrownie wodne są tanie, bezpieczne i nie zanieczyszczają ani wody, ani ziemi, ani powietrza. Wisła nie jest jedynym ciekim jaki możnaby wykorzystać do tych celów. Stosownych rzek mamy więcej. Gdy

w 1945 r. skończyła się II wojna światowa, przejeżdżaliśmy na Ziemiach Odzyskanych prawie 8000 elektrowni i siłowni wodnych. Jeszcze w 1954 r. działało ich w kraju 6330. Ale wtedy panowała w kraju teoria, że „wszystko co małe — to brzydkie i nierentowne, ładne — jest duże”, a więc ładne jest wszystko to, co jest „naj”, jak elektrownie w Kozienicach, Turowie, Bełchatowie. W związku z tym pozbyto się wspaniałych, małych elektrowni, których obecnie czynnych jest niewiele ponad 500. Teraz mówi się, że „małe jest piękne”, ale odbudować to, co się w latach pięćdziesiątych w beznadziejny sposób zniszczyło, jest bardzo trudne. Na każdej zaporze spiętrzającej wodę powyżej 2 metrów może być zainstalowana turbina i generator produkujący energię elektryczną. Z tych małych elektrowni wodnych mogły korzystać wioski PGR-y, małe zakłady. Warto i trzeba budować te małe elektrownie, bo z małych składa się duże.

Wiadomo również dobrze, jak wielkie znaczenie w gospodarce energią elektryczną ma oszczędzanie. Istnieje u nas Krajowy Program Oszczędności Paliw i Energii, lecz w praktyce nie jest on w pełni realizowany. Podobno każda zaoszczędzona kilowatogodzina jest 2,5 raza tańsza od każdej kilowatogodziny pozyskanej z nowo wybudowanej elektrowni. Program ten musi być w pełni realizowany.

Dużo niepokoju wśród społeczeństwa wzbudza sprawa emitowania przez elektrownię jądrową pewnej ilości substancji promieniotwórczych. Jaka to będzie faktyczna ilość i jaka faktycznie szkodliwość tej emisji, można będzie stwierdzić po uruchomieniu elektrowni.

Wielokrotnie mówi się i pisze o tym, że o całkowitym bezpieczeństwie działania elektrowni jądrowych decydują ludzie, ich wiedza, fachowość, solidność i odpowiedzialność. Największych fachowców w tej dziedzinie posiadają USA i Związek Radziecki, a przecież właśnie w tych krajach były bardzo poważne awarie, a wypadek w Czarnobylu został spowodowany złym i niewłaściwym działaniem załogi. To niebezpieczeństwo w pracach elektrowni jądrowych istnieje zawsze.

Kiedy rozmawia się z budowniczymi elektrowni jądrowej w Żarnowcu, ludźmi młodymi, po studiach, pełnymi energii i zapału, zafascynowanymi tą budową, to z jednej strony chce się wierzyć, że budowa ta jest bezpieczna, właściwie zlokalizowana i dla kraju niezbędna, a z drugiej strony nie wolno zapominać o tragedii w Czarnobylu.

Apel do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku

Redakcja nasza otrzymała niedawno kopię pisma sygnowanego przez Franciszkański Ruch Ekologiczny, Polski Ruch Ekologiczny, ZW PTTK, ZW LOP, ZG Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Adresatem pisma jest nowo wybrana Wojewódzka Rada Narodowa, a jego treść wyraża głębokie zaniepokojenie postępującą degradacją środowiska przyrodniczego regionu gdańskiego. Czytamy:

Pragniemy wskazać na najważniejsze w naszym przekonaniu realne przedsięwzięcia, niezbędne do realizacji w okresie najbliższej kadencji Rad, które może podjąć terenowa administracja państwowa bezpośrednio, lub pośrednio, przez programowanie i egzekwowanie działań innych instytucji i przedsiębiorstw. Postulujemy, by Wojewódzka Rada Narodowa i odpowiednio Rady stopnia podstawowego przyjęły do swego programu prac na najbliższą kadencję działania w zakresie inspiracji, nacisku i nadzoru nad realizacją wymienionych tu wymagań. Deklarujemy z naszej strony podjęcie działań spotecznych w zakresie wyróżnionych niżej zagadnień oraz obserwację postulowanych działań Rad Narodowych i administracji.

Z uwagi na fakt, iż są to w większości działania wielokrotnie już umieszczane w programach pracy poprzednich kadencji Rad Narodowych (lecz jak dotąd nie spełnione), lub wynikające z ustaleń, ustaw i innych aktów władz centralnych, wyniki tych obserwacji traktować będziemy jako sprawdzian rzeczywistej woli i możliwości działania Rad Narodowych

w dziedzinie ochrony środowiska regionu będącego jednym z kilku obszarów klęski ekologicznej w Polsce.

Następnie autorzy przedstawiają 11-punktowy program-minimum konkretnych działań zmierzających do zahamowania i odwrócenia niebezpiecznych zmian w środowisku przyrodniczym regionu. Kryteriami doboru działań była realność wykonania i ich ważność z punktu widzenia zdrowia mieszkańców regionu oraz warunków egzystencji ludzi i przyrody.

Program wygląda następująco:

- Energiczne, jednoznaczne i zdecydowane postawienie żądania w stosunku do władz państwowych oraz dołożenie maksymalnych starań dla doprowadzenia do zaniechania dalszej budowy elektrowni jądrowej w Żarnowcu.
- Ograniczenie do wielkości dopuszczalnych dla terenów chronionych stężeń pyłu zawieszonego i tlenków siarki według norm obowiązujących od 1990 roku.
- Zaopatrzenie mieszkańców w wodę konsumpcyjną spełniającą wszystkie normy Światowej Organizacji Zdrowia.
- Ograniczenie ładunków zanieczyszczeń dopływających do rzek, jezior i Bałtyku do wielkości umożliwiającej osiągnięcie co najmniej II klasy czystości wód.
- Spowodowanie istotnego zmniejszenia zagrożeń zdrowia ludzkiego spowodowanych powszechnym skażeniem żywności związkami chemicznymi.

● Doprowadzenie do wyeliminowania z budownictwa mieszkaniowego materiałów i wyposażenia o wysokiej toksyczności i radioaktywności oraz podniesienia standardu higienicznego i ekologicznego terenów osiedlowych.

● Spowodowanie w jak najszerszym czasie podjęcia intensywnych prac nad budową biologicznej części oczyszczalni ścieków „Wschód” w Gdańsku tak, aby ukończenie jej budowy nastąpiło w okresie trwania obecnej kadencji Rad Narodowych.

● Uporządkowanie na obszarze województwa gdańskiego gospodarki stałymi odpadami przemysłowymi i komunalnymi.

● Zatwierdzenie i wdrożenie do realizacji już opracowanych planów zagospodarowania przestrzennego parków krajobrazowych.

● Podjęcie energicznych zabiegów w celu spowodowania uchwalenia i szybkiego wdrożenia odpowiedniej do istniejącego stanu zagrożeń i potrzeb środowiska Ustawy o Ochronie Wód Morskich.

● Pełne wykorzystanie uprawnień egzekucyjnych terenowych organów administracji państwowej i ich służb.

Treść większości z wymienionych punktów wzbogacona jest o szczegółowe instrukcje wykonania odpowiednich kroków koniecznych dla osiągnięcia celu. Część postulatów może być — zdaniem sygnatariuszy — wprowadzone do realizacji jeszcze przed upływem ubiegłego roku; dotyczy to np. całego punktu 11.

Przedstawiony wyżej program działań poprzedzają trzy tzw. postulaty generalne oparte na ocenie dotychczasowych działań administracji wojewódzkiej:

● Konieczność rzeczywistego, a nie tylko deklaratywnego traktowania środowiska człowieka oraz przyrody i kultury materialnej jako niezastępowalnych wartości społecznych o znaczeniu priorytetowym lub co najmniej równorzędnym z ekonomicznymi celami gospodarowania. Powinno się to wyrażać poprzez odpowiednią hierarchię ważności i konkretność ustaleń

w programach i planach społeczno-gospodarczych i przestrzennego zagospodarowania.

● Radykalne wzmocnienie organów kontroli środowiska i organów prowadzących politykę na rzecz jego poprawy, kadrami odpowiednimi do ważności problemów poziomie wiedzy, kompetencji i sprawności oraz niezbędnymi środkami materialnymi. (Obecna sytuacja na tym odcinku jest niepokojąca, np. w Urzędzie Miejskim w Gdańsku Wydział Ochrony Środowiska dysponuje pięcioma etatami i dwoma małymi pokojami będąc odbiciem pozycji, jaką sprawy ochrony środowiska zajmują obecnie wśród innych dziedzin życia społecznego, w Urzędzie Miejskim w Gdyni projektuje się likwidację tego Wydziału).

● Uzdrawienie organizacyjne i prawne wszystkich organów uczestniczących w ochronie środowiska, które wyeliminowałoby krzyżowanie się i nakładanie kompetencji oraz doprowadziłoby do pełnej władzy przez administrację terenową. Postulujemy tu nadanie tym organom z jednej strony uprawnień policyjnych, z drugiej obarczenie ich obowiązkiem opanowania sytuacji przynajmniej w zakresie najdrastyczniejszych zagrożeń i skażeń.

Trafność zawartych spostrzeżeń, trudna do przecenienia wartość wszelkich wysiłków podejmowanych w obronie środowiska, wreszcie kompetentny i — w dużej mierze realny — program uzdrowienia obecnej sytuacji, stwarzają nadzieję, że przedstawiony dokument stanie się dla nowej Wojewódzkiej Rady Narodowej planem rzeczywistego działania, a niekończących się analiz i słownych dywagacji.

Człowiek otoczony chorą przyrodą nie może być człowiekiem zdrowym — ta myśl wolna toruje sobie drogę w naszym społeczeństwie. Tylko od nas zależy, czy będzie ona papierowym hasłem, czy też podstawową wytyczną nie tylko przy podejmowaniu ważnych decyzji gospodarczych, ale także w codziennym życiu każdego z nas.

Dajmy szansę przyrodzie i sobie.

K.J.

Słupskie przygotowania do IV Kongresu Krajoznawczego — Opole 1990

Powszechny w Polsce ruch przygotowawczy do IV Kongresu Krajoznawczego Polski Opole 1990 znajduje również silny oddźwięk w Słupsku. Odzwierciedleniem tego jest zorganizowany przez Wojewódzką Komisję Krajoznawczą PTTK przy Zarządzie Wojewódzkim PTTK w Słupsku I Wojewódzki Sejmik Krajoznawczy na temat rozwoju krajoznawstwa regionalnego 20 lutego 1988 r.

Uczestnicy sejmiku spotkali się w siedzibie Zarządu PTTK, następnie zapoznali się z wystawą fotografii obrazujących Słowiński Park Narodowy, po czym zwiedzili miejski zespół zabytkowy przy Zamku Słupskim.

Obrady sejmiku rozpoczęły się o godz. 10.30 w Sali Rycerskiej Zamku Książąt Pomorskich (obecnie Muzeum Pomorza Środkowego), gdzie wysłuchano dwóch referatów:

● mgr. **Andrzeja Remelskiego** pt. „Trasy typowe PTSM jako jedna z metod poznawania krajoznawczego regionu”.

● mgr. inż. **Włodzimierza Lipczyńskiego** pt. „Program rozwoju krajoznawstwa regionalnego w województwie słupskim, a szczególnie regionu Kaszub Bytowskich.

Ponadto przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Krajoznawczej PTTK **W. Lipczyński** odczytał komunikat odnośnie inwentaryzacji krajoznawczej Polski jako pro-

gramowa forma badań regionalnych. Przedstawił również wyniki ankiety rozpisanej na temat badań socjologicznych w dziedzinie odrodzenia społecznego ruchu krajoznawczego, jego wdrażania do systemu oświaty i w organizacjach młodzieżowych oraz realizacji regionalnego programu rozwoju krajoznawstwa.

Na zakończenie programowej części sejmiku mgr. **Piotr Cielecki** z Muzeum Zachodnio-Kaszubskiego w Bytowie wyświetlił cykl barwnych przeźrocy na temat kultury materialnej Kaszub Bytowskich, z własnym, obszernym komentarzem słownym.

Ostatnim punktem programu części kameralnej sejmiku było podpisanie porozumienia o powołaniu międzynarodowego kolegium instruktorów krajoznawstwa dla trzech województw: szczecińskiego, koszalińskiego i słupskiego. Imprezę urozmaicił jeszcze koncert fortepianowy we wspomnianej już Sali Rycerskiej Zamku Słupskiego. Zwiędzono również ekspozycję historyczną Muzeum Pomorza Środkowego (oprowadzał mgr. **Zygmunt Gręźlikowski**) oraz izbę pamięci w Technikum Drzewnym.

W obradach brało udział 70 osób, w większości przedstawiciele nauczycielstwa województwa słupskiego oraz delegacja PTTK z województwa szczecińskiego, którzy otrzymali zestaw materiałów konferencyjnych

i inne. Sejmik ten przygotował zespół w osobach mgr. inż. **Włodzimierza Lipczyńskiego**, mgr. **Lidii Orłowskiej**, **Janusza Grabowskiego**, mgr. **Andrzeja Remelskiego** i **Apoloni Staniuk**.

* * *

Trzeba dopowiedzieć, iż I Sejmik Krajoznawczy PTTK w Słupsku był poprzedzony 2-dniową imprezą zorganizowaną 18—19 września 1987 r. przez Wojewódzką Komisję Ochrony Przyrody PTTK w Słupsku na zakończenie obchodów XX-lecia istnienia Słowińskiego Parku Narodowego.

Zjazd ten zgromadził 55 uczestników z całego kraju, którzy wysłuchali 5 referatów i 6 obszernych wypowiedzi w dyskusji na temat Słowińskiego Parku Narodowego, ochrony i krajoznawstwa przyrodniczego w pasie całego polskiego wybrzeża nadbałtyckiego (w tym klifowego Wolińskiego i wydmowego Słowińskiego Parku Narodowego), osadnictwa w północnej części województwa słupskiego (głównie w strefie otulinowej Słupskiego Parku Narodowego, opracowań naukowych dotyczących Słupskiego Parku Narodowego oraz działalności społecznej (w też i PTTK) przy organizowaniu, propagowaniu i turystycznym użytkowaniu obszarów tego parku.

Józef Cieplik

Zarys dziejów Zakonu Dominikańskiego w Gdańsku ¹⁾

Początki zakonu

Zakon Braci Kaznodziejów (Ordo Fratrum Praedicatorum), nazywany również w skrócie Zakonem Kaznodziejów lub od imienia jego założyciela — Hiszpana DOMINIKA GUZMANA (ok. 1170—1221) — Zakonem Dominikańskim, został powołany w końcu grudnia 1216 r. do walki z herezją waldensów i katarów zwanych również albigenami, którzy po oparowaniu południowej Francji, częściowo Hiszpanii i Włoch, w poważnym stopniu zagrozili istnieniu Kościoła rzymskiego.

Upłynęło zaledwie kilkadziesiąt lat, gdy lokalizowane najczęściej na terenie dużych skupisk ludzkich klasztory tego zgromadzenia, popieranego i mającego liczne powiązania ze Stolicą Apostolską, gęstą siecią pokryły Europę. Spis z 1277 r. wykazał istnienie 404 dominikańskich klasztorów skupionych w 12 prowincjach, tj. narodowych okręgach administracyjnych.

Setki zakonników w białych habitach sukiennych i w białych komżach (później zamienione na czarne szkaplerze sukienne — wyj. aut.) *prawdziwie ubodzy w żywność i ubranie... chodzili — jak odnotował nieprzyjazyń żebrazym zakonom MATEUSZ PARIS, benedyktyn angielski — po wsiach i miastach głosząc słowo Boże... wsparci mocą Ewangelii, spali w ubraniu na matach, używając worków jako poduszki, na które składali głowy.* Przemierzali oni pieszo ogromne przestrzenie, by przepowiadać na rozstajach dróg, na targowiskach i na rogach ulic. Uprawiane przez nich kaznodziejstwo na wolnym powietrzu, świadome naśladownictwo do ewangelicznej działalności pierwszych apostołów, nie było jednak regułą. Dominikanie głosili kazania także w swych kaplicach oraz w parafialnych kościołach, jeśli im je udośćpniono. Pierwsze pokolenia dominikanów ściśle przestrzegały założeń i wskazówki założyciela zakonu, który pouczał, że każdy z braci musi kierować się słowem i przykładem (verbo et exemplo) oraz powinien kontemplantować i przekazywać myśli kontemplacji (contemplare et contemplata aliis tradere).

Uniwersalizm i charyzmat nowego zakonu spowodował, że na polu ewangelizacji narodów Europy osiągnął on takie sukcesy, jakich dotąd nie osiągnął inny zakon. Doprowadziło to do paradoksalnej sytuacji, gdyż ludowi kaznodzieje — za jakich uważano dominikanów — przeobrazili się w końcu w królewskich spowiedników, kanclerzy, doradców, legatów, ambasadorów, rozjemców, wykonawców testamentów, wizytatorów kościołów i klasztorów oraz pośredników pokoju.

Przemiany zachodzące w końcu XII w. i na początku XIII w. na Zachodzie nie znalazły głębszego odzwierciedlenia w Polsce. Przechodzi ona bowiem okres dzielnicowego rozbitcia i zarazem tatarskiego zagrożenia. Tworzy się dopiero stanowe społeczeństwo, w tym miejska społeczność. Pojawiają się pierwsze załóżki dążności do ponownego zjednoczenia kraju. Kościół w Polsce jest jeszcze słaby i uplynie wiele dziesięcioleci, nim zdobędzie taki prestiż i znaczenie, które pozwolą mu wpływać na politykę państwa. Nie jest w stanie sam ująć w ramy organizacyjne oddolnego ożywienia religijnego, w skali dotąd nienotowanej. Tymczasem Stolica Apostolska nagli, aby temu ożywieniu nadać formę organizacyjną zgodną z kanonami IV Soboru laterańskiego (1215). Jednocześnie na początku XIII w. obserwujemy w Polsce zaczątki szerszego zainteresowania ludami zamieszkującymi od niej na wschód i północny-wschód. To zainteresowanie zbiegło się do kosmopolitycznym dążeniem Stolicy Apostolskiej do podporządkowania sobie narodów i ludów europejskich. Borykający się z trudnościami wewnętrznymi Kościół w Polsce, mimo podejmowania pewnych prób, nie może wykazać się większymi osiągnięciami

w zakresie zewnętrznej ewangelizacji. W tych dwóch kwestiach zwrócił się o wsparcie i pomoc do Zakonu Dominikańskiego, który dysponował przecież świetnie przygotowanymi w tym celu kapłanami-kaznodziejami i misjonarzami.

Faktycznie, w Polsce dominikanie pojawili się niebawem po powołaniu ich zakonu. Już w końcu grudnia 1222 r. ich niewielka grupa na czele z JACKIEM ODROWAŻEM (ok. 1180—1257) osiedla się na Wawelu w Krakowie. Pod koniec marca 1223 r. z woli Jackowego stryja — krakowskiego biskupa IWONA ODROWAŻA — przejęli oni tamtejszy kościół Sw. Trójcy.

Zaledwie trzy lata trwały przygotowania oraz nabór i szkolenie nowych kandydatów w krakowskim klasztorze. Jak informuje nasz największy dziejopis JAN DŁUGOSZ, pod koniec 1225 r. — za rządów pierwszego prowincjała polskiego GERARDA Z WROCŁAWIA — zapadła decyzja o dokonaniu pierwszego „rozesłania” polskich dominikanów. W niewielkich ilościowo grupach udali się oni z Krakowa do Wrocławia, czeskiej Pragi, Kamienia Pomorskiego, Płocka, Gdańska i Sandomierza. Przedstawiony przez dominikanów program działania musiał być na tyle atrakcyjny, że niebawem w tych miejscowościach powstały ich klasztory, skąd udawali się na misje — wewnętrzną i zewnętrzną.

Oznacza to, iż zaledwie po kilku latach od przybycia do Polski (1222—1228), dysponowali oni 7 klasztorami z 40—50 zakonnikami. Warto jeszcze w tym miejscu wspomnieć, że te właśnie klasztory utworzyły sieć granicznych punktów polskiej prowincji dominikańskiej, którą zatwierdziły zwierzchnie władze zakonu na kapitule generalnej w Paryżu w 1228 r.

Fundacja klasztoru w Gdańsku

Na przełomie lat 1225/1226 w kierunku stolicy wschodniopomorskiego księstwa — Gdańska wyruszył JACEK ODROWAŻ, który zrezygnował z funkcji przora krakowskiego i poświęcił się wyłącznie misyjnej pracy. W tej podróży — jak to wynika z jego najstarszego żywotu, który około połowy XIV w. napisał lektor krakowski STANISŁAW — prawdopodobnie towarzyszyli mu jego ulubieni uczniowie i towarzysze misyjnych wypraw: BENEDYKT, FLORIAN i GODYN.

Zgodnie z przepisami najstarszej Konstytucji zakonu z 1220 r., jeszcze przed rozpoczęciem posługi na terenie diecezji włocławskiej, w skład której jako wyodrębniony archidiaconat wchodziło Pomorze Gdańskie, Jacek Odroważ wraz z towarzyszami zgłosili się u jej ordynariusza — biskupa włocławskiego MICHAŁA (1220—1252). Zapewne prośbą swa dominikanie nie zaskoczyli Michała, którego zalicza się do czołowych reformatorów życia religijnego wczesnośredniowiecznej Polski. O nadziejach, jakie wiazała z Zakonem Dominikańskim Kuria Rzymska, mógł go poinformować wcześniej legat papieski kardynał GRZEGORZ DE CRESCENTINO, uczestnik uroczystości konsekracji kościoła Sw. Trójcy w Krakowie w 1223 r. Pełniejszej informacji o dominikanach udzielił mu najpewniej inicjator sprowadzenia ich do Polski, biskup krakowski IWON ODROWAŻ, z którym zetknął się w sierpniu 1223 r. na wiecu w Wierdelejewie koło Torunia, gdzie omawiano szczegóły organizowanej przez polskich książąt drugiej krucjaty pruskiej.

Nie zawiódł oczekiwań dominikanów biskup Michał, który w przywileju wydanym podczas synodu diecezjalnego w Buszkowie 8 maja 1227 r. informuje, że *pragnąc widzieć ich w biskupstwie... postarałem się usilnymi prośbami, by książę pomorski Świętopełk zechciał ich umieścić w kościele Sw. Mikołaja w Gdańsku.* Dalej w tym dokumencie jest mowa o tym,

że *prośbom naszym ucha nastawiając* (tj. Świętopełk — wyj. aut.) *bardzo chętnie rzeczonym braciom kościół wolny od wszelkich zobowiązań oddał w całe posiadanie, łącznie z prawem dokonywania pochówków i pobierania opłat.* Wynika stąd wniosek, że ich kościół został uwolniony od obowiązków parafialnych i wszelkich patronatów osób fizycznych bądź prawnych. Wiązało się to z tym, że z jednej strony kościół był im potrzebny do publicznego celebrowania „*officium divinum*”, do czego byli zobowiązani jako kanonicy regularni, z drugiej zaś strony tworzyli niezależny zespół księży podlegający władzom i przepisom zakonu.

Motywy swego postępowania biskup Michał ujawnia w drugim dokumencie wydanym w podinowrocławskiej wsi Orłowo 29 czerwca 1227 r. Stwierdza w nim wprost, że nie mogąc wypełnić spoczywających na nim obowiązków przyznał *drogim i pobożnym braciom Zakonu Kaznodziejów* szerokie uprawnienia w zakresie głoszenia kazań, udzielania dyspens na terenie podległego mu biskupstwa. Upoważnia ich ponadto do udzielania aż 40 dni odpustu dla tych miejsc, gdzie przepowiadają „*Boże słowo*”, ale ilość dni odpustu ma zależeć od dnia i święta oraz pobożności gromadzącego się tam tłumu. Przekazując dominikanom znaczną część swego „*officium*”, podbudowaną jeszcze instytucją odpustu, biskup Michał — co jest godne podkreślenia — postąpił zgodnie z X kanonem IV Soboru laterańskiego. Odtąd organizacja misji na terenie diecezji włocławskiej została przelana na dominikański klasztor w Gdańsku.

Powodowany jednak troską, że dominikanie natrafili przy budowie klasztoru i nowego kościoła w Gdańsku na trudności, wystawił im w Orłowie w tym samym dniu jeszcze jeden dokument. Stwierdzając w nim niemal sentencjonalnie, że *jak długo człowiek jest na tym świecie, nie może żyć bez domu*, udzielił tym wszystkim, którzy wspomogą dominikanów w dziele budowy, 10 dni odpustu, *aby mogli jak najszybciej zamieszkać i oddać się świętemu kaznodziejstwu, tak bardzo pożytecznego dla zbawienia ludzi.*

W ciągu zaledwie dwóch miesięcy biskup Michał wystawia dla gdańskiego klasztoru aż trzy dokumenty, z których pierwszy z merytorycznego i formalnego widzenia ma wszelkie cechy fundacyjnego aktu. Niestety, żaden z tych dokumentów nie podaje daty jego fundacji. Jedno jest pewne. Erekcja klasztoru musiała nastąpić przed wystawieniem dokumentu fundacyjnego przez biskupa. W tym przekonaniu upewnia nas bulla papieża GRZEGORZA IX z 5 maja 1227 r., z której dowiadujemy się o tym, że *umiłowani bracia Zakonu Kaznodziejów* donieśli mu o najechaniu przez Prusów Pomorza Gdańskiego z namowy *niektórych książąt polskich*, gdy tymczasem *pobożny, szlachetny pan Świętopełk i jego bracia... dali im sposobność nawracania pogan w swoim kraju.*

W celu wyjaśnienia tego problemu sięgnijmy po jeszcze jeden dokument, przywilej księcia ŚWIĘTOPEŁKA (ok. 1220—1266) wystawiony 22 stycznia 1227 r. Dowiadujemy się z niego, że książę — w obecności kapelanów grodowych, wysokich urzędników książęcych i przedstawicieli gminy niemieckiej — przekazał dominikanom kościół Sw. Mikołaja, z którego zrezygnował dotychczasowy jego zarządca, kapelan WILHELM, za *równie dobrą lub lepszą rekompensatę.*

Dokument ten niewzbudzałby żadnych zastrzeżeń, gdyby nie jego penalna formuła. Znajdujemy w niej bowiem znamienne zdanie o działaniu papieskiej anatemy wobec występujących przeciwko darowiźnie księcia oraz jego oficjalne oświadczenie o przyjęciu opieki stolicy Sw. Piotra. Dziwne to sformułowanie, bo nawet papieska bulla z maja 1227 r. nie upoważniała go do takiej deklaracji. Czy to oznacza, że Świętopełkowy dokument, którego oryginał — podobnie jak wszystkie dokumenty biskupie z 1227 r. — zaginął w zamierzchłych czasach i jest znany z XIV-wiecznych i późniejszych transumptów, jest falsyfikatem?

W tej sprawie wypowiedział się znakomity polski mediewista GERARD LABUDA, którego pogląd przyjął się powszechnie w nauce. Jego zdaniem dominikanie, mając prawomocny przywilej biskupa, nie musieli zabiegać u księcia o pisemne potwierdzenie tej fundacji. Taki dokument był raczej potrzebny samemu Świętopełkowi, który za ich pośrednictwem — szu-

kając poparcia dla swych celów wyswobodzenia się spod zależności polskiego księcia-seniora — zabiegał o papieską bullę protekcyjną. Chodziło tu o to, aby mogli oni w Kurii Rzymskiej przedstawić dowód, który świadczyłby o jego staraniach w krzewieniu wiary chrześcijańskiej i gotowości o poddaniu się pod opiekę stolicy Sw. Piotra. Faktycznie, opinia legata papieskiego i dominikanów oraz w nie mniejszym stopniu treść tego dokumentu zaważyły, że papież GRZEGORZ IX wystawił 17 czerwca 1231 r. bullę, w której nie tylko zachęcał *księcia pomorskiego z Gdańska* do udziału w wojnie z Prusami, ale wziął jego ziemię pod opiekę Stolicy Apostolskiej.

Przy sporządzaniu — nazwijmy to wprost — tego pseudoprzywileju zbytnio się w książęcej kancelarii nie wysyłało, lecz spreparowano go na podstawie przechowywanego w dominikańskim archiwum formularza biskupa Michała, przepisując niemal żywcem główne jego fragmenty, i antydatowano.

Autor spreparowanego dokumentu, *magister Johannes notarius ducis*, zapewne był świadkiem wydarzenia, podczas którego Świętopełk przekazał dominikanom w wieczyste posiadanie kościół Sw. Mikołaja. Ponieważ ten dokument sporządził około 1230 r., więc zaledwie po trzech latach, nie musiał uciekać się do podawania fikcyjnej daty. Pamiętał dokładnie, że odbyło się to w wigilię św. Wincentego męczennika i Lewity. W tej sytuacji możemy przyjąć za rzecz udowodnioną, że erekcja dominikańskiego klasztoru Sw. Mikołaja w Gdańsku nastąpiła 22 stycznia 1227 r.

W tym przekonaniu upewnia nas lista starszeństwa klasztorów prowincji polskiej, od której zależało zajmowane miejsce na kapitule prowincjalnej, ułożona przez francuskiego dominikanina BERNARDA GUIDONISA na początku XIV w., na której znacznie już wcześniej uwagę wybitny znawca dziejów Zakonu Dominikańskiego w Polsce JERZY KŁOCZOWSKI. Gdańsk bowiem widnieje na niej na piątym miejscu z datą erekcji 1227, wyprzedzając Sandomierz, a ustępując Krakowowi, Wrocławowi, Kamieniowi Pomorskiemu i Płockowi, pomijając czeską Pragę, która weszła w skład nowo powołanej prowincji czeskiej.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na ten fakt, że przy fundacji klasztoru księciem Świętopełkiem kierowały niechybnie pobudki dewocjno-religijne, bo przecież mógł on widzieć w dominikanach — podobnie jak lokujący ich w Kamieniu Pomorskim książę WARCISŁAW dymiński — bezpośrednich wysłańców Chrystusa przysyłanych na *naszą ziemię dla naszego zbawienia.* Trzeba jednak pamiętać o tym, że każda fundacja klasztoru podnosiła prestiż władcy w oczach współczesnego mu społeczeństwa, a co za tym idzie przynosiła splendor i uświetniała panowanie jego rodu. A zatem, w postępowaniu Świętopełka dostrzegamy także cechy charakteryzujące polityczne motywy.

Budowa kościoła i klasztornych zabudowań

W świetle dotychczasowych rozważań wynika, że dominikanie prawdopodobnie wyposażeni w polecające listy biskupa włocławskiego Michała, a być może wraz z nim samym, przybyli do Gdańska najpewniej już pod koniec 1226 r., aby na miejscu podjąć bezpośrednie rozmowy z księciem Świętopełkiem w sprawie fundacji klasztoru. Takowe rozmowy zapewne odbyły się, bo biskup mówi w dokumencie z maja 1227 r., że przekazanie kościoła dominikanom nastąpiło dopiero na jego „*usilne prośby*”, a sam książę — jak przekazuje na jego dokument ze stycznia 1227 r. — *radził się i uległ prośbie nie tylko biskupowi, ale „wielu uczciwym mężom”.*

Dominikanie otrzymali od księcia w wieczyste użytkowanie parafialny kościół Sw. Mikołaja, patrona rybaków i podróżników morskich, którego kult dotarł na Pomorze Gdańskie w drugiej połowie XII w. za pośrednictwem przybyszów z Niemiec. Ta niewielka, drewniana świątynia, którą zapewne wystawił własnym sumptem legendarny założyciel dynastii gdańskiej SUBISŁAW lub najpewniej jego następcza SAMBOR lub MŚCIWOJ w ostatnim ćwierćwieczu XII w., obsługiwała mieszkańców osady targowej, w tym

kolonii niemieckiej. Osady, która była położona przy słynnej „via mercatorum” (droga kupców) i oddalona od położonego w widłach Motławy i Wisły grodu o jakieś 350 m.

Dawny „ecclesia mercatorum” (kościół kupców) na pewno nie odpowiadał potrzebom dominikanów i nie był przystosowany do uprawianego przez nich masowego kaznodziejstwa. Wobec tego go rozebrali i przystąpili do budowy większej świątyni. Na miejscu dzisiejszej zakrystii — jak podaje stara tradycja dominikańska — wystawili oni murowany kościół na planie prostokąta o wymiarach 9 × 26 m, posadowiony — ze względu na podmokły teren na ceglasto-kamiennej podwalinie łukowej, oświetlony łukowymi oknami i przykryty płaskim stropem drewnianym (hala stropowa?). Niewątpliwie jego bryłę cechowała surowość i skromność, bowiem pierwsza generacja dominikanów przestrzegała rygorystycznie ideały prostoty i ubóstwa narzucone przez Dominika Guzmaną, odsuwała na dalszy plan duże przedsięwzięcia i ambicje architektoniczne.

Stara tradycja gdańska mówi, że budowę kościoła i klasztoru, które powstały ponoć w „szczerym polu” (?), wspomagał książę Świętopełk. Nie musiała to być wydatna pomoc, skoro zatroskany postępem budowlanych prac biskup Michał wystawia dla dominikanów znany nam już przywilej z czerwca 1227 r. Faktycznie, budowa się ślimaczyła i trwała aż 8 lat. Dopiero 7 czerwca 1235 r., a nie jak podaje zasłużony historyk niemiecki PAUL SIMSON — w 1239 r., legat papieski Wilhelm z Modeny dokonał uroczystej konsekracji nowego kościoła Sw. Mikołaja oraz poświęcił ołtarz główny N. P. Marii, natomiast towarzyszący mu biskup Michał poświęcił dwa ołtarze boczne: Sw. Dominika i Sw. Piotra. Z okazji tej uroczystości Michał wystawił dla dominikanów aż dwa dokumenty. W pierwszym przywileju udzielił tym wszystkim, którzy nawiedzą kościół w rocznicę jego poświęcenia — 1 rok odpustu, ołtarz główny — 60 dni odpustu oraz ołtarze boczne — 40 dni odpustu. Tym samym biskup dał im potężny atut do ręki, bowiem dzięki temu do ich placówki ściągali tłumy wiernych, gdyż — trzeba o tym wiedzieć — średniowieczne społeczeństwo przywiązywało ogromną wagę do instytucji odpustu. Drugim przywilejem biskup, biorąc pod uwagę, że dominikanie utrzymują się jedynie z jałmużny, zrezygnował z części przypadających nań opłat, które dominikanie pobierali za urządzone pochówki ludzi świeckich.

Zastanawia jednak fakt, że wśród uczestników uroczystości konsekracji kościoła w 1235 r. nie widzimy księcia Świętopełka. Jego nieobecność należy tłumaczyć tym, że już wtedy rozgorzał spór między nim i biskupem Michałem w sprawie dziesięcin i kompetencji na terenie archidiaconatu pomorskiego, który z czasem przerodził się nieomal w wojnę. Dopiero 30 listopada 1238 r. doszło między nimi do zawarcia ugody, której świadkami byli dwaj dominikanie gdańscy — GRZEGORZ i WOJŚLAW. Książę zobowiązał się m. in. do naprawienia bliżej nieokreślonej krzywdy jaką wyrządził dominikańskiemu klasztorowi w Gdańsku. Najprawdopodobniej chodziło tu o to, że książę nie tylko wstrzymał finansowanie jego budowy, ale również brutalnie ją przerwał. A wszystko w odwet za to, że dominikanie w tym sporze opowiedzieli się za swym duchowym protektorem — biskupem włocławskim.

Możemy jedynie przypuszczać, gdyż na ten temat nie dysponujemy żadną pisaną informacją, że budowa klasztornych zabudowań ciągnęła się jeszcze wiele lat, być może nawet do połowy XIII w. Wynikało to nie tylko od możliwości techniczno-budowlanych i od uzyskanych przez dominikanów funduszy od księcia i społeczeństwa, ale również od wzrastających potrzeb na użytkową powierzchnię. Badania archeologiczno-architektoniczne przeprowadzone przez wybitnego archeologa gdańskiego ANDRZEJA ZBIERSKIEGO w 1955 r. potwierdziły istnienie przerw w budowie. Zabudowania, niewiadomo czy murowane, czy drewniane, posadowiono po północnej stronie kościoła. Rzecz to charakterystyczna jedynie dla gdańskiego zespołu klasztorowego, gdyż w innych miejscowościach — zgodnie z regułą — dominikanie wznosili kościoły po stronie przeciwnej. Znajomość budowlanych przepisów zakonu z lat 1240—1260 pozwala nam na wy-

suniecie ostrożnego wniosku, iż XIII-wieczny klasztor gdański mógł składać się z kapitułarza, refektarza z kuchnią i spiżarnią oraz wspólnego dormitorium. Całość zapewne stanowiła wraz z kościołem zamknięty zespół, do którego dostawano się przez zamykaną furte.

Misja pruska

Do organizowania misji duszpastersko-kaznodziej-skiej na terenie diecezji włocławskiej upoważniał dominikanów przywilej biskupa Michała z czerwca 1227 r. W swej pracy niewątpliwie napotykali na wiele trudności, zwłaszcza na Pomorzu Gdańskim, gdzie chrześcijaństwo — pod wpływem sąsiednich Prus — było jeszcze chwiejne i podatne na reakcję pogańska. Najlepiej obrazują to wydarzenia z drugiej połowy XII w., gdy ludność pomorska masowo powracała do dawnych wierzeń pogańskich.

Reminiscencje działalności dominikanów na terenie Pomorza Gdańskiego przetrwały nie tylko w dokumentach, ale również w tradycji. Jeszcze 50 lat temu autor jednego z przewodników pisał — bez cienia krytycyzmu — że założyciel gdańskiego klasztoru, Jacek Odrowąż, miał się jakoby udać na Oksywie przekraczając morze „suchą stopą” i tam nawrócić miejscowego władcy (?). Niewątpliwie jest to echo cudów Chrystusa, które później przypisywano świętym mężom. Tym niemniej, można uważać za rzecz udowodnioną, że dominikańskiej działalności w XIII w. zawdzięczamy umocnienie chrześcijaństwa na Pomorzu Gdańskim.

Bulla papieska z maja 1227 r. wyraźnie wskazywała, że głównym celem gdańskich dominikanów jest „pro paganorum conversio”, a więc ewangelizacja pogańskich narodów. Być może któryś z bardziej doświadczonych braci wypuścił się chwilowo do sąsiedniej Pomezanii lub Pomezanii, ale w początkowym okresie, gdy byli zajęci wewnętrzną misją, organizacją klasztoru, naborem i szkoleniem narybku, nie było to regułą. Szerszy udział gdańskiego konwentu w misji pruskiej przypada dopiero w latach 1228—1229, gdy w krucjacie przeciwko Prusom bardziej zaangażował się Świętopełk.

Nie było już wtedy Jacka Odrowąży, który po przekazaniu przeorstwa swemu uczniowi BENEDYKTOWI z poleceniem — jak mówi stara tradycja dominikańska — dokończenie budowy klasztoru i zakładania dalszych klasztorów w rejonie nadbałtyckim, udał się najpierw do Krakowa, potem na kapitułę generalną w Paryżu, by jeszcze tego samego 1228 r. udać się z ewangeliczną misją do Kijowa. Powrócił do Prusy dopiero na początku lat trzydziestych, gdy musiał ująć z Kijowa podczas najazdu tatarskiego.

W międzyczasie gdańscy dominikanie muszą zintensyfikować swe wysiłki na rzecz misji pruskiej, bo dopinguje ich do tego legat papieski Wilhelm z Modeny, za którego namową Kuria Rzymska zleca w 1231 r. prowincji polskiej propagowanie i kierownictwo wypraw krzyżowych do Prus. Tym samym od misji pruskiej zostają ostatecznie odsunięci cystersi, zwłaszcza biskup Chrystian, który już odniósł pewne sukcesy. Trzeba przyznać, że dominikanie mają tu do pokonania o wiele większe trudności, bowiem muszą przemierzać pieszko lub w najlepszym razie konno wielkie obszary nieznanymi im terenów, pokonać bariery językowe, przełamać nieufność i nawet wrogość licznych władców plemiennych, kapłanów pogańskich i tubylczej ludności.

Siłą rzeczy, do czego zmusza ich także Kuria Rzymska, dominikanie muszą nawiązać kontakt z krzyżakami sprowadzonymi przez KONRADĄ mazowieckiego w 1226 r. Dzięki ich pomocy zakładają dwa nowe klasztory w Elblągu (1237) i w Chelmnie (1244), co pozwala im zapuszczać się daleko na tereny pruskie. Wyprowadzając zbrojne zastępy krzyżowców, docierają nawet na Bornholm i Litwę. To z kolei powoduje, że w Kurii Rzymskiej skarży się na nich arcybiskup ryski, iż dezorganizują mu pracę na terenie podległej metropolii. Ich nad wyraz efektywna działalność — pokojowa chrystianizacja Prus — zaczyna niepokoić krzyżaków. Układające się dotychczas pomyślnie stosunki, w miarę upływu czasu zaczynają się pogarszać. Gdy w 1242 r. wybucha ogólnonarodowe powstanie Prusów,

wspierane ponoć przez księcia Świętopełka, dominikańska misja — praktycznie pozbawiona wsparcia przez Zakon Krzyżacki — załamuje się. W obawie o swe życie, bowiem brutalna akcja kolonizacyjno-represyjna ze strony polskich książąt i krzyżaków wznaga jedynie opór podbijanej ludności pruskiej, dominikanie stopniowo opuszczają teren misji. Późniejsze apele papieżstwa do polskich dominikanów o wzmoczenie wysiłków na rzecz misji pruskiej — nie odnoszą żadnego skutku. Wykorzystują to sprytnie krzyżacy, którzy zaczynają popierać bardziej im sprzyjających franciszkanów, tworzą zręby własnej organizacji kościelnej, eliminując z niej dominikańskich biskupów. Zdrażnione stosunki dominikańsko-krzyżackie będą nasilać się z mniejszą lub większą siłą w przyszłości.

Dominikanie a władcy wschodniopomorscy

Dobrze układające się stosunki między dominikanami i księciem Świętopełkiem uległy chwilowemu ochłodzeniu na początku lat trzydziestych XIII w., gdy podczas konfliktu między nim a biskupem Michałem opowiedzieli się za drugim. Niebawem nastąpiła wyraźna poprawa, gdyż złożony ciężką chorobą książę zasięga porady klasztornej medyka. Wyleczony, z namowy dominikanów, postanawia w 1249 r. zwrócić prawowitym właścicielkom — norbertankom żukowskim — wszystkie posiadłości na Kępie Oksywskiej, które odebrał im w 1224 r. i przyznał oliwskim cystersom.

W 1251 r. Świętopełk udzielił schronienie biskupowi sambijskiemu „in patribus infidelium” TETWARDOWI. Z osobą tego dominikańskiego biskupa książę wiązał pewne nadzieje, że po oderwaniu archidjakonatu pomorskiego od biskupstwa wrocławskiego, uda mu się utworzyć nową diecezję, którą obejmie Tetward. Trzeba przyznać, że Tetward cieszył się dużym zaufaniem u Świętopełka, który powierzał mu ważne misje dyplomatyczne. Sam Tetward występował w pełnym blasku ceremoniału kościelnego, chodząc w pontyfikalnym stroju i odprawiając uroczyste nabożeństwa na Pomorzu Gdańskim. Czy zachodził on do swych konfratrów w Gdańsku, czy towarzyszyli mu oni w jego podróżach, czy w ogóle poparli oni plany Świętopełka i Tetwarda, nie wiemy. W każdym bądź razie plany te upadły, gdyż legat papieski HUGON od Sw. Sabiny — pod wpływem silnej interwencji i presji biskupa Michała — nakazał w 1252 r. opuścić Tetwardowi Pomorze Gdańskie.

W dniu 10 stycznia 1266 r. umiera powszechnie miłowany i oplakiwany książę Świętopełk. Egzekwie żałobne trwają wiele dni. Ciało księcia, zanim spoczęło na stałe w nekropoli władców wschodniopomorskich w Oliwie, wystawiono również na widok publiczny w dominikańskim kościele Sw. Mikołaja.

Władzę na Pomorzu Gdańskim obejmuje WARCISŁAW Świętopełkowiec, książę gdański, z którym początkowo ściśle współpracuje jego starszy brat MŚCIWOJ II, książę świeicki. W ich towarzystwie stałe przebywają dominikanie. W 1267 r. w Świeciu zawiera Warcisław układ pokojowy z Zakonem Krzyżackim, który zakończył proceder wysyłania przez krzyżaków łupieskich wypraw na Pomorze Gdańskie. Wśród świadków występują dwaj dominikanie gdańscy (?) TYMON i JAN, co może tylko oznaczać, że byli oni zwolennikami pokojowego rozwiązywania konfliktów natury politycznej.

Po śmierci Warcisława dominikanie już nie odstepują od Mściwoja, który zostaje jedynowładcą. Stają się jego najbardziej zaufanymi doradcami i świadkami wielu wystawionych przez niego dokumentów. W 1275 r. w ich towarzystwie odbył podróż poślubną na Kujawy i wprowadzał na Pomorze Gdańskie małżonkę EUFROZYNE, córkę księcia kujawskiego KAZIMIERZA. W latach 1275—1293 przeor MATEUSZ WOJAN, przeor BERNARD, lektor JAN podpisali łącznie 11 dokumentów wystawionych przez Mściwoja na rzecz augustianów ze Swornegaci, biskupa wrocławskiego Alberta i Wisława, oliwskich cystersów itd., z których dwa wystawiono w dominikańskim klasztorze.

To za przychylnością i wolą Mściwoja dominikanin gdański WOJAN otrzymał w 1278 r. kawał gruntu

w Słupsku i założył na nim kolejny klasztor dla swej prowincji. W 1289 r. powstaje za zgodą księcia kolejny klasztor dominikański w Tczewie, którego pierwsza obsada najprawdopodobniej wywodziła się z gdańskiego konwentu.

Wzniesienie klasztoru i kościoła przez dominikanów oznaczać może tylko, że Świętopełk przyznał dominikanom nie tylko starą świątynię targową, ale również — nie potwierdzając tego na piśmie — pewną część terenów osady targowej, którą najprawdopodobniej przeniesiono w rejon dzisiejszego kościoła Sw. Katarzyny.

W tym przekonaniu utwierdza nas przywilej wielkiego przyjaciela dominikanów — MŚCIWOJA, wystawiony w obecności dygnitarzy książęcych w dominikańskim klasztorze w oktawę Wniebowzięcia N.P. Marii (16—21 sierpnia) 1280 r., w którym ten wyraźnie nawiązuje do donacji ojca — *sub dilectio patre nostro bono memorie domino Swantopolko duce ab initio foundationis domus*.

Mściwoj nie tylko zatwierdził nadanie ojca, ale również znacznie je rozszerzył. Przyznał dominikanom teren położony od klasztoru na wschód aż po Motławę, który zawarty między dwiema fosami i bagnami liczył łącznie około 6 ha powierzchni. Dominikanie mogli tu zakładać pola uprawne, ogrody i warzywniki oraz posiadać łąki do wypasu bydła i owiec. Mogli korzystać z wód Potoku Siedleckiego od źródeł po ujście, budować stawy rybne i stawiać młyny (jeden już istniał), łowić w tym potoku ryby oraz wypływać nim na połowy na Wisłę, Zalew Wiślany, Bałtyk i inne wody na ziemi książęcej, według uznania i potrzeb.

Tak rozległy przywilej dominikanie przyjęli napewno z uzasadnionego praktycyzmu, bo co innego żyć kilku zakonnikom z żebraniń, a co innego cały klasztor oprzeć wyłącznie na jałmużnach. Zresztą, warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że na nabywanie w drodze sukcesji dóbr doczesnych dominikanom zezwalała bulla papieża KLEMENSA IV z 1266 r.

Przyjazne stosunki między Mściwojem i dominikanami miały również aspekt polityczny. W dobie narastającego zagrożenia ze strony margrabiów brandenburskich Mściwoj chciał ich wykorzystać do umocnienia swego wpływu w główniejszych miastach pomorskich, tym bardziej, że buntowało się tam sprzyjające Brandenburczykom niemieckie mieszczaństwo.

Zapewne przyjaźnie do dominikanów z Gdańska odnosił się sukcesor Mściwoja — Przemysł II, książę wielkopolski, który przecież tak wiele dobra uczynił dla wielkopolskich dominikanów i którego spowiednikiem i zaufanym doradcą był dominikanin Teodoryk, lektor poznański.

Dominikanie cieszyli się wielkim uznaniem również u księcia brzesko-kujawskiego Władysława Łokietka, następcy Przemysła II, który przypuszczalnie dwukrotnie (1298, 1299) gościł w murach dominikańskiego klasztoru podczas pobytu w Gdańsku. Prawdopodobnie witał go osobiście przeor Ryszard, ten sam, który z innymi dominikanami, Bernardem i Mikołajem, widnieje na akcie przekazania przez puckiego plebana Lamberta młyna nad rzeką Walewką klasztorowi w Oliwie w 1297 r. Tegoż samego księcia, gdy powracał na Pomorze Gdańskie po krótkim panowaniu Wacławów czeskich, witali około 17 grudnia 1306 r., gdański przeor Wilhelm oraz *wszyscy rycerze i możni oraz kler i wszystkie lud... Pomorza*, wychodząc z dominikańskiego kościoła Sw. Mikołaja aż na obwarowania miejskie.

Znaczenie działalności dominikanów dla Gdańska

Przez prawie dwa stulecia dominikański klasztor był jedynym klasztorom męskim na terenie Gdańska, gdyż karmelici osiedlili się na Nowym Mieście dopiero pod koniec XIV w., franciszkanie zaś na Nowym Przedmieściu w pierwszej połowie XV w. To zapewniało mu stały dopływ kandydatów z miasta i najbliższej okolicy, z których większość wywodząc się z uboższych warstw, niezależnie od powołania, szukała tu możliwości zrobienia kariery.

Niewątpliwie pierwsza generacja gdańskich dominikanów z Jackiem Odrowązem na czele była pochodzenia polskiego. Następne ich generacje zapewne były również opanowane przez żywioł polski, aczkolwiek XIII-wieczne dokumenty — za wyjątkiem Wojana — notują ich pod nie znaczącymi imionami ogólnochrześcijańskimi. Na to wpływ miała nie tylko przynależność gdańskiego klasztoru do prowincji polskiej, ale również dwie zasadnicze przyczyny. Po pierwsze, Gdańsk i Pomorze Gdańskie zamieszkiwała w tym czasie w zdecydowanej większości ludność pochodzenia polskiego, do której dominikanie mogli jedynie dotrzeć przemawiając językiem polskim. Po drugie, władcy Pomorza Gdańskiego — Świętopełk i Mściwoj — niechętnie odnosili się do duchowieństwa zakonnego pochodzenia niemieckiego, czego najlepszym przykładem jest sprowadzanie zakonów z terenów dzisiejszej Polski i sprzyjanie ich dalszemu rozwojowi.

Istniejący wówczas w Gdańsku, Słupsku i Tczewie niewielki, ale dość silny element niemiecki mógł wywrzeć pewien wpływ na to, że dla niego dominikanie głosili kazania w języku niemieckim. Dopiero pod koniec XIII w. — gdy na Pomorze Gdańskie zaczęli napływać szerokim strumieniem osadnicy z Niemiec — ilość zakonników pochodzenia niemieckiego mogła dość znacznie wzrosnąć, ale — z powodów wyżej podanych — klasztor gdański nigdy nie był ostoją niemieczyny.

Wątpić jednak należy, aby na terenie Pomorza Gdańskiego dominikanie głosili kazania w języku pruskim, ponieważ Prusowie tworzyli tu nieliczne enklawy. Nie oznacza to wcale, aby tym językiem nie władali, gdyż musieli się nim posługiwać w czasie misji pruskiej, którego mogli się nauczyć z podręcznika ponoć opracowanego przez Wilhelma z Modeny.

Obok grodowego kościoła i później parafialnego kościoła Św. Katarzyny, kościół dominikanów należał niewątpliwie do głównych ośrodków życia religijnego w Gdańsku. Decydowało o tym nie tylko jego centralne położenie przy „via mercatorum”, ale również stojące na wysokim poziomie kaznodziejstwo i wyposażenie tej świątyni w liczne kapusty, tak wielce cenione i cieszące się uznaniem wczesnośredniowiecznego społeczeństwa.

Istnienie w tym kościele ołtarza N. M. Panny — orędowniczki zakonu — i ołtarza Św. Dominika — założyciela zakonu — wskazuje na to, iż dominikanom musimy przypisać wprowadzenie i rozwinięcie tych kultów w Gdańsku. Podtrzymanie przez nich kultu św. Mikołaja nie tylko dowodzi o ich realizmie, ale równie świadczy o tym, że ich świątynia służyła nadal podróżnikom morskim i żeglarzom. Skoro w ich świątyni znajdował się ołtarz Św. Piotra, to niemały odsetek wiernych obsługiwanych przez dominikanów musieli stanowić rybacy, którzy faktycznie niedaleko ich klasztoru nad Motławą mieli swoją przystań i byli nawet od nich zależni.

Dominikanie byli orędownikami kultu św. Wojciecha, Stanisława biskupa i innych polskich świętych, wobec czego można przyjąć, że propagowali te kultury na Pomorze Gdańskim. Tym samym przyczyniali się oni do pobudzania polskiej świadomości narodowej, która nabierała istotnego znaczenia w okresie wzmożonej kolonizacji niemieckiej w późniejszych czasach.

Pod względem teologicznego i kaznodziejskiego przygotowania dominikanie stali zapewne dużo wyżej od miejscowych kapelanów, których zaczęli stopniowo wypierać ze stanowisk pisarzy, kanclerzy i doradców. Warto tu wspomnieć, że założyciel klasztoru — Jacek Odrowąż — studiował w Paryżu i Bolonii. Do posługi kaznodziejskiej i duszpasterskiej przygotowywała dominikanów istniejąca przy klasztorze szkoła konwentualna, którą powołano — na mocy ogólnych przepisów zakonu z 1220 r. — przypuszczalnie jeszcze przed 1250 r. O jej rzeczywistym funkcjonowaniu trudno jednak, z braku poświadczenia źródłowego, powiedzieć coś więcej. Na podstawie analogii z innych miejscowości wiadomo, że tymi szkołami zarządzali lektorzy, którzy mieli obowiązkowo wyższe studia teologiczne. Pierwszego lektora gdańskiego, Jana, który pełnił również funkcję przeora, źródła wymieniają już w 1287 r. Najwyższe władze zakonu zalecały, aby szkoły

konwentualne miały charakter otwarty, bowiem uważano, iż z jednej strony wysłuchiwanie wykładów i udział w dysputach przez zaproszonych gości, zwłaszcza świecki kler, podnosi ich poziom, z drugiej zaś strony jest to szczególnie rodzaj kaznodziejstwa.

Najstarsza Konstytucja zakonu nakazywała również, aby każdy klasztor posiadał bibliotekę wyposażoną w Biblię z glossami, podręczniki dla spowiedników, zbiory kazań, dzieła teologiczne i inne. Wiadomo również, że każdy dominikanin był zobowiązany zaopatrzyć się w odpowiedni zestaw podręczników, jeśli udawał się w podróż misyjną.

Nie podlega żadnej dyskusji, że klasztor dominikanów stanowił informatyczne centrum, skąd rozchodziły się wieści o innych ziemiach, narodach i ludach. Ogromną rolę w rozpowszechnianiu tych wieści spełniał mający XII-wieczną tradycję targ, który odbywał się w okolicy klasztoru i ściągał doń rzesze wiernych, pątników itp. Ranga targu niepomierne wzrosła, gdy dominikanie uzyskali specjalny przywilej odpustowy od papieża Aleksandra IV w 1280 r., podobnie jak w Olmuńcu i Frankfurcie nad Menem.

Dominikanie przysłużyli się Gdańskowi nie tylko w sferze religijnej i kulturalnej, ale mają również spore zasługi w dziedzinie gospodarczej. Przyczynili się pośrednio lub sami zagospodarowali swoją „wyspę”, co znalazło odbicie w powiedzeniu kaszubskim odnotowanym przez ks. LEONA SYCHTE: *Święci Jack strzimoł morze, że dał jic ni może*. Duże znaczenie dla klasztoru i także gdańszczyzny miała wprowadzona przez dominikanów hodowla karpia, który uzupełniał w białko zwierzęce skromny jadłospis w okresie postów wynoszący wówczas niebagatelną ilość ponad 150 dni w roku. Apteka klasztorna była wyposażona w zioła, które uprawiano zapewne w przyklasztornym ogrodzie. Nie należy zapominać o tym, że dominikanie dysponowali wodnym młynem i mieli prawo zakładać dalsze, a więc nie tylko cystersi byli prekursorami przemysłu na pomorskiej ziemi.

Jakkolwiek cegła była już znana w Gdańsku (gród) i jego najbliższej okolicy (Oliwa), to wznosząc z niej swój kościół i być może niektóre zabudowania klasztorne, przyczynili się dominikanie do jej upowszechnienia i rozwoju budownictwa ceglanego na Pomorzu. Proporcje ich kościoła wyraźnie nawiązują do prezbiterium obecnego kościoła Św. Jakuba w Sandomierzu oraz najstarszych świątyń dominikańskich w Krakowie, Wrocławiu i Poznaniu, ale skąd sprowadzili muratorów do Gdańska i z jakich wzorów architektonicznych korzystali, tego już chyba się nigdy nie dowiemy. Jedno jednak jest pewne, że im gdańszczyźnie zawdzięczają umiejętność stawiania najodpowiedniejszych na podmokłych terenach łęgowych fundamentów. Cegłą mogła im dostarczać cegielnia uruchomiona przez oliwskich cystersów, ale mogli mieć własną, gdyż wiadomo, że takowe istniały przy klasztorach w Elblągu i Chełmnie.

Według starej tradycji dominikańskiej — odnotowanej przez dominikanina Seweryna z Lubomla (S. Lubomlczyka) pod koniec XVI w. — klasztor w Gdańsku miał w XIII w. liczyć około 180 zakonników. Jest to zapewne liczba przesadzona, ale najnowsze badania wykazały, że pod względem liczebności Gdańsk zaliczał się, po Krakowie i Wrocławiu, do największych klasztorów prowincji polskiej.

Pod koniec XIII w. klasztor w Gdańsku należał prawdopodobnie do kontraty lub mówiąc inaczej nacji kaszubskiej, czyli mniejszej jednostki organizacyjnej prowincji, które powołano z uwagi na duże odległości między poszczególnymi klasztorami i macierzystym Krakowem, skomplikowane zależności polityczne i trudności w przepływie informacji. Na czele kontraty stał mianowany przez prowincjał w porozumieniu z kapitułą prowincjalną wikariusz, który w jego imieniu sprawował pełnię władzy na danym terenie.

Bezpośredni kontakt, otwarty i skromny tryb życia oraz życzliwość dla ludzi sprawiły, że dominikanie rychło stali się niezwykle popularni w Gdańsku. Nazywano ich tutaj „czarnymi mnichami”, od noszonych czarnych szkaplerzy sukiennych. Ponieważ stawali w obronie uciskanych, stali trybunami najbiedniejszych warstw ludności gdańskiej.

Stosunek dominikanów do zaboru Pomorza przez krzyżaków

Radość z powodu powrotu pod koniec 1306 r. prawowitego władcy WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA, którego witał także — o czym już wspominaliśmy — przeor gdański WILHELM, nie trwała jednak długo. W sierpniu 1308 r. Gdańsk zajęli brandenburskie oddziały i zagroziły warownemu grodowi, przy jawnym poparciu mieszczan pochodzenia niemieckiego. Jego obrońca, sędzia pomorski BOGUSZA, ściga na pomoc — za wiedzą Łokietka — zbrojny oddział krzyżaków, za radą przeora Wilhelma. Krzyżacy tymczasem nie tylko wyparli z miasta Brandenburczyków, ale również odbili od Polaków gród oraz dokonali masakry wśród Pomorzan i mieszczan. Ponieważ pomordowanych krzyżacy nie pozwolili pochować miejscowym dominikanom, część rycerzy pomorskich musiał pochować opat cysterski w Oliwie RÜDIGER. W następstwie tych wydarzeń Zakon Krzyżacki dokonał podboju Pomorza do końca 1309 r.

Niefortunnej rady Bogusze — w sprawie sprawowania na pomoc krzyżaków — miał ponoć udzielić przeor Wilhelm. Nie był on napewno ich poplecznikiem i z nimi w zмовie, lecz jego rada wynikała z jak najlepszych intencji. Wcześniej już przeciw Zakon Krzyżacki udzielił pomocy Łokietkowi i kto mógł przypuszczać, że tym razem dopuści się takiego wiaromostwa. O tym, że ten przyszył przeor elbląski, inkwizytor papieski na Prusy i Inflanty i długoletni lektor płocki zajmował antykrzyżacką postawę, świadczą jego zeznania na procesie polsko-krzyżackim w Warszawie w 1339 r., gdzie przedstawił — jako świadek powołany przez stronę polską — przebieg wydarzeń gdańskich w 1308 r. Z jego dalszej relacji dowiadujemy się, że on, jako przeor elbląski, oraz przeor gdański HENRYK i pozostali przeorzy kontraty pruskiej (Chełmno, Elbląg, Tczew, Toruń), zostali przymuszeni przez krzyżaków do wystosowania w ich obronie pisma do papieża BENEDYKTA XII w 1335 r. Analiza tego dokumentu wykazuje, że dominikanom udało się jednak wykręcić — prawdopodobnie w obawie przed kompromitacją w oczach europejskiej opinii — od jawnego stawiania w obronie Zakonu Krzyżackiego, któremu zarzucano dokonywanie wielu nieprawości podczas najazdów na Litwę. Dominikanie oświadczyli jedynie, podobnie jak opaci cysterscy z Oliwy i Pelplina, że wierność wobec kościoła i obrona jego praw wymaga szerzenia chrześcijaństwa wśród pogan, co realizuje Zakon Krzyżacki.

Nie był to jednak jedyny przypadek zastosowania przez krzyżaków przymusu wobec dominikanów. W dniu 7 października 1310 r. prowincjał polski PEREGRYN Z RACIBORZA i kapituła prowincjonalna zebrana w Elblągu, w której obradach mógł uczestniczyć także znany nam już Wilhelm, wystosowali pozytywną opinię o działalności Zakonu Krzyżackiego do papieża KLEMENSA V. Zadziwiająca rzeczą jest to, że kilkadziesiąt wierszy tego dokumentu wykazuje całkowitą identyczność z pismami, które cztery dni później wystosowali do kurii papieskiej w Awinionie, powiadomionej już o zbrodniach krzyżackich na Pomorzu przez arcybiskupa ryskiego FRYDERYKA VON PERNSTEINA, trzech biskupów pruscy. Stąd wynika oczywisty wniosek, że wszyscy opiniodawcy najprawdopodobniej korzystali z tego samego formularza podsunętego zapewne nie przez kogoś innego, jak przez najbardziej zainteresowanych w oczyszczeniu się z zarzutów krzyżaków. Dlaczego dominikanie ulegli? Bali się być może o dalsze istnienie ich klasztorów na terenie państwa zakonnego. Prawdopodobnie na tej kapitule zapadła decyzja o wyłączeniu z kontraty kaszubskiej klasztorów w Gdańsku i w Tczewie i włączeniu ich do nowo powołanej kontraty pruskiej.

Budowa nowego kościoła i klasztoru

Na wspomnianym procesie polsko-krzyżackim w 1339 r., gdzie po udowodnieniu winy Zakon Krzyżacki został zobowiązany do zwrotu zagrabionych ziem Polsce, zeznawał jeszcze inny dominikanin, przeor elbląski MIKOŁAJ. Z jego relacji wynika, że podczas pochodu na Gdańsk krzyżacy mieli ponoć

zniszczyć wiele kościołów i klasztorów. Jednak żadne źródło pisane nie donosi nam, aby w 1308 r. — w czasie bezpośrednich walk — niszczył dominikański klasztor w Gdańsku. Nie słyszymy również, aby sami dominikanie doznali krzywdy ze strony krzyżaków — za wyjątkiem tego, że utrudniano im działalność. Dopiero w 1312 r. wielki mistrz KAROL Z TREWIRU przyznał mieszkańcom dawnego podgrodzia, zwanego Osiekim, łąki leżące nad Potokiem Siedleckim w pobliżu Motławy, które od czasów książęcych należały najprawdopodobniej do dominikanów.

Niewielka była to strata dla klasztoru, ale niebawem miały nadejść dla niego ciężkie chwile. Powstałe z inicjatywy krzyżaków Główne Miasto w krótkim czasie, zagospodarowało przynany mu teren i oglądało się za dalszym. Wówczas władze tego miasta zainteresowały się żywo ziemią położoną na wschód od klasztoru. Już w 1343 r. — zapewne za przyzwoleniem wielkiego mistrza WINRYCHA VON KNIPRODE — przez dominikański teren przeprowadzono tamę-groble, która jednocześnie służyła jako droga łącząca Główne Miasto ze Starym Miastem i z zamkiem krzyżackim (dzisiejsza ul. Grobla I—IV).

Zaniepokojony obrotem sprawy konwent gdański powiadomił władze prowincji, które rozpatrywały ją na kapitule we Wrocławiu w 1344 r. Na mocy jej postanowienia prowincjał polski STANISŁAW Z KRAKOWA upoważnił przeorów kontraty pruskiej do podjęcia rozmów w tej sprawie z krzyżackim komturem w Gdańsku. W wyniku tych negocjacji, które odbyły się na zamku krzyżackim, dominikanie, wśród których był przeor gdański PIOTR, zostali przymuszeni — inaczej tego nie można nazwać — do zawarcia ugody z Głównym Miastem, w której krzyżacy występują tylko jako świadkowie (!). W spisanim z tej okazji dokumencie w 1344 r. powiedziano wyraźnie, iż dominikanie z dotąd należących do nich terenów mają się zrzec na stałe i to samo powinno należeć do miasta Gdańska.

Nie było innej rady, jak tylko odwołać się do wielkiego mistrza HENRYKA DUSEMERA, który osobiście przybywszy do Gdańska zatwierdził 15 maja 1348 r. ogólne postanowienia ugody, ale wprowadził kilka istotnych i korzystnych dla dominikanów zmian. Przede wszystkim zezwolił im na wzniesienie bramy wjazdowej i furty klasztornej, pozwolił im na swój koszt skierować do klasztoru wody Potoku Siedleckiego w specjalnej rynnie pod fosą miejską, a dalej od klasztoru pod murem obronnym ponownie do fosy miejskiej lub fosy młyńskiej. W drugim przypadku chodziło o to, aby klasztor był zasilany w pitną wodę, która jednocześnie służyłaby do napędu znajdującego się na terenie klasztoru młyna zbożowego. Tę rynnę, a właściwie przesklepiony kanał z cegły, który biegnie wzdłuż zachodniej ściany hali targowej przy ul. Pańskiej i dalej ukośnie w kierunku ul. Lawendowej 4/5, odsłonięto w 1960 r.

W ciągu lat 1344—1348 klasztor utracił bezpowrotnie znaczną część należącego do niego od czasów książęcych terenu oraz odebrano mu również prawo połowowe. Odtąd granice enklawy klasztornej, po korektach, wynosiły odpowiednio: północna — 79,8 m, wschodnia — 86,3 m, południowa — 82,9 i zachodnia — 79,8 m, czyli teren klasztorny zbliżony kształtem do kwadratu liczył około 0,7 ha powierzchni. Na odebranych terenie powstało niebawem Nowe Miasto tzw. Dzielnica Świętojańska, której nazwa wywodzi się od znajdującego się tu kościoła Sw. Jana. Włączenie klasztoru i Nowego Miasta do patrymonium Głównego Miasta spowodowało, że dominikańska placówka znalazła się na jego uboczu. W efekcie tego tereny położone wokół klasztoru nie były atrakcyjne i istniała tu luźna zabudowa zamieszkała przez uboższych mieszkańców miasta. Jeszcze w latach 1352—1357 ulice w rejonie klasztoru nie miały właściwie ustalonej nazwy, np. dzisiejsza ul. Pańska — „twergase versus monachos” (ul. Do Mnichów), ul. Lawendowa — „twergase ante monachos” (ul. Przed Mnichami) i ul. Garncarska — „versus monachos” (Do Mnichów).

Tylko dzięki ustępstwom dominikanie zadowolająco to, że pozwolono im wreszcie na budowę — co pewnie zamierzano uczynić wcześniej — większego i nowocześniejszego klasztoru wraz z kościołem. Trwała ona wiele dziesiątków lat i prowadzono ją etapami, z

uwagi na ogromne koszty i możliwości techniczno-wykonawcze kolejno zmieniających się ekip budowlanych.

W pierwszym etapie, który obejmował przypuszczalnie lata 1348—1360, wzniesiono wydłużone, 4-przęsłowe oskarpowane prezbiterium nowego kościoła Św. Mikołaja, do którego przylegała niska zakrystia zakończona od strony zachodniej równie niską wieżą dzwonną, których południowe ściany posadowiono na fundamencie kościoła z lat 1227—1235. Na północ od prezbiterium przystąpiono wówczas do budowy południowo-wschodniego narożnika przyszłego klasztoru.

W drugim etapie (ok. 1360—1390) do prezbiterium, które podwyższono do dzisiejszej wysokości (także wieżę dzwonną), dostawiono od strony zachodniej halowy, 3-nawowy i 6-przęsłowy korpus główny, którego południowa krzywizna w stosunku do zakrystii jest nadal niewyjaśniona.

Zakończenie budowy klasztoru należy wiązać z dwoma dokumentami wystawionymi przez wielkiego mistrza KONRADA ZÖLLNERA. W pierwszym dokumencie z 15 maja 1384 r. potwierdził on decyzję swego poprzednika Dusemera z 1348 r., ponieważ dominikanie zagubili oryginalny dokument. W drugim dokumencie wystawionym na zamku krzyżackim w Gdańsku 20 maja 1389 r., dla przeora JANA RYMANA, podprzeora MIKOŁAJA TIRGARTA, JANA TYNGILA, TEODORYKA MOHLIZENA, JANA REBYNA i PIOTRA ZEBENWIRTHA — seniorów konwentu gdańskiego, ponownie odnowił dokument Dusemera z 1348 r.

Wieża, którą klasztor miał wybudować w pewnym miejscu, nie przyniosłaby miastu korzyści, dlatego pozwilił im na jej wybudowanie przy własnych zabudowaniach, co też wcześniej dominikanie uczynili. Jest tu mowa o nieistniejącej już obecnie Baszcie Klasztornej. Miała ona dwie kondygnacje, z których dolną wykorzystywało miasto w celach obronnych, dolna zaś miała służyć dominikanom jako gdanisko, czyli klasztorny klozet, którego odchody — podobnie jak odpady z klasztornej kuchni — spływały do północnej fosi miejskiej. Baszta stała w pasie muru obronnego, tuż obok obecnej ul. Lawendowej i była połączona z klasztorem dwoma wysokimi lukami, aby pod nimi mógł przejechać swobodnie 4-konny wóz z sianem.

Rozmieszczenie pomieszczeń klasztoru znamy jedynie z opisu, bowiem spłonął on na początku XIX w. Z najwcześniejszego opisu Bartłomieja (Bartel? Rarnischa z końca XVII w. wynika, że klasztorne zabudowania wraz z kościołem położonym po południowej stronie tworzyły zwarty czworobok. Z kościoła dwa obszerne wejścia wiodły do dużego krużganek, który otaczał wirydarz z ogrodem. W południowo-wschodnim narożniku, tuż przy prezbiterium, znajdowała się sala kapitulna. Po wschodniej stronie wielkiego krużganek znajdowały się pomieszczenia gospodarze, jak drewnitnia, piekarnia, młyn konny, spichlerz i suszarnia. Po północnej stronie mieścił się priorat z małym ogrodem, klasztorna biblioteka i mały refektarz. Za nimi był mały krużganek z szerokim wejściem do wirydarza, wzdłuż którego od północnej strony mieścił się browar, duży refektarz, kuchnia i spiżarnia. Po stronie zachodniej od dużego krużganek znajdowała się sala przyjęć z wyjściem na zewnętrzny dziedziniec klasztorny i kaplica tzw. Mały kościół.

Pod koniec XIV w. w linii miejskiego muru obronnego, w pobliżu klasztoru, wzniesiono jeszcze dwie baszty obronne: Św. Jacka i Dominikańska, pierwszą — miejską, drugą — klasztorną.

Dominikanie i mieszczaństwo

Wykorzystując słabość miejskiej sieci parafialnej w drugiej połowie XIV w., która nie potrafiła zorganizować w odpowiedni sposób życia religijnego dla w szybkim tempie przyrastającej ludności Gdańska, dominikanie przyciągnęli do siebie bogate mieszczaństwo. W dniu 17 lipca 1357 r. przeor gdański PIOTR VOGEL zawarł umowę z bogatym cechem rzeźników, że za dostawę 3 kamieni łożu będą celebrować nabożeństwa przy ołtarzu cechowym. Krótko po 1367 r., być może za przelożenia JANA Z ŁUCKA, o którym pierwsza wzmianka pochodzi z 1371 r., kolejny

ołtarz w kościele dominikanów ufundował sobie cech browarników. Od 1386 r. cech żeglarzy, właściwie sterników morskich, ułożył się z konwentem dominikańskim, że za dostawę dwóch ton śledzi i rentę w wysokości 30 grzywien będzie miał te same usługi jak cech rzeźników.

Z dominikanami wiązały się w tym czasie nie tylko cechy. W październiku 1374 r. przeor ARNOLD zobowiązał się, a w czerwcu 1375 r. prowincjał JAN Z BRZEGA potwierdził, że dominikanie za odpowiednią opłatę będą odprawiali msze za żyjących i zmarłych członków charytatywnego Bractwa Kapłańskiego z Kościoła Mariackiego.

Każde z tych stowarzyszeń miało swoje cele, dążeń i patronaty, ale wspólnym ich zadaniem było organizowanie pod duchową opieką dominikanów wspólnych nabożeństw, mszy i modlitw oraz czynienie uczynków miłosierdzia dla zbawienia duszy własnej i zmarłych. Jednak zasadniczy wpływ na ożywienie religijne w tym czasie miały liczne klęski elementarne, uznawane jako kara niebios za grzechy popełniane przez ludność. Mistycyzm i rezygnacja z doczesności stała się regułą życia codziennego, czego najlepszym przykładem jest postać Doroty z Małotów Wielkich, która od 1363 r. przez niemal 30 lat regularnie przystępowała do Komunii św. w gdańskich kościołach, w tym również Św. Mikołaja.

W 1387 r. dla dominikańskich tercjarek (III zakon) konwent gdański zakupił z legatu zapisanego przez bogatego mieszczanina PIOTRA GOLDBACHA i jego żony kawałek gruntu w pobliżu klasztoru i wystawił dla nich dom konwentualny. Beginki — to religijna wspólnota ubogich panien i wdów, które nie mogły wstąpić do klasztoru, bo na to nie zezwalał ich majątkowy cenzus. Utrzymywały się z wyrobu świec, prania bielizny kościelnej i wykonywania robótek ręcznych, zajmowały się również wychowywaniem młodych dziewcząt, tylko w ostateczności trudniły się zbieraniem jałmużny.

Dominikanie zdawali sobie sprawę, że bez wzmocnienia instytucji odpustu ich kościoł w końcu znacznie świecić pustkami. Gdy tylko odwiedził ich arcybiskup halicki BERNARD, ich konfrater, wyjednali od niego 17 grudnia 1388 r. specjalny przywilej odpustowy, na mocy którego każdy kto odmówił „Ojciec nasz” przed relikwiami Krzyża św. i innymi w ich kościele oraz spełnił dobry uczynek uzyskiwał 40 dni odpustu.

W poszukiwaniu dodatkowych dochodów, bo przecież rosły koszty utrzymania i nastąpiły ograniczenia w zakresie zbierania jałmużny, związali się gdańscy dominikanie z instytucją prowizariatu. Polegało to na tym, że za legaty zapewniali bogatym, starszym mieszczanom utrzymanie i mieszkanie w swoim klasztorze do końca ich życia, jak to wynika z umowy zawartej z pewnym elblążaninem i jego żoną w 1415 r.

Ich potrzeby gwałtownie wzrosły po 1423 r. Wówczas — jak głosi Kronika Lubecka (Rufusa) — w ich klasztorze miał wybuchnąć pożar. Badania w 1955 r. wykazały istnienie warstwy popożarowej datowanej na pierwszą połowę XV w. w prezbiterium kościoła Św. Mikołaja.

Konflikt dominikańsko-krzyżacki

Koniec XIV w. nie zapowiadał większej zmiany w stosunkach dominikańsko-krzyżackich. Jeszcze latem 1397 r. dominikanie wystawili w swym kościele religijne misterium przedstawiające martyrologię świętych z udziałem wielu statystów, dla uczestników zwołanego z inicjatywy Zakonu Krzyżackiego zjazdu pokojowego w Gdańsku, który doprowadził do upragnionej przez wszystkich ugody między mistrzem inflanckim i biskupem dorpackim. Na początku XV w. doszło do zaostrzenia stosunków, gdy Zakonowi Krzyżackiemu nie powiodła się próba oderwania kontraty pruskiej od prowincji polskiej, starali się za pośrednictwem biskupa włocławskiego JANA KROPIDŁY, który jednak rychło wycofał się z tej sprawy, użyć skąd bulę papieską ograniczającą swobodę działania dominikanów.

Skąd taka awersja krzyżaków do dominikanów? Po pierwsze, nie mogli ich sobie podporządkować ze względów wyżej podanych. Po drugie, dominikanie mieli ogromny wpływ na mieszczaństwo. Ze swym

postulatem życia w ubóstwie i prostocie, w przeciwieństwie do krzyżaków i posłusznego im diecezjalnego kleru, dominikanie szybciej docierali do ludności i łatwo znajdowali z nią wspólny język. Tej konkurencji, która tak łatwo kształtowała przeciwnostawne im postawy i nastroje, nie mogli dalej tolerować.

W 1421 r. posłuszna krzyżakom Rada Miasta zakazała dominikanom żebrania po domach i zapraszania ich do siebie przez mieszczan, bo jak twierdził historyk gdański PAUL SIMSON, *w nadziei na polepszenie bytu zawsze wiązali się z niespokojnymi elementami i byli źródłem długotrwałych trudności dla władz miejskich*. W odpowiedzi dominikanie podjęli kontratak z ambony swego kościoła, zarzucając rajcom miejskim wiele uczynionych nieprawości i krzywd. Ponadto przeor gdański HENRYK MUCKENBECKE 11 stycznia 1422 r. odwołał się w tej sprawie do wielkiego mistrza pisząc, że dominikanie *ulegli wprawdzie chwilowo jej żądaniom* (Radzie Miasta — wyj. aut.), *lecz nie mogą jednak na stałe zrezygnować ze swych praw, z których korzystali już ponad 200 lat, tym bardziej, że nie wolno im w tym kraju mieć ani majątków, ani dóbr, ani czynszów, ani posiadłości, więc czynią tak, jak w innych krajach*. Ponieważ wielki mistrz HENRYK KÜCHMEISTER podtrzymał decyzję władz miejskich, dalsze negocjacje przeniosły się do Rzymu, gdzie krzyżacką stronę reprezentował prokurator JAN TIERGART. Ulegając jego wpływowi generał zakonu w 1430 r. polecił dominikanom zaniechać całkowicie żebrania.

W międzyczasie wybuchł między dominikanami i krzyżakami nowy spór, tym razem na tle teologiczno-dogmatycznym, którego podłożem były idee WIKLEFA i HUSA znajdujące dość duży posłuch na terenie państwa krzyżackiego. Do tego doszły jeszcze religijne nowinki związane z „devotio moderna”, które polegały na rozpowszechnianiu niektórych tez TOMASZA A' KEMPIS. Zjawisko herezji musiało przybrać dość szerokie rozmiary, skoro w Gdańsku spalono — nie wiadomo z czyjej inicjatywy — heretyczkę w 1402 r., w Toruniu zaś GÜNTER TIDEMAN oficjalnie głosił w 1413 r., iż jest uczniem Husa i miał wielu słuchaczy.

Jako pierwsi żywo w tej materii zareagowali dominikanie, bowiem już w 1427 r. z upoważnienia papieskiego lektor gdański GERARD GEWANDSCHNEIDER rozpoczął głosić krucjatę antyheretycką w Prusach, a za nim z całą energią pozostali dominikanie. Nie podobało się to krzyżakom, którzy dążyli do narzucenia im swoich warunków. Gdy to nie wyszło, wówczas próbowali odciąć im źródła finansowania poprzez przejęcie dochodów, jakie uzyskiwali za związane z krucjatą odpusty papieskie. Wreszcie, w celu wyeliminowania ich całkowicie z krucjaty, wystarali się o podobne uprawnienia — za radą swych biskupów — dla swych proboszczów w Gdańsku, Elblągu i Toruniu, którzy realizowali zadanie ściśle według instrukcji krzyżackiej.

W tej sytuacji musiało dojść do ostrej polemiki między dominikanami z tych miast a tamtejszym klerem krzyżackim, który reprezentował w Gdańsku ANDRZEJ SŁOMMOW. W Toruniu zaś — ANDRZEJ PFAFFENDORF. W ciągu kilkuletnich zmagających pały wzajemne oskarżenia, pomówienia i obmowy, krążyły listy i paszkwile, do władz wpływały donosy itd. W spór włączony był układ w tym przypadku prowincjal polski, spowiednik Władysława Jagiełły, MIKOŁAJ Z PNIEW, biskupi, papież i wielki mistrz krzyżacki. Sprawa nabrała ogromnego rozgłosu. W wyniku którego społeczeństwa tych miast podzieliły się na dwa obozy. Za staraniem PIOTRA WICHMANA, dominikańskiego inkwizytora papieskiego na Prusy, rozpatrywał ją Sobór bazylejski w latach 1432—1434, który — z innych już względów — nie dał żadnego rozwiązania. Nie wdając się w szczegóły, bowiem nie pozwalają na to ramy niniejszego artykułu, przejdźmy od razu do konkluzji.

W rezultacie tego sporu PIOTR WICHMAN, JAN FALKENBERG, były regens studium generalnego w Krakowie i sześciu dominikanów toruńskich zostało wydalonych na stałe z państwa krzyżackiego. Rada Miasta w Gdańsku wystąpiła z wnioskiem do papieża o zdjęcie HENRYKA MUCKENBECKEGO z przeoratu, lecz generał zakonu — wręcz przeciwnie — po-

chwalił jego postępowanie. Z kolei ich największy antagonistą ANDRZEJ PFAFFENDORF, proboszcz toruński, musiał ustąpić ze stanowiska prokuratora krzyżackiego w Rzymie, a jego miejsce zajął ugodowy w tej sprawie kapelan Rady Miasta w Gdańsku JAN KARSCHAU. Pfaffendorf został w końcu przeniesiony na probostwo gdańskie, z którego wcześniej ustąpił Stommow, lecz długo się nim nie cieszył, gdyż zmarł po niecałym roku urzędowania w 1437 r. Wątpić w to należy, aby był on zwolennikiem Husa, ale musiał podobnie jak Stommow głosić nauki odbiegające od oficjalnie uznawanej przez Kościół, za czym przemawiałoby sformułowanie bulli papieża MARCHINA V z 20 grudnia 1430 r. — „*piarum aurium offensivos*” (obrażające uszy pobożnych).

PAUL SIMSON, który najwyraźniej nie rozumiał tła konfliktu, stanął w obronie Stommowa twierdząc, że był to człowiek postępowy, dominikanie zaś zacofani i ortodoksyjni. Zapomniał jednak o tym, że to właśnie Stommow donosił komturowi gdańskiemu o ukrywaniu się w gdańskim klasztorze Piotra Wichmana, który przygotowywał się do wyjazdu do Bazylei, że to proboszcz gdański pisał obraźliwe w formie i ośmieszające dominikanów paszkwile, że ten postępowy ksiądz krzyżacki, w czym jest zresztą dużo prawdy, zakazał gdańszczanom chodzić do dominikańskiego kościoła. Dominikanie zaś nie byli ani konserwatywni, ani ortodoksyjni, oni jako „*psy wierne Kościołowi*” po prostu czynili to, co do nich należało — bronili jego praw poprzez walkę z herezją.

W tym miejscu warto jeszcze podkreślić, że podłoże sporu dominikańsko-krzyżackiego — podkreślił to mocno wybitny znawca najstarszych dziejów Zakonu Dominikańskiego w Polsce PAWEŁ KIELAR — miało głębszy sens. W sytuacji społeczno-politycznej jaka wytworzyła się w miastach pruskich po Grunwaldzie, narastającego konfliktu między ludnością miast i patrycjatem popieranym przez krzyżaków, wystąpienie dominikanów miało charakter zagrożenia dla krzyżackiego państwa. Walka ich z Zakonem Krzyżackim — to pierwszy sygnał do powołania Związku Pruskiego w 1440 r. I o tym pamiętano, bowiem JAN VAN DEM HAGEN donosił do Rady Miasta w Gdańsku w 1451 r., aby Związek Pruski wystąpił specjalnego posła do Rzymu, który ma przedstawić przywileje i statuty oraz próby wypędzenia dominikanów przez Zakon Krzyżacki.

Pewne symptomy poprawy stosunków dominikańsko-krzyżackich obserwujemy w 1446 r. za przeoratu wybitnego dominikanina gdańskiego ANDRZEJA. Wówczas gdański mistrz funtowy WINRYCH VAN MANSTEDDE ufundował przy kościele Św. Mikołaja wikarię do obsługi kaplicy grzebalnej dla rycerzy Krzyżackiego konwentu, zastrzegając się jednak, że o jej obsadzeniu będzie decydował on sam, później jego następcy lub wielki szafarz krzyżacki. Zawierając tę umowę dominikanie — jeśli nie zostali do tego przymuszeni — kierowali się uzasadnionym praktycyzmem, bowiem mogli spodziewać się, że będą mieli dochody z tytułu ulg, zapisów i legatów. Warto w tym miejscu dodać, że już wcześniej u dominikanów byli chowani krzyżacy, o czym świadczy zachowana do dziś płyta nagrobna KASPRA WOLFSTEINA z 1400 r.

Ocena działalności dominikanów za czasów krzyżackich

Działalność dominikanów pod panowaniem krzyżackim wypadła nader korzystnie. Przede wszystkim nie poparli, mimo silnej presji Zakonu Krzyżackiego, koncepcji oderwania kontraty pruskiej od prowincji polskiej. Przez cały ten okres, z niewielkimi odchyleniami, byli do niego w opozycji, której źródłem były początkowo zagadnienia natury dogmatyczno-filozoficznej, przekształcające się później w formę otwartej walki społeczno-politycznej.

Dominikanie przewyższali nadal kler świecki w zakresie kaznodziejstwa, które było czynnikiem ściągającym mieszczan do ich kościoła. Dla parafialnego kaznodziei kazania były jednym z obowiązków. Był on właściwie samoukiem, stanowisko jego nie należało do wybitnych, zajmował je przejściowo — zależny całkowicie od proboszcza — czekając na lepsze. Do-

minikanin zaś był w tej materii specjalnie szkolony, posiadał większą wiedzę teologiczną i znaczne wyczuwanie mentalności słuchacza. Umiejętność tę nabywał w szkole konwentalnej, pod okiem doskonałych wykładawców i nauczycieli-lektorów. Wiadomo również, że dominikanie rywalizowali między sobą, bo to zapewniało im wspinanie się po szczeblach hierarchii zakonnej i powszechny szacunek. Dążność do podwyższania posiadanej wiedzy pchała ich na studia prowincjalne i uniwersyteckie, np. GERARD GEWANDSCHNEIDER studiował w Lipsku i Pradze.

Za przeoratu TOMASZA w 1450 r., którego zastąpił JAN CREMPER z Elbląga, władze prowincji ustaliły, że w Gdańsku, obok Krakowa, Wrocławia, Sandomierza, Torunia, Brzegu i Opola będzie studium teologiczne, wyznaczając jego regensem HENRYKA CAPSFLORA, bakałarza teologii oraz dwóch lektorów, jednego o nieznanym nazwisku i MIKOŁAJA DE HOLANDIA. W następnym roku generał zakonu mianuje PIOTRA CISTIFICISA lektorem konwentalnym, magistrem studentów zaś BARTŁOMIEJA GRISBARKA, który opiekuje się m. in. JANEM DROBOLTEM (DRUBBOLTEM), od 1458 r. studentem uniwersytetu w Kolonii.

Umiejętność dostosowania się do miejscowych warunków wynikała stąd, że dominikanie rekrutowali się najczęściej z rejonu działania klasztoru i z kręgów mieszczańskich. Znani nam Muckenbecke i Gewandschneider byli rodowitymi gdańszczanami, wymieniony w 1450 r. MIKOŁAJ LANE pochodził z Kamienia Pomorskiego, WINCENTY z Elbląga. ANDRZEJ OSAGER i skierowany do Pozdawilka OLDEWIL — to zapewne też mieszczenie. Trudno ustalić jakiego pochodzenia był organista JERZY SWENTHYN i MIKOŁAJ BITHER.

Położenie klasztoru na uboczu miasta sprawiło, że dominikanie obsługiwali biedniejsze warstwy ludności

gdańskiej, która skupiała się w strefie przymurnej, ale od drugiej połowy XIV w. przyciągnęli do siebie również bogate mieszczaństwo. Niekorzystna dla nich zmiana nastąpiła dopiero po stu latach, gdy upowszechniła się forma indywidualnych i zespołowych fundacji mszalnych i altaryjnych. Wówczas to patrycjat i bogate kupiectwo związało się bardziej z kościołem parafialnym N. P. Marii. Wielkim konkurentem dla dominikanów stały się fundacje szpitalne lokowane na uboczu miasta, kościoły przedmiejskie typowe dla dużych aglomeracji oraz fundacje innych zakonów.

Pod koniec XIV w. na Zachodzie dało się zauważyć ogólną tendencję do rozluźnienia dyscypliny klasztornej i odejście od reguły zakonnej. Nie ominęła ona również zakonu Dominikańskiego, ponieważ pomnażał się jego majątek i bogactwo oraz stabilizowała się jego pozycja w miastach. Odwlekana z różnych powodów reforma została tam wdrożona dopiero przez generała zakonu BARTŁOMIEJA TEXIERA (1426—1449). W prowincji polskiej, gdzie notowano jedynie wyjątkowe przypadki łamania przepisów zakonnych, wprowadził ją prowicjał MIKOŁAJ Z PNIEW i kontynuował jego następcą JAN Z ZĄBKOWIC (1431—1433). Objęto nią jedynie największe domy, w tym najszybciej w 1430 r. Wikariuszem generalskim do spraw reformy mianowano wówczas wielce zasłużonego dla gdańskiego klasztoru przeora MUCKENBECKEGO, którego w następnym roku zastąpił HENRYK VON HAWSE. Reforma połączona z obserwacją polegała na tym, że zakonnicy poddawali się dobrowolnie zaostrzonej dyscyplinie i regule zakonnej, a potem mogli być przenoszeni do innych klasztorów, aby tam prowadzić dzieło odnowy. Obserwację klasztoru gdańskiego ponowiono w 1452 r., a odpowiadał za nią PIOTR CISTIFICIS.

Czesław Piskorski

Budownictwo sakralne w województwie słupskim

W województwie słupskim jest około 200 kościołów i kaplic. Z punktu widzenia administracji Kościoła rzymsko-katolickiego wchodzi ono w skład diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, co prawda powstałej w 1972 r., ale mającej tradycje blisko 1000-letnie, sięgając czasów, gdy po zjeździe gnieźnieńskim Bolesław Chrobry ustanowił biskupstwo w Kołobrzegu. Obecna diecezja rozciąga się na powierzchni około 19 tys km², a w jej skład wchodzi całe województwo koszalińskie, słupskie (7500 km²) oraz część województw gdańskiego i pilskiego.

W krótkim przeglądzie budownictwa sakralnego województwa słupskiego trudno uwzględnić wszystkie obiekty. Trzeba się więc ograniczyć do najbardziej charakterystycznych, monumentalnych, ciekawych pod względem konstrukcji bryły, dzieł danej świątyni itp. Nasuwa się jednak pytanie, czy przed okresem chrześcijaństwa na tej ziemi istniały jakieś obiekty kultu pogańskiego, gdzie one się znajdowały, jakie są o nich wiadomości?

Gontyny i święte gaje naszych przodków sprzed dziesięciu wieków

Kronikarze, którzy przybyli na Pomorze Zachodnie w 1124 r. z wysłaną przez Bolesława Krzywoustego misją, przekazują nam informacje o pogańskich świątyniach Szczecina i Wolina, o uroczystościach pogańskich w Pырzycach itp. Misja wyruszyła z Gniezna i przez Szczecin dotarła do Bałtyku aż po Kołobrzeg. Tu osadzony w 1000 r. przez Bolesława Chrobrego bi-

skup Reinbern — według kroniki Thietmara — „niszczył i palił świątynie z posążkami bożków”. O ile więc przyjąć dosłownie wypowiedź kronikarza, to w Kołobrzegu musiały być pogańskie chramy. Ale ziemia słupska jest jeszcze daleko na wschód od Kołobrzegu. Panuje wśród fachowców przekonanie, że plemiona polskie raczej świątyni nie posiadały, co nie znaczy, iż nie było tutaj świątyni gajów, czczonych starych drzew itp.

Jednakże jest kilka informacji, które lokalizują obiekty pogańskiego kultu na terenie obecnego województwa słupskiego. Pierwszym z nich jest święta góra **Rowokół** wznosząca się w pobliżu brzegu Bałtyku powyżej wsi Smołdzino. Takich świątyni wzniesień było na Pomorzu Zachodnim więcej, np. **Góra Chelmska** pod Koszalinem, czy też **Święta Góra** w pobliżu Polanowa. Później na tych wzniesieniach wybudowano katolickie kaplice, podobno nawiązujące do dawnych gontyn pomorskich. Kaplice te uległy zniszczeniu w czasach reformacji. Wreszcie wydaje się, że w samym Słupsku istniało też miejsce pogańskiego kultu. Przecież podczas prac archeologicznych znaleziono tu kamień z podobizną bóstwa.

Językoznawcy zwracają uwagę na wieś i **jezioro Modła**, położone stosunkowo blisko Bałtyku, około 6 km na południowy-zachód od Ustki. Jezioro jest niewielkie (obecnie rezerwat przyrody), osiedle też małe. Dookoła bagna, wydmy, tereny trudno dostępne. Nazwa osady wywodzi się niewątpliwie od słowa „modlić się”. Można więc przyjąć, że w tym odludnym miejscu zbierali się przed tysiącem lat (a może wcześniej) miejscowi Pomorzanie, by w skupieniu i ciszy

— jakby w świętym gaju zanosić modły do swych bóstw z prośbą o opiekę.

Informacje nasze na te tematy są skromne, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przed 10—11 wiekami na obszarze obecnego województwa słupskiego były miejsca kultu pogańskiego. I chociaż nie wiemy, jak one wyglądały, wydaje się, że mogły one mieć pewien wpływ na krajobraz tej ziemi.

Dzieje chrystianizacji

Początki chrystianizacji tych obszarów to niewątpliwie wieki X i XI. W roku 1090 — jak już powiedziano — Chrotry utworzył biskupstwo w Kołobrzegu, ale jego żywot był bardzo krótkotrwały. Biskup Reinbern musiał opuścić Zachodnie, poganie zwyciężyli. Kolejny krok — to czasy Krzywoustego. Powstało biskupstwo wolińskie, przeniesione później do Kamienia Pomorskiego, którego granice obejmowały ku wschodowi ziemię aż po rzekę Lebę.

Wiek XII to okres umocnienia się chrześcijaństwa na Pomorzu Zachodnim. Ale wpływy polskie nie były tu trwałe, chociaż na terenie Słupskiego były one najsilniejsze. Należy przypomnieć, iż o te ziemie walczyli Duńczycy, często bywali tu Brandenburczycy i Krzyżacy, potem Szwedzi i Prusacy. Ciężkie ciosy miejscowemu ludowi zadała też reformacja, która w dużej mierze przyczyniła się do germanizacji tych obszarów.

Pierwsze zbudowane — być może jeszcze w XII wieku — kościoły były drewniane i do naszych czasów się nie zachowały. W XIII i XIV w. rąpiją zakony. W Sławnie osiedla się rycerski zakon joannitów, w Karlinie (wiosce na południe od jeziora Wicko) kartuzi, w Słupsku norbertanki i dominikanie, w Lęborku franciszkanie. Zakony budują już obiekty mu-



Sleszcz. Gotycki kościółek (przeb. 1625 r.)

Fot. C. Cekała



Kolczyglowy. Ryglowy kościółek z 1625 r.

Fot. C. Cekała

rowane, solidniejsze, mające warunki do przetrwania na dłuższy czas.

Szczególnie wielkie na tym terenie były wpływy Zakonu Szpitalnego Najświętszej Marii Panny czyli Krzyżaków. Do nich należał w pewnym okresie Bytów, Człuchów (tu mieli komturę), Lębork, Leba. Przez 13 lat komturia krzyżacka była także w Słupsku, aż słupscy mieszczanie nie wykupili się z tej zależności. Krzyżacy budowali zamki i kościoły, fortyfikowali miasta. Wznoszone przez nich obiekty przetrwały na terenie województwa słupskiego w wielu miejscowościach i są istotnym elementem krajobrazu tych miast.

Wydaje się, że wszystkie zachowane do naszych czasów kościoły tego terenu można podzielić na cztery zasadnicze grupy:

a) świątynie gotyckie zbudowane w XIV—XVI w., które wszystkie w swych początkach były katolickie, ale w czasie reformacji uchwałą Sejmu Pomorskiego w Trzebiatowie z 1534 r. zostały w olbrzymiej większości przejęte przez protestantów;

b) kościółki ryglowe (czasem drewniane) wzniesione w XVII i XVIII w. (częściowo także w XIX w.), z zasady niewielkie, ale architektonicznie ciekawe, malownicze dzięki swej kracie belek. W olbrzymiej większości zostały one wybudowane (szczególnie w północnej części województwa w czasach protestanckich. W tym samym czasie powstało również nieco świątyń wzniesionych z cegły w duchu renesansu i baroku;

c) głównie w drugiej połowie XIX w. oraz na początku XX w. powstały świątynie neogotyckie i neoromańskie, czasem na miejscu dawnych kościółków ryglowych. W niektórych wypadkach są to obiekty monumentalne. W większości służyły protestantom, ale budowano też kościółki katolickie;

d) świątynie zbudowane w ciągu ostatniego 40-lecia. Tu podkreślić należy cały wysiłek włożony

w odbudowę obiektów zniszczonych i zdewastowanych przez działania wojenne w 1945 r. Często były to ruiny o wielkiej wartości architektoniczno-historycznej, które ratowano dla przyszłych pokoleń.

Architektura gotycka

Świątyń gotyckich wzniesionych z cegły w XIV i XV w. jest w województwie słupskim wiele. Należy się tu jednakże zatrzymać przede wszystkim na obiektach monumentalnych, wielkich rozmiarami, które godne są szczególnego zainteresowania. W tej grupie znajdują się dwa kościoły w Słupsku, jeden w Lęborku i jeden w Sławnie. Pozostałe, mniejszych rozmiarów, rozrzucone po całym terenie województwa słupskiego.

Wydaje się, że prymat pod względem monumentalności o ile chodzi o omawiany teren należy przyznać kościołowi **Św. Jakuba w Lęborku**, fundowanemu przez wielkiego mistrza krzyżackiego w 1354 r. Świątynia stanowi obiekt typowy dla budownictwa zakonnego, posiada wysoką wieżę i — pomimo różnych losów na przestrzeni wieków — zachowała się stosunkowo dobrze do naszych czasów. Poza krótkim okresem lat 1519—1637, kiedy to nią zawiadywali protestanci, zawsze była katolicka.

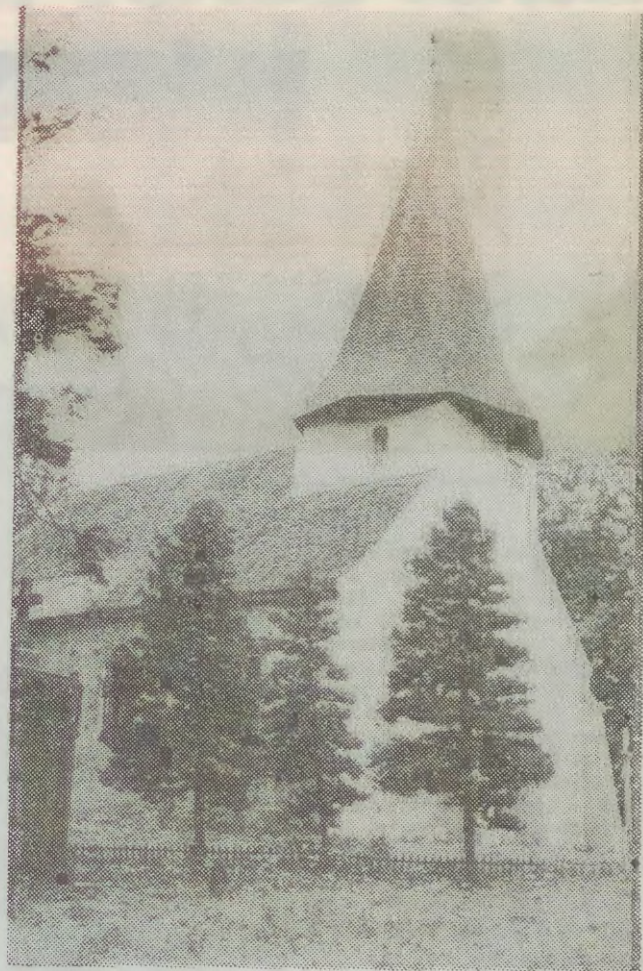
Wśród obiektów monumentalnych wymienić należy także dwie świątynie słupskie, a mianowicie stojący przy rynku kościół pod wezwaniem **NMP Królowej Różańca Świętego** oraz zamkowy **kościół Św. Jacka**. Ten ostatni, poddominikański istniał już w XIII w., ale wówczas był wzniesiony z drewna. W XV w. zbudowano go z cegły. Posiada wysoką wieżę z barokowym hełmem i cenny wystrój (między innymi nagrobki księżnej Anny, siostry ostatniego księcia zachodniopomorskiego Bogusława XIV oraz jej syna, ostatniego już protestanckiego tytularnego biskupa kamieńskiego księcia Ernesta Bogusława Croy).

Natomiast **Kościół Mariacki** — główna świątynia



Głównyce. Neogotycki kościół z 1891 r.

Fot. C. Cekała



Łącko. Kościółek gotycki (XV w.).

Fot. C. Cekała

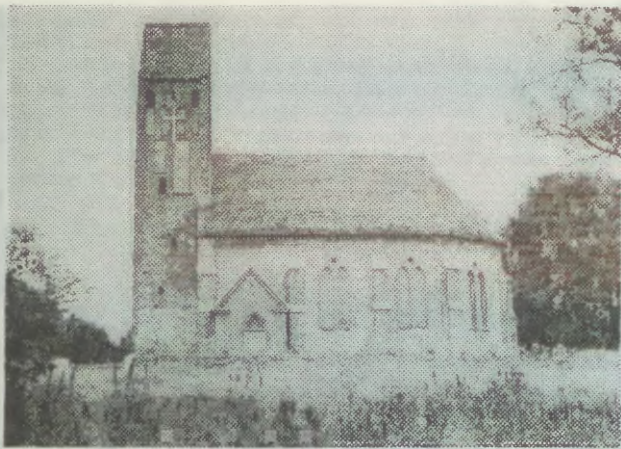
miasta czyli fara — został wzniesiony z cegły w XIV w. Po zniszczeniach wojennych 1945 r. odbudowano go w latach 1945—1948 i od kilku lat — od chwili, gdy ukazały się znaki na stojącym przy kościele krzyżu — jest pewnego rodzaju regionalnym sanktuarium miasta i ziemi słupskiej.

Do budowli okazałych zaliczyć też trzeba stojący w rynku w Sławnie kościół pod wezwaniem **Wniebowzięcia NMP**. Fundowała go według istniejących przekazów księżna Zofia, żona Barnima IV. Należał on do rycerskiego zakonu joannitów aż do czasów reformacji, czyli do 1537 r. Potem władali nim protestanci. Zniszczony w 1945 r. został odbudowany w latach 1947—1957.

Na terenie województwa jest jednakże wiele małych kościółków gotyckich. W pierwszym rzędzie tutaj należałoby wymienić obiekty w Sławsku, Łącku i Pieszczu.

Położone w pobliżu Sławna **Sławsko** nad brzegiem Wieprzy było stolicą państwa sławneńsko-słupskiego. Joannici wybudowali tu swój dom rycerski w XIII w., potem przenieśli się do Sławna. Kościółek — w pewnym sensie zamkowy — zachował się dobrze. Ściany ozdobione są bliźniaczymi oknami, a od frontu znajduje się wysoka, z daleka widoczna wieża. W **Łącku** położonym pomiędzy Darłowem i Ustką, w pobliżu brzegu jeziora Wicko, gotycki kościółek z XV w. jest niewielki, ale stanowi piękny akcent w terenie i o-promieniony jest między innymi legendą, iż tutaj przebywał kronikarz Jan Długosz mając pod opieką młodego księcia Bogusława X. Przekaz ten nie ma co prawda historycznych potwierdzeń, ale chyba warto o nim tutaj wspomnieć. Wreszcie kościół w **Pieszczu** (na północny-zachód od Sławna) też z XV w., chociaż przebudowany w 1625 r. (taka jest data na wieży), też godny jest wzmianki.

W okresie od XIII do XIV w. wybudowano na terenie obecnego województwa słupskiego wiele jeszcze



Sławsko. Kościół gotycki (XIV w.).
Fot. C. Cekała

małych świątyni gotyckich. Trzeba by tu wymienić między innymi obiekty w **Strzelinie** i **Swolowie** koło Słupska, **Duninowie** i **Możdżanowie** koło Ustki, **Budowie** koło Bytowa. W tym miejscu trzeba też wspomnieć o kościele w **Starej Lebie** zbudowanym przez mieszkańców tego miasta jeszcze po zachodniej stronie rzeki. Gdy wydmy zaczęły zasypywać lewostronną Lebę, fundowany przez Krzyżaków kościół rozebrano i razem z innymi obiektami miejskimi przeniesiono na prawą stronę rzeki. Na szczęście pozostawiono fundamenty i fragment ściany. Ta niewielka ruina jest obecnie ciekawym dokumentem oglądanym przez turystów i świadczącym o potędze wędrującego piasku.

Drewniane i ryglowe kościołki z XVII i XVIII wieku

Reformacja nie sprzyjała budownictwu sakralnemu. Protestanci eksploatowali świątynie odebrane katolikom, a nowych budowali niewiele. Pewne ożywienie z zakresu architektury sakralnej nastąpiło głównie dopiero w XVII i XVIII w. Wznoszono jednak kościołki małe, skromne, czasem drewniane, częściej ryglowe (szachulcowe). Zachowała się tych obiektów znaczna ilość, ale są one dość kłopotliwe w remontowaniu, bowiem brak nam fachowców - cieśli.

Na obszarze województwa można wydzielić dwie grupy świątyni ryglowych: słowińską — położoną na północy blisko brzegu Bałtyku i bytowsko-człuchowską — związaną z terenami zamieszkałymi przez ludność kaszubską.

Z obszaru północnego trzeba by tu wymienić ryglowy obiekt zbudowany w 1666 r. we wsi **Objazda** koło Łupawy. Z przełomu XVII/XVIII w. pochodzi też kościółek w **Kuleszewie** (na południe od Słupska) wzniesiony na miejscu starszego. W 1754 r. zbudowa-



Strzeżona. Ryglowy kościół z 1672 r.
Fot. C. Cekała

no ryglówkę we wsi **Zaleskie** koło Ustki. Z XVIII w. pochodzą też kościołki w **Staniewicach** koło Sławna i **Dobieszewie** koło Łupawy.

O ile chodzi o grupę południową to należałoby wymienić drewniany obiekt w **Sominach** koło Bytowa (zbudowany w 1755—1757) oraz we wsi **Gwiedzdzin** koło Czarnego (fundacja Radziwiłłów z 1754 r.). Kościołów ryglowych jest znacznie więcej. Malowniczym jest kościółek we wsi **Strzeżona** koło Debrzyna na południowym krańcu województwa słupskiego. Zbudowany w 1672 r. z daleka jest widoczny swoją kratownicą belek, ponad którą wznosi się drewniana wieża z latarnią. Obok znajduje się drewniana dzwonnica.

Ze starszych sakralnych obiektów ryglowych wspomnieć trzeba o **Jasieniu** (zbudowany w 1584 r., przebudowany w 1699 r.), **Przechlewie** koło Człuchowa (1720 r.), **Mikorowie** koło Czarnej Dąbrówki (1770 r.), **Binczach** koło Czarnego (1761 r.) i **Cierzniach** też koło Czarnego (1785 r.). Ten ostatni zawsze był katolicki. Z początków XIX w. pochodzą ryglowe świątynki w słynnej **Ugoszczy** (1822 r.), wsi czysto polskiej, gdzie w okresie międzywojennym działała polska szkoła i we wsi **Kolczyglowy** (1823 r.). Tutaj, w południowej partii województwa, było wiele kościółków katolickich, ponieważ obszary te w znacznej mierze do rozbiorów należały do Polski, gdzie protestantom się nie przyjął.

Omawiając okres XVII i XVIII w. i wspominając o budowlach ryglowych należy jednak zaznaczyć, iż budowano tu i zachowały się do naszych czasów renesansowe i barokowe świątynie wzniesione z cegły. Jest ich niewiele, ale trzeba przede wszystkim wymienić **Smoldzino**, gdzie u stóp Rowokołu zbudowała w 1632 r. świątynkę księżna Anna Gryfitka i gdzie działał pastor Mostnik-Pontanus. W **Charbrowie** koło Leby jest barokowy kościółek z 1669 r. Z okresu baroku pochodzi też kościół w **Miastku** (1730 r.) oraz w **Człuchowie** (1644—1647, rozbudowany w 1926—1927), wzniesiony przez starostę Jakuba Wejhera.

Architektura neogotycka i neoromańska z przełomu XIX/XX wieku

W końcu XIX w. wiele małych kościółków miejskich i wiejskich, z zasady ryglowych, nie odpowiadało już ówczesnym potrzebom i ambicjom mieszkańców. Miasta się rozrastały, powstawały nowe parafie. Rozbierano więc obiekty stare i na ich miejsce wznoszono nowe, większe, solidniejsze, najczęściej w modnym wówczas stylu neogotyckim, czasem neoromańskim, niekiedy eklektycznym. I znowu można tu wyróżnić świątynie duże, monumentalne oraz mniejsze, nie tak ozdobne, skromniejsze, wznoszone w osiedlach, gdzie mieszkańcy nie mogli pozwolić sobie na tak znaczne i kosztowne inwestycje.

O ile chodzi o obiekty monumentalne, to chyba na czoło w tej grupie świątyni neogotyckich wysuwa się kościół **Matki Boskiej Korony Polskiej** w Łęborku. Zbudowany został w 1866 r. już poza murami miejskimi. Jest dobrze zlokalizowany, doskonale się prezentuje. W północnej części województwa uwagę zwraca też wzniesiony w 1891 r. kościół w **Głównychach** i w **Ustce** (1885 r.). **Debrzno** zbudowało kościół neogotycki w latach 1894—1895 (był zawsze katolickim).

W końcu XIX w. na Pomorzu Środkowym obserwuje się znaczny napływ ludności katolickiej i wobec tego rozpoczyna się budowę niewielkich na ogół świątyni dla katolickiej diaspory. W latach 1872—1873 katolicy Słupska wnoszą neogotycki kościół klasztorny **pod wezwaniem Św. Ottona** (obecnie klarysek), przy którym działał między innymi Polak ks. Adolf Pojda, który w latach 1908—1926 wygłaszał kazania i opiekował się ludnością polską, a szczególnie robotnikami rolnymi. Ksiądz Pojda zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau. W latach 1925—1928 wybudowano również neogotycki katolicki kościółek w **Sławnie**, który też zachował się do naszych czasów. Można powiedzieć, iż w tym okresie praktycznie w każdym mieście Pomorza Środkowego czynny był kościół katolicki, który często nazywano polskim, bowiem gromadziła się w nim ludność polska miejscowa, jak

również robotnicy przybywający tu na sezonowe roboty.

Ze świątyni neoromańskich trzeba wymienić przede wszystkim **kościół Najświętszego Serca Jezusa** (dawniej Sw. Piotra) w Słupsku przy ul. Findera, zbudowany — na miejscu starszego — w 1865 r. Znajduje się on na Wzgórzu Chramowym, gdzie w dawnych czasach było miejsce pogańskiego kultu. Tu znaleziono kamień z podobizną słowiańskiego bóstwa, o czym już wspominaliśmy. Neoromański jest kościół we wsi **Białogarda** (w okolicy Lęborka), zbudowany też na miejscu starszego. Miejscowość tę trzeba tu wymienić, ponieważ była ona przez pewien czas stolicą jednego z pomorskich księstw (przełom XIII/XIV w.).

Wiele jest też obiektów neoromańskich we wsiach województwa słupskiego. Trudno wymienić wszystkie, ale wspomnieć należy o **Rusinowie** koło Jarosławca, gdzie na wzniesieniu wybudowano świątynię w 1873 r. Nadmorskie **Rowy** posiadają kamienny kościół neoromański wzniesiony w latach 1844—1849. W **Palowie** koło Sławna jest świątynka neoromańska z drewnianą wieżą. W **Bierkowie** koło Słupska XIX-wieczny kościół neoromański rozbudowano w 1924 r. W **Kramarzynach** koło Bytowa zbudowano neoromańską świątynię w 1912 r., a w **Czarnej Dąbrówce** w 1935 r.

Budownictwo 40-lecia

W jakim stanie przejęliśmy w 1945 r. ziemie województwa słupskiego pamiętają wszyscy starsi osadnicy i żołnierze, którzy tu walczyli. Miasta leżały w gruzach, świątynie też w większości były wypalone, często zdewastowane. Podobnie było na wsiach. Osadnicy stosunkowo szybko zajęli się remontem i odbudową między innymi takich wielkich kościołów jak w Słupsku i Sławnie; obiekty te położone w centrum miast posiadały tylko mury. Pomimo braków materiałowych, troska o zabytkowe świątynie była tak wielka, że pokonano wszelkie trudności. Odbudowano do 1960 r. kilkadziesiąt kościołów, prawie że we wszystkich wykonano większe lub mniejsze remonty, oszklono okna, zabezpieczono dachy. Otoczono opieką znajdujące się w świątyniach artystyczne wyposażenie. Zabytków ruchomych zachowało się stosunkowo dużo, szczególnie w mniejszych kościółkach ryglowych, a także w niektórych zbudowanych później neogotyckich i neoromańskich, gdzie często ołtarze, ambony itp. były przeniesione z rozebranych wcześniej obiektów.

Około 1960 r. rozpoczęto budowę świątyni nowych. Nie było ich wiele, ale należy podkreślić, iż osadnicy — tam gdzie kościoły były przed wojną zupełnie zniszczone — starali się wznosić, pomimo różnego rodzaju przeszkód, obiekty nowe, czasem również nowoczesne. Już w latach 1961—1963 postawiono na miejscu starszego, zniszczonego nowy kościół w **Stowięcinie** koło Łupawy. W 1975 r. najmłodsze miasto województwa słupskiego **Kępice** (uzyskały prawa miejskie w 1968 r.) rozpoczęło budowę nowej świątyni. W tym samym czasie (lata 1975—1980) postawiono kościół z kamienia ciosanego, cegły i drewna w **Chrzastowie** koło Człuchowa. W latach 1978—1981 powstała świątynia w kształcie rotundy w **Korzybiu** (na południe od Słupska). Nową świątynię otrzymał **Zielin** koło Miastka, a w Dretyniu jest w budowie kościół wznoszony na miejscu poprzedniego.

Największym osiągnięciem w tym zakresie jest jednakże zbudowanie w Słupsku na Zatorzu w latach 1975—1985 wielkiej i nowoczesnej **świątyni pod wezwaniem Św. Maksymiliana Kolbego**. Ma ona dwie kondygnacje: dolną na 1500 osób i górną na około 4000 osób. Długość świątyni wynosi 78 m, a szerokość 33 m, natomiast wysokość wieży 37 m, a na niej krzyż 5,5 m wysokości. Jest to — jak dotychczas — największa powojenna inwestycja sakralna na terenie województwa słupskiego. Nie są to wszystkie nowe kościoły, kilka jest jeszcze w budowie.

Różnie można ocenić dotychczasowe wyniki w tym zakresie. Stale się podkreśla, że nie pokrywają one potrzeb, szczególnie w miastach. Ale równocześnie są dowodem inwencji społeczeństwa polskiego również w tej dziedzinie. Budujemy nie tylko fabryki i domy mieszkalne, wnosimy ważne ośrodki kultury, a do nich przede wszystkim zaliczyć należy kościoły.

Omawiając wyżej wymienione problemy należy też zwrócić uwagę na zagadnienie cmentarzy i ich ochronę. Szczególną wartością — jako pomniki kultury narodowej — mają cmentarze na obszarach zamieszkałych przez polską ludność autochtoniczną, a więc w rejonie słowińskim nad brzegiem Bałtyku, w tych licznych wioskach w okolicy **Smoldzina**, **Cecenowa** i **Charbrowa**. Tam jakże często znajdują się nagrobki z pomorskimi nazwiskami. Drugim takim terenem są okolice **Bytowa** i **Człuchowa**. Tu przecież ludność polska zamieszkiwała zwartą grupą, a cmentarze są dokumentem przeszłości tych ziem.

Ale nie tylko te miejsca pochówku są godne ochrony. Przecież na wszystkich cmentarzach tej ziemi pochowano już pokolenia pionierów, którzy w latach 1945—1950 i później te obszary zagospodarowywali. Były ich dziesiątki tysięcy. Ich pracą i wysiłkiem odbudowano miasta i wsie. Wszystkie więc groby z tego okresu — w miastach i na wsiach — należy otoczyć opieką. W ten sposób kolejne pokolenia powinny pokazać swoją wdzięczność wobec dawnych osadników, którzy w niezmiernie ciężkich warunkach tu się osiedlali i budowali nowe życie.



Gogusz. Ryglowy kościół z 1822 r. Fot. C. Cekała

Przepisy w tym zakresie mówią o likwidacji grobów po 25 latach. Wydaje się, iż tego rodzaju założenie na naszych terenach nie jest właściwe, bowiem w ten sposób podcinamy naszą przeszłość, tę 40-letnią. Opieką trzeba też otoczyć kapliczki i krzyże przydrożne stawiane przez osadników w pierwszych latach powojennych. One są też dokumentem historii.

Sprawa pomorskich judaików

I jeszcze jedna kwestia, którą przy okazji należałoby omówić. Chodzi o pamiętki po Żydach, którzy tutaj także kiedyś byli. W średniowieczu — i później — Żydzi osiedlali się w miastach pomorskich. Przepisy regionalne najpierw pozwalały im zakładać swe warsztaty rzemieślnicze pod miastami, ale później zakazy zamieszkania w miastach zostały zniesione. Praktycznie w każdym pomorskim mieście Żydzi mieli swoją dzielnicę, czy ulicę. Wznosili tam naturalnie bożnice, kahały i rabinaty (siedzibę gminy), hedery (szkoły) itp. A poza miastami były cmentarze.

Na przełomie XIX i XX w. wielu Żydów wyemigrowało na zachód, ale pewne grupy nadal pozostały trudniąc się głównie rzemiosłem i handlem. Cios ostateczny nastąpił w 1933 r., kiedy to hitlerowskie zastępy zaczęły burzyć i palić świątynie i całe mienie tej grupy ludności. Czym się to wszystko skończyło — wiemy. Ale czy uczyniliśmy cokolwiek, by zinwentaryzować pamiętki po tym narodzie, jakie przetrwały burze i pogromy. A może gdzieś zachowały się fragmenty dawnych żydowskich dzielnic, które warto odnotować? Może są jeszcze gdzieś bożnice, czy inne pomieszczenia i obiekty godne zainteresowania? Wydaje się, iż ten problem też czeka na opracowanie.

Kościół parafialny w Czersku

Historia Czerska, blisko dziesięcioletniego miasta zajmującego rozległą polanę w centrum Borów Tucholskich, sięga wieków średnich, ale zasadniczy jego rozwój datuje się dopiero od 2. poł. XIX w. Wtedy właśnie rozpoczęto na przemysłową skalę eksploatację naturalnego i najcenniejszego jednocześnie bogactwa tej ziemi — drewna. Wraz z pojawieniem się coraz liczniejszych zakładów przetwórczych i doprowadzeniem linii kolejowej (1873) w bardzo szybkim tempie rosła liczba mieszkańców (z 1800 w r. 1871 do 8300 w r. 1914). Niezależnie jednak od swego znaczenia



Czersk. Neogotycki kościół Św. Marii Magdaleny (1910—1913).
Fot. G. Klauza

gospodarczego w okres Polski niepodległej wkroczył Czersk ze statusem wsi, a prawa miejskie otrzymał dopiero w r. 1926. Jak więc widać, przez długie stulecia Czersk rozwijał się jako wieś, a charakteru miejskiego nabrał stosunkowo późno. Wielowiekowa historia nie pozostawiła zatem osadzie cech typowych dla niemal wszystkich miast i miasteczek o równie odległym rodowodzie. Rozplanowanie przestrzenne Czerska dalekie jest od charakterystycznego dla średniowiecza układu z rynkiem i regularną siecią ulic. Nie było tu też murów obronnych. Zabudowa miejska jest stosunkowo luźna i skupiona zwłaszcza wzdłuż drogi biegnącej z Chojnic w kierunku Starogardu. Tak właśnie ukształtowana historia miasta spowodowała, iż nie ma w Czersku atrakcyjnych pod względem turystycznym zabytków architektury. Z drugiej jednak strony położenie geograficzne Czerska sprawia, że przewijają się tędy liczni turyści, ale w praktyce w najlepszym wypadku traktuje się Czersk jedynie jako niezły punkt wypadowy dla wypraw w Bory Tucholskie, nad malowniczą Brdę lub czyste jeziora południowych Kaszub.

Aby jednak nieco rozjaśnić ten mało optymistyczny wizerunek, proponuję wizytę w kościele parafialnym w Czersku, którego wnętrze kryje niezbyt może bogate liczebnie, ale interesujące jakościowo dzieła sztuki sakralnej różnych epok i stylów.

Kilka słów o historii parafii. Jej początki w zasadzie nie są znane. Wiadomo tylko, że należy do najstarszych w regionie, a powstała prawdopodobnie w XIII lub może nawet w XII w. Niewykluczone, że fundatorem pierwszego kościoła był któryś z książąt pomorskich. Najstarsza wzmianka o parafii pochodzi z r. 1382. W tym właśnie roku komtur tucholski **Henryk von Bullendorf** wystawił osadzie dokument lokacyjny, nadając Czerskowi prawo chełmińskie. Parafia czerska należała pierwotnie do archidiaconatu pomorskiego, który z kolei stanowił część biskupstwa włocławskiego. Teren parafii znajdował się na obszarze dekanatu zaborskiego, o którym wiadomo, że jeszcze w XVI w. skupiał tereny od Brdy aż

po Wierzycę. Wkrótce potem nazwa ta jednak wyszła z użycia. W późniejszym czasie parafię włączono do dekanatu mirachowskiego, następnie tucholskiego. W r. 1821 na mocy bulli papieża **Piusa VII** „De salute animarum” ustalono m. in. nowe granice diecezji. W związku z tym Czersk wraz ze swą parafią znalazł się w biskupstwie chełmińskim, którego nową stolicą stał się Pelplin. Granice parafii ukształtowały się ostatecznie na przełomie XIX i XX w., a w r. 1927 Czersk ogłoszono siedzibą dekanatu.

Nie wiemy nic o pierwszej czerskiej świątyni. Przypuszczalnie była to budowla z drewna, a przemawia za tym powszechna tu dostępność tego budulca. Wspomniany już dokument lokacyjny poza wzmianką o duchownym nie dostarcza nam żadnych informacji na ten temat. Z protokołu powizytacyjnego biskupa **Rozrażewskiego** z 1584 r. wynika natomiast, że w tym czasie stał w Czersku drewniany kościół pokryty solidnym dachem i ogrodzony. Kolejna wzmianka o świątyni pochodzi z r. 1686. Dowiadujemy się z niej o złym stanie nie tylko kościoła, ale i pozostałych zabudowań kościelnych. W r. 1756 doszło do tragicznego w skutkach pożaru. Ks. **Szymon Płutowski**, ówczesny proboszcz, zanotował, iż ogień strawił doszczętnie całe wyposażenie wnętrza kościoła. Dzięki wydatnej pomocy kilku zamożnych rodzin (**Łukowiczów, Klińskich, Orszewskich**) przystąpiono niemal natychmiast do bu-



Czersk. Rokokowy ołtarz Św. Krzyża (1766).

Fot. G. Klauza

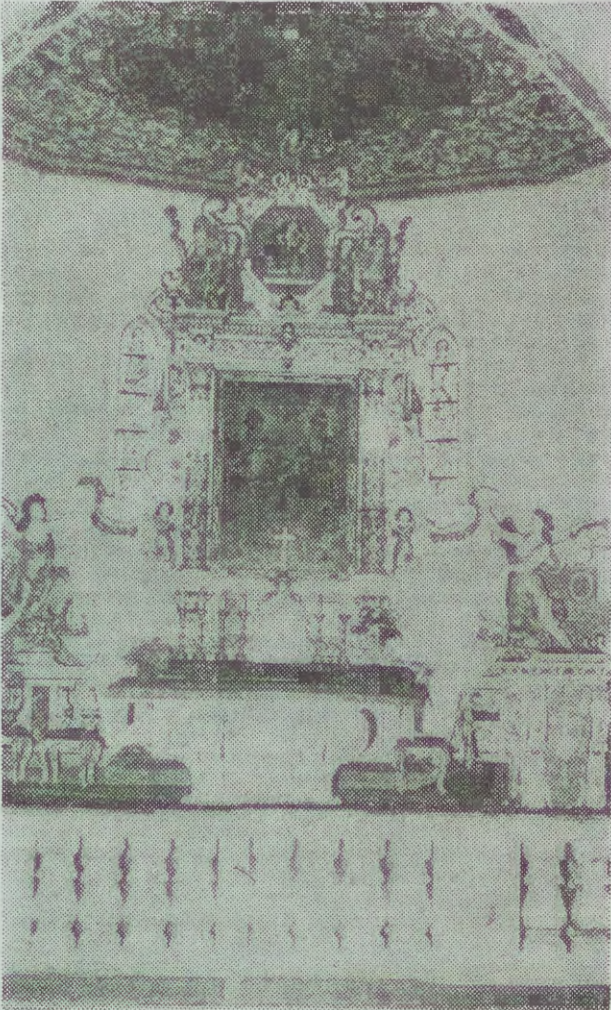
dowy nowego kościoła, również drewnianego. Przetrzymał on ponad pół wieku, a rozebrano go w r. 1842, zamierzając wzniesić pierwszą w Czersku murowaną świątynię. Ceremonia konsekracji nowego kościoła odbyła się 1 XII 1845 r. Szybki rozwój gospodarczy Czerska i wzrost liczby mieszkańców, o czym była już mowa, spowodował konieczność wybudowania znacznie większego obiektu. Stał się nim wzniesiony w latach 1910 — 13 i istniejący do dziś kościół parafialny.

Projektantem świątyni był popularny wówczas architekt wrocławski **Fryderyk Oskar Hossfeld**. Kościół zbudowano z cegły na planie krzyża łacińskiego w stylu neogotyckim. Budowla odznacza się dość oryginalnym ukształtowaniem bryły zewnętrznej z licznymi szczytami naśladowującymi motywy późnego gotyku. Kościół jest obiektem halowym, trójnawowym. Prezbiterium, zamknięte wielobocznie, zwrócone jest ku zachodowi. Czterdziestometrowa wieża umiejscowiona jest przy północnym ramieniu nawy poprzecznej (transeptu). Wnętrze nakryto stropami belkowymi. Wymiary budowli są bardzo okazałe: długość 54 m, szerokość z nawami 18,5 m, szerokość w transepcie 30 m. Ogółem w kościele znajduje się miejsce ok. 4000 wiernych.

Główne wejście do kościoła znajduje się po stronie wschodniej. W tympanonie skromnego portalu umieszczono figurę św. Marii Magdaleny, patronki parafii.

U wejścia pod chórem zauważamy dwie granitowe kropielnice o nader okazałych rozmiarach. Jedną z nich, której czara ozdobiona jest prymitywnymi pasami, pochodzi z XIII w., natomiast druga pozbawiona ozdób, z XV lub XVI stulecia.

Głównym ołtarzem świątyni jest renesansowy, manierystyczny ołtarz Trójcy Świętej. Ufundował go w 1611 r. **Feliks Kos**, opat pelpliński. Ołtarz przeznaczony był w pierwotnym zamiarze dla opactwa, któremu



Czersk. Ołtarz Św. Trójcy z malarskimi dziełami H. Hana (1611 r.).

Fot. G. Klauza

Kos u progu swych rządów obiecał coroczne odnawianie lub fundowanie jednego ołtarza. Po ponad dwu stuleciach wspaniałe dzieło znalazło się w Czersku (1845), a stało się tak dzięki staraniom ks. prob. Chrapkiewicza. Ołtarz charakteryzuje się bardzo bogatą dekoracją okuciwą i roślinną kolumn i naddatków. W belkowaniu umieszczony został herb Kosów, powyżej dostrzegamy rzeźby dwóch siedzących nierozpoznanych świętych biskupów. W zwieńczeniu ołtarza widzimy płaskorzeźbę pokutującej św. Marii Magdaleny. Ozdobne retabulum mieści dwa arcydzieła malarskie **Hermana Hana** (1574—1627?), artysty, którego wybitny historyk sztuki **J. St. Pasierb** uznał za najwybitniejszego malarza swego okresu nie tylko na Pomorzu, ale i w ogóle na ziemiach polskich. Znajdujący się w predelli ołtarza „Koncert anielski” to rozświetlona kompozycja malarska przedstawiająca koncertujące anioły. Powyżej jedno z cenniejszych dzieł artysty. Jest nim monumentalna „Trójca Święta” (1,5 m x 2,15 m). Obraz przedstawia Boga Ojca, Chrystusa i Ducha Św. ukazanego w postaci gołębicę w otoczeniu główek anielskich. Na uwagę zasługuje tu niezwykle precyzyjne oddanie rozmaitych szczegółów przebogaty szat i klejnotów. Obydwa obrazy powstały na drewnie lipowym, a praca nad nimi trwała od 20 VII do 21 IX 1611 r. W r. 1911 dokonano powiększenia ołtarza poprzez dodanie po obu stronach rzeźbionego paludamentu z imponującymi postaciami aniołów (dzieło **H. Kachlera**). W prezbiterium znajduje się też wspaniały ołtarz posoborowy wraz z ambonką, w pełni harmonizujący z resztą wystroju wnętrza.

W południowym ramieniu nawy poprzecznej zwraca uwagę rokokowy ołtarz Św. Krzyża pochodzący z r. 1766. Jego twórcą był **Dawid Bohr**, a fundatorem ks. **Fr. Lukowicz**, kanonik kamiński i raciąski. Mensa (płyta wierzchnia) ołtarza jest wklęsło-wypukła, zaopatrzona w herb Newlin, monogram fundatora i datę. Ołtarz posiada kształt ramy, w której grzebykowe ornamenty wplecione zostały narzędzia męki Chrystusa. Oprócz figury Ukrzyżowanego artysta wkomponował w całość rzeźbione wizerunki Matki Boskiej Bolesnej, św. Marii Magdaleny i św. Jana Ewangelisty. W zwieńczeniu umieszczono dwa putta i kartusz z chustą św. Weroniki.

Drugim rokokowym ołtarzem tegoż autora jest stojący w przeciwnym ramieniu transeptu ołtarz św. Michała Archaniola. W środkowym polu ołtarza znajduje się rzeźba przedstawiająca św. Michała Archaniola zabijającego smoka. Po bokach wizerunki dwóch aniołów, w zwieńczeniu dwa putta i trzy uskrzydłone główki.

W lewej bocznej nawie świątyni umiejscowione jest trzecie osiemnastowieczne dzieło **Dawida Bohra**. Jest nim okazała, bogato zdobiona chrzcielnica z wyobrażeniem Ducha Św. jako gołębicę. W zwieńczeniu całości także i tu nie zabrakło postaci aniołków i kartusza.

Omówione wyżej trzy dzieła Dawida Bohra należy uznać za śmiałe i oryginalne. Historycy sztuki podkreślają zwłaszcza ich kompozycję ukształtowaną harmonijną grą ornamentów grzebykowych, jak również niemałą ekspresję form rzeźbiarskich.

Dwa pozostałe ołtarze boczne pochodzą z początku bieżącego stulecia i poświęcono je ku czci Najświętszej Marii Panny oraz św. Marii Magdaleny. Umieszczone w nich obrazy są dziełami prof. **Drapiewskiego** i pochodzą z lat powojennych. Całkiem odmienne w swym charakterze są natomiast współczesne ołtarzyki stojące pod chórem przy wejściu do kościoła. Obydwa wykonał w piaskowcu czerski rzeźbiarz **Antoni Langowski**. Ołtarzyk św. Antoniego (r. 1961) to dar parafian z okazji jubileuszu 50-lecia kapłaństwa jednego z czerskich proboszczów, ks. kanonika **Fr. Drosta**, a wizerunek św. Judy Tadeusza ufundowany został na pamiątkę II Soboru Watykańskiego (1962—65). Niemałe wrażenie wywierają dwie wielkie figury usytuowane przy prezbiterium. Jedną z nich przedstawia siedzącego Jezusa, drugą zaś Matkę Bożą w otoczeniu garnących się do niej dzieci.

Po prawej stronie nawy głównej znajduje się przepiękna ambona o bogatej rzeźbie i złoceniu. Jej sklepienie pochodzi jeszcze z poprzedniego kościoła, natomiast zasadnicza część ambony powstała w 1912 r.

dla potrzeb obecnej świątyni. Zdobiące ją figury przedstawiają Chrystusa i czterech ewangelistów. Wizerunkom ewangelistów towarzyszą zakoronowane w tradycji symbole: orzeł (symbol św. Jana), anioł (św. Mateusza), lew (św. Marka), wół (św. Łukasza).

Elementem najbardziej chyba rzucającym się w oczy jest w czerskim kościele przebogata malatura sufitu i ścian. Wspaniałe malowidła sufitowe wyszły spod pędzla prof. **Linnemanna** z Frankfurtu nad Menem, któremu asystowali dwaj czerscy artyści — **K. Jasnoch** i **F. Konitzer**. Ukazują one wybrane postacie i sceny ze Starego i Nowego Testamentu, m. in. Eliasza narzucanie ognistym. Mojżesza z miedzianym węzłem na drzewcu, Ukrzyżowanie Chrystusa, Zesłanie Ducha Świętego. Polichromie ściennie w nawie głównej ilustrują fragment litanii do Najświętszej Marii Panny, a tzw. hermy przedstawiają wojsko anielskie. Na uwagę zasługują czternaście okazałych obrazów składających się na Drogę Krzyżową. Autorem dziesięciu z nich, namalowanych w latach międzywojennych, był monachijski twórca **Guntermann**, który utrzymał swe dzieło w stylu starochrześcijańskim. Cztery pozostałe stacje, stylem i rozmiarami nie różniące się od poprzednich, powstały po wojnie, a stworzył je wspomniany już prof. **Drapiewski**.

Nieodłącznym elementem towarzyszącym świątyniom są dzwony. Jeszcze w trakcie budowy kościoła zamówiono w niemieckiej Lubece i tam odlano trzy duże dzwony dostosowane wielkością do niemałych przecięż rozmiarów wieży i całej budowli. Nie przetrwały jednak II wojny światowej. Podzielili los setek, może tysięcy innych. Wkrótce po wojnie sprowadzono do Czerska — zdaje się, że z Prus Wschodnich — ogromny

dzwon, niestety pozbawiony serca. Dzwon jednak pękł. Prawdopodobnie nowe, chyba nieodpowiednio dopasowane serce, spowodowało uszkodzenie kolosa. Dziś pod sklepieniem wieży zainstalowane są cztery dzwony, w tym jeden z byłego czerskiego kościoła ewangelickiego.

Z przeprowadzonego spisu zabytków sztuki wynika, że w zbiorach kościoła znajdują się późnobarokowe i rokokowe rzeźby. Na 1. poł. XVIII w. datowane są figury św. św. Rocha, Piotra, Pawła, Bernarda i Franciszka. W 2. poł. tegoż stulecia wykonano wizerunki św. św. Franciszka, Wawrzyńca, Klemensa, niezidentyfikowanego świętego biskupa oraz rzeźbę przedstawiającą aniołka. Z ok. 1740 r. pochodzi monstrancja regencyjna z cechą miejską Gdańska i imienną ICS, z pewnością Jana Konrada Stenzla. Są też zabytkowe kielichy: gotycki z k. XV lub pocz. XVI w., wczesnobarokowy z 1648 r., barokowy z 1744 r. (ufundowany zapewne przez jednego z proboszczów) oraz późnobarokowy z 1763 r.

W roku 1988 niemalym nakładem sił i środków podjęto dzieło renowacji wnętrza kościoła.

Literatura:

1. Chojnice. Dzieje miasta i powiatu. Praca zbiorowa pod red. S. Gierszewskiego. Wrocław 1971
2. Diecezja chełmińska. Zarys historyczno-statystyczny. Pelplin 1923
3. Festschrift zur Einweihung der neuen katholischen Kirche zu Czersk. Czersk 1913
4. Pałamarz P., Petrus J. T., Katalog zabytków sztuki w Polsce t. 11, z. 5, Chojnice, Czersk i okolice. Warszawa 1979
5. Pasierb J. St., Malarz gdański Herman Han. Warszawa 1974

Kazimierz Jaśkiewicz

Pierwszy pobyt Zygmunta III Wazy w Gdańsku

W październiku ubiegłym roku upłynęła — szerzej nie odnotowana — rocznica czterechsetlatia pierwszego z siedmiu pobytów w Gdańsku **Zygmunta III Wazy**. Jak odniósł się do potężnego miasta nowoobranego, młody król, jak odwzajemniło się gdańskie mieszczaństwo? Jak został potraktowany władca, o którym pamięć przetrwała dla jednych „...w formie jakiegoś fatalizmu dziejowego. Całe jego panowanie uważają oni za jedną sumę błędów... Drużdy bronią osoby i rządów Zygmunta III z powodu charakteru jego czystego i nieskazitelnego, statecznej i niezłomnej woli i oddania się całą duszą sprawom publicznym¹⁾).

Zygmunt Waza, syn króla szwedzkiego **Jana III Wazy** i siostry Zygmunta Augusta **Katarzyny Jagiellonki**, urodzony w więzieniu, wychowany przez jezuitów, został powołany na polski tron 19 sierpnia 1587 r. W decydującym stopniu przyczynili się do tego królowa — wdowa **Anna Jagiellonka** i kanclerz **Jan Zamoycki**. W trzy dni później obóz wpływowej rodziny Zborowskich wybiera kontrkandydata w osobie **Maksymiliana Habsburga**. Gdańsk — pomny na niedawne przykre doświadczenia związane z elekcją Stefana Batorego — tym razem wykazuje maksymalną ostrożność i za kandydaturą Wazy opowiada się dosłownie w przeddzień elekcji. Na decyzję gdańszczan miały niewątpliwie wpływ rozległe kontakty handlowe ze Szwecją, nie bez znaczenia pozostawał zapewne również ówczesny król i także wyraźnie — jak sądzono — wpływy protestanckiego otoczenia. Wybór gdańszczan był ostateczny i nie zmienił go fakt przybycia do miasta cesarskiego poselstwa, które miało wymóc na Radzie uznanie Maksymiliana. Stanowisko Gdańska zostało przyjęte przez Zygmunta z dużą satysfakcją, o czym świadczy wysłany z Kalmaru list.

W dniu 28 września 1587 r. królewska flotylla złożona z 24 szwedzkich okrętów zatrzymała się pod Helem. Wąski pasek Mierzei Helskiej był więc pier-

wszym skrawkiem nieznanego polskiej ziemi, na której przyjdzie panować Zygmunтови aż 45 lat. Hel jeszcze kilkakrotnie będzie żegnął i witał okręty dumnego Wazy uwikłanego w krwawe spory dynastyczne; po raz ostatni w 1598 r.

Tymczasem jednak 29 września flotylla Zygmunta podeszła na redę gdańskiego portu oczekując na delegację Rady z burmistrzem **Janem von der Linde** na czele. Czterooosobowa reprezentacja Rady przybyła niewielkim zagłowcem, tj. pinką i mimo sporej fali dotarła przed oblicze nowego władcy z ceremonialnym łacińskim powitaniem. W dniu 1 października flotylla zbliżyła się do portu. Król nadal przebywał na okręcie zakotwiczonym przed twierdzą Wisłoujście. Tu prowadził rozmowy z polskimi dostojnikami. Przyczyną takiego postępowania była z pewnością chęć uzgodnienia — jeszcze przed wyjściem na ląd — kontrowersyjnych punktów umowy zwanej pacta conventa, zwłaszcza zaś tzw. sprawy estońskiej. Nie można też chyba pominąć chęci uzyskania w ten sposób przez przyszłego króla większej swobody i niezależności.

Wreszcie 7 października Zygmunt po raz pierwszy stawia stopę na polskiej ziemi udając się jednak nie do miasta, a do oliwskiego klasztoru. Wybór odpowiednio reprezentacyjnej świątyni na zaprzysiężenie pacta conventa stał się przyczyną pierwszych nieporozumień między królewskim dworem a Gdańskiem. Miasto okazało się nieugięte i powołując się na uzyskane wcześniej przyrzeczenia nie poddało się sugestii biskupa wrocławskiego Hieronima Rozrażewskiego, proponującego organizację uroczystości w najważniejszym kościele gdańskim — świątyni N. P. Marii. Oczywiście alternatywą stał się wiejący kościół oliwski. Wśród zaproszonych dostojników znajdowali się m. in. podkanclerzy **Wojciech Baranowski**, podskarbi **Jan Dulski**, wojewoda chełmiński **Mikołaj Działyński**, kasztelano-

wie Jerzy Konopacki, Jerzy Mniszek i Piotr Uchański, a gdański patrycjat reprezentował syndyk **Henryk Lemke**. Odebrana przez biskupa **Rozrażewskiego** przysięga przyszłego króla stanowiła kulminacyjny punkt uroczystości. Jak zauważa cytowany już **Adam Szela-gowski** los wyznaczył świątyni oliwskiej zadziwiająca funkcję klamry spinającej początek i koniec dynastycznych marzeń Wazów; to przecież tu 77 lat później podpisano traktat pokojowy ze Szwecją kończący pasmo wyniszczających wojen ze słynnym potopem wią- cznie.

Nazajutrz, po zaprzysiężeniu 8 października, Zygmunt wraz z całym dworem przybył do Gdańska, witany niezwykle uroczystie przez Radę i ludność miasta Orszak — w którym była także Anna, siostra Zygmunta, zagorzała luteranka — po wyjściu z łodzi, które przewiozły ludzi z okrętów, przeszedł Zieloną Eramą na Długi Targ „przy biciu z działa, wzdłuż szpaleru wyprężonych chorągwi mieszczan...”, przy czym „mieszczanie gdańscy wystąpili okazale, strojnie, konno i pieszo i to z takim przepychem i zbytkiem, że zwróciło to powszechną uwagę”²).

Siedzibą dostojnego gościa przez najbliższe 12 dni była wielka kamienica **Kaspra Goebła** (Długi Targ 39), stanowiąca z kamienicami sąsiednimi (Długi Targ 40 i 41) obszerny zespół kwater gościnnych. Warto dodać, że Zygmunt III Waza zatrzymał się tu jeszcze trzykrotnie anektując dodatkowo kamienice przy Długim Targu 42 i 43.

Pobyt w Gdańsku przebiegał bardzo pracowicie: narady, rozmowy, korespondencja dyplomatyczna — to wszystko zabierało królowi mnóstwo czasu i energii. Dodatkowych zmartwień przysparzał brak pieniędzy i — co za tym idzie — wojska. Była to bolączka niezwykle istotna z uwagi na ewentualność walki zbrojnej ze stronnictwem habsburskim. Zygmunt, dobrze już zorientowany w swoich sprawach w stosunku do Gdańska, upomina się o wypłacenie należnego królowi palowego, specjalnego podatku pobieranego od kapitanów wpływających i wypływających z portu gdańskiego. Rada nie byłaby jednak sobą, gdyby zezwoliła na pomieszanie akcentów serdecznej gościnności z chłodną, kupiecką kalkulacją. Król wcześniej dowiedział się, że palowe może otrzymać nie wcześniej, niż po koronacji, bo dopiero wtedy uzyska do tego cia formalne upoważnienie. Nie chcąc jednak zrażać sobie monarchy, Rada postanowiła wesprzeć finansowe potrzeby Wazy udzielając mu zaliczki w wysokości 10 tys. zł na poczet palowego oraz pożyczki 35 tys. zł. Oprócz tego „...odjeżdżającemu wręczono złoty kielich, w którym znajdowało się 1000 dukatów (ok. 1860 zł polskich)”⁴).

Pewnym urozmaiceniem w spełnianiu codziennych trudów królewskiego żywota było uroczyste przekazanie nowemu władcy dekretu elekcyjnego. Stało się to

11 października w gdańskim kościele dominikanów, wracających zwolna do świątyni po reformacyjnych wstrząsach. Do tej świątyni będzie zawsze zachodził, gdy tylko zjedzie do Gdańska, biorąc udział — jako ultrakatolik — w celebrowanych z asystą i długotrwałych nabożeństwach. Będzie pamiętał o gospodarzach tej świątyni, którzy nienawidzeni przez przeważające środowisko luteran doznawali od nich wielu krzywd i upokorzeń, przychodząc zawsze im z pomocą i królewskim wsparciem.

Wręczenie aktu nominacyjnego zakończyło cykl oficjalnych uroczystości związanych z przybyciem Zygmunta Wazy do Polski. W dniu 20 października salwy gdańskich działa żegnały monarchę podążającego przez Malbork, Toruń i Piotrków do Krakowa.

Na zakończenie niniejszego artykułu warto wspomnieć, że naturalne ciążenie ku północy, ku Szwecji, spowodowało, że Zygmunt III przebywał w Gdańsku z wszystkich polskich władców najczęściej. Miasto zachowało tradycję uroczystego i radosnego witania króla, jedynie dwie ostatnie wizyty (1626, 1627) — z powodu prowadzonych działań wojennych z wojskami szwedzkimi — miały wyraźnie roboczy charakter. Te zewnętrzne oznaki radości i przywiązania w części tylko odzwierciedlały stan duszy gdańskich patrycjuszów. Z niepokojem śledzili oni prowadzone przez Zygmunta III wysiłki stworzenia silnej floty wojennej, z rozterką obserwowali rozwój wojennych zmagają z potężnym północnym sąsiadem, czujnie strzegli wszystkich swoich przywilejów, bez entuzjazmu przystając na realizację własnych zobowiązań. W czasach próby jednak stawali zawsze przy polskim królu, wspomagając go finansowo i militarnie. Pamiętał o tym król, pamiętał także sejm zalecając w 1628 r. różne formy rekompensaty dla miasta ponoszącego ogromne koszty obrony ostatniej kampanii wojennej.

Patrząc na matejkowski portret Zygmunta III Wazy widzimy zasępione oblicze starego człowieka czującego na swoich skroniach ciężar korony i odpowiedzialności. Wspaniała rzeźba **Abrahama van den Blocka** umieszczona w 1617 r. w portalu gdańskiego Dworu Artusa przedstawia go z pogodną twarzą z wydłużoną hiszpańską bródką, fryzowanym wąsem i kunsztownie zaplecionymi włosami. Z obrazu **Hermana Hana** w oliwskiej katedrze uważnie spoglądają na nas wielkie Zygmuntofskie oczy, a ze szczyplej jego twarzy emanuje spokój. To trzeci portret tego władcy. Kontrowersyjne podobizny, kontrowersyjne życie...

Przypisy: 1) Adam Szela-gowski: Walka o Bałtyk, Lwów — Poznań 1921, s. 94—95; 2) Irena Fabiani-Madeyska: Gdzie rezydowali królowie polscy?, Wrocław — Warszawa — Kraków — Gdańsk 1976, s. 25; 3) Kazimierz Lepczyński: Walka stronnictw w pierwszych latach panowania Zygmunta III Wazy, Kraków 1929, s. 63—64; 4) Historia Gdańska, Gdańsk 1982 t. II, s. 5, 9.

Władysław Kazimierz Wojewódzki

Gdański Ogród Zoologiczny

W Polsce jest obecnie 11 ogrodów zoologicznych. Znajdują się one w Bydgoszczy, Chorzowie, Gdańsku, Krakowie, Łodzi, Opolu, Płocku, Poznaniu, Warszawie, Wrocławiu i Zamościu. Za jeden z najpiękniej położonych ogrodów uważa się Ogród Zoologiczny w Gdańsku-Oliwie. To prawda, leży on bowiem w przepięknej Dolinie Leśnego Młyna, położonej na terenach parkowo-leśnych Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego.

Oliwskie ZOO zajmuje obecnie obszar 118 ha, z perspektywą i możliwościami dalszego rozwoju.

W numerze 2/204/87 „Jantarowych Szlaków” ukazał się artykuł **Zbigniewa Siewierskiego** omawiający historię tego Ogródu, który w przyszłym roku będzie obchodził 35-lecie swego istnienia.

W lipcu bieżącego roku odwiedziłem ZOO, żeby stwierdzić co w ostatnim okresie zrobiono w Ogródku, jakie ma sukcesy i jakie kłopoty. Rozmawiałem na ten temat z dyrektorem ZOO, lekarzem weterynarii, Markiem Grabkowskim, który w styczniu 1988 r. wygrał konkurs na to stanowisko.

Z prac rozpoczętych w ubiegłym roku zakończono już budowę pawilonu-zimowiska dla ptaków (pozostaje tylko kwestia poprawy ogrzewania jednego pomieszczenia), zakończono również budowę nowych pomieszczeń dla wielbłądów i dwóch sanitariatów. Z tych sanitariatów (naprawdę wzorowo czystych) czynny jest na razie jeden, a w drugim są trudności z podłączeniem do kanalizacji, co jednak nastąpi jeszcze w bieżącym roku. Obecnie przebudowuje się

budynek dawnej kawiarni, gdzie w przyszłości będzie sala wykładowa z zapleczem. Będą się tam odbywały prelekcje dla wycieczek zwiedzających Ogród. Nadal bardzo potrzebną i pilną dla oliwskiego ZOO jest sprawa budowy nowego pawilonu dla małp. Obecny barak, gdzie mieści się małpiarnia, nie nadaje się absolutnie do dalszej eksploatacji. Jest już gotowy projekt nowej małpiarni, opracowany przez Politechnikę Gdańską. Nie ma tylko na razie funduszy na rozpoczęcie tej budowy. Również główny budynek administracyjny ZOO jest kompletną ruiną i nie nadaje się już do żadnego remontu i modernizacji. Budynek ten należy jak najszybciej rozebrać i na to miejsce postawić nowy. Projekt na nowy budynek ma być ukończony do końca 1988 r., a w przyszłym roku planuje się rozbiórkę starego budynku i rozpoczęcie budowy nowego obiektu.

Obecnie w oliwskim ZOO przebywa około 900 zwierząt (180 gatunków) ze wszystkich kontynentów. Ogród posiada kilka cennych i bardzo rzadkich w skali światowej okazów, otoczonych ścisłą ochroną i zapisanych do tzw. Czerwonej Księgi zwierząt zagrożonych wyginięciem. Do tych okazów zaliczyć należy przede wszystkim: z ssaków — kulany, konie Przewalskiego i hipopotamy karłowate, z ptaków — kondory wielkie, z gadów — aligatorka chińskiego.

KULAN (*Equus hemionus hemionus*), zwany również dżigitajem, jest przedstawicielem rodziny koniowatych. Wygląd ma pośredni, między koniem i osłem. Osiąga około 2,5 m długości i około 1,2 m wysokości. Maść jasna, żółtawo-brązowa, grzywa i ogon ciemne, wzdłuż grzbietu, od grzywy do ogona, biegnie ciemna pręga. Zamieszkuje rozległe stepy Azji Środkowej. Bardzo płochliwy, spłoszony potrafi rozwinąć szybkość do 70 km/godz. Obecnie prawie zupełnie wytępiony przez człowieka, znajduje się pod ścisłą ochroną. W Ogródzie nie zwraca specjalnej uwagi zwiedzających, którzy w większości — ze względu na jego wygląd — uważają go za osła i prawie

go nie oglądają. W oliwskim ZOO znajdują się 3 egzemplarze kulanów.

KOŃ PRZEWALSKIEGO (*Equus przewalskii przewalskii*) jest jedynym żyjącym gatunkiem pierwotnego, dzikiego konia, zwany inaczej dzikim koniem mongolskim, bowiem jego ojczyzną jest rzeczywiście Mongolia. Osiąga około 2,2–2,8 m długości, około 1,4 m wysokości i wagę około 350 kg. Jego obfite futro latem ma barwę rudawo-brązową, zimą jaśniejszą — szarobrazową. Wzdłuż grzbietu biegnie ciemna pręga, na nogach występują pręgi poprzeczne. Łeb ma garbonosy. Koń Przewalskiego został prawie całkowicie wytępiony przez człowieka. Obecnie w stanie dzikim żyje około 40 sztuk na stepach Dżungarii, na pograniczu Mongolii, Chin i ZSRR. W ogrodach ZOO na całym świecie żyje obecnie około 60 sztuk. W oliwskim ZOO znajduje się trójka tych koni.

HIPOPOTAM KARŁOWATY (*Choeropsis liberienensis*) — gatunek z rodziny hipopotamów, zbliżony kształtem do hipopotama nilowego, ale znacznie mniejszy. Długość około 1,5 m, wysokość 80 cm, ciężar do 250 kg. Zamieszkuje Liberię, Nigerię i Sierra Leone. Żyje wyłącznie na lądzie, prowadzi nocny tryb życia, przesypiając dzień w ukryciu, w pobliżu wody. Należy do roślinożernych przeżuwaczy. Jako gatunek obecnie niezwykle rzadki, objęty jest od 1933 r. ścisłą ochroną. W oliwskim ZOO jest para tych ssaków.

KONDOR WIELKI (*Vultur gryphus*) — jest największym ptakiem drapieżnym i jednym z największych latających ptaków świata, którego rozpiętość skrzydeł przekracza 3 m, a waga 11 kg. Samce mają na głowie wysoki, mięsisty grzebień. Zamieszkuje wysokie góry Ameryki Południowej. Sensacją na skalę światową stały się w latach 1982 i 1984 przychówki (odchowane) kondorów w oliwskim ZOO.

ALIGATOR CHIŃSKI (*Aligator sinensis*) — jest jednym z najmniejszych gatunków krokodylowatych, rośnie do długości około 1,5 m. Większość życia spędza



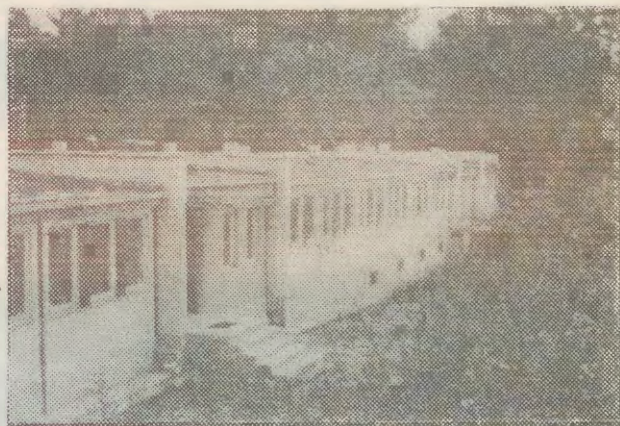
Oliwa. Budynek administracyjny ZOO.
Fot. Władysław K. Wojewódzki



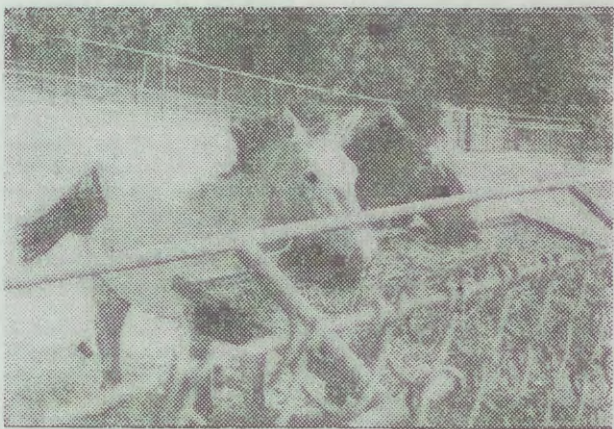
Oliwa. Budynek administracyjny ZOO.
Fot. Władysław K. Wojewódzki



ZOO Gdańsk-Oliwa. Kulań.
Fot. Władysław K. Wojewódzki



Nowa ptaszarnia w Gdańskim Ogrodzie Zoologicznym.
Fot. Władysław K. Wojewódzki



ZOO Gdańsk-Oliwa. Konie Przewalskiego.
Fot. Władysław K. Wojewódzki

kraju i z zagranicy. Szczególnie dużo zwiedzających jest w miesiącach sezonu letniego. Przeciętnie rocznie odwiedzało Ogród ponad 0,5 mln osób. Prawdopodobnie rok 1988 pod względem ilości zwiedzających będzie rokiem rekordowym.

Trzeba jednak tutaj z przykrością stwierdzić, że posiadamy nadal niską kulturę zwiedzania. Mało tego, że duża ilość zwiedzających nie zna w ogóle większości oglądanych zwierząt, to na dodatek zachowanie ich jest wysoce naganne. Stale stwierdza się wypadki karmienia zwierząt (co jest bezwzględnie zabronione), podawania im różnych przedmiotów, drażnienia, przechodzenie przez ogrodzenie, zbliżanie się bezpośrednio do klatek, nie mówiąc już o ogromnym zaśmiecaniu terenu Ogrodu. Nierzadko nie wiadomo już kto naprawdę w tym Ogrodzie jest zwiedzającym, bowiem zwierzęta w zdecydowanej większości zachowują się z godnością.

Na wstępie tego artykułu zaznaczyłem, że w przyszłym roku Gdański Ogród Zoologiczny będzie obchodził jubileusz 35-lecia swojej działalności. Z tej okazji planuje się przeprowadzenie tu 2-dniowego sympozjum naukowego, na które mają być zaproszeni naukowcy i dyrektorzy ogrodów zoologicznych zarówno z kraju, jak również z zagranicy.

Warto przy okazji pomyśleć o tym, żeby nasz Ogród naprawdę na tym jubileuszu godnie się reprezentował. Myślę o pomocy dla Ogrodu jaką mogłyby oferować zakłady pracy Trójmiasta i szkoły. Każda pomoc dla Ogrodu jest tutaj cenna i potrzebna.

aktywnie w wodzie. Na wolności żyje ich niewiele, wyłącznie w Chinach, w rezerwacie nad rzeką Jangcy. Są objęte ścisłą ochroną. W oliwskim ZOO znajduje się jeden aligator chiński.

Ogród Zoologiczny w Gdańsku-Oliwie przez cały okres swej działalności cieszy się dużą popularnością i jest stale tłumnie odwiedzany zarówno przez mieszkańców Trójmiasta, jak również turystów z całego

Jolanta Stahr

O kolei żelaznej, o siedzibie Dyrekcji Kolei i o Muzeum Kolejnictwa w Gdańsku

Krótki zarys rozwoju kolei na Pomorzu

Parowóz genialnego STEPHENSONA ruszył po raz pierwszy w 1825 r. Dziesięć lat później zakończono budowę pierwszej w Niemczech linii kolei żelaznej z Norymbergii do Fürth. Berlin — stolica hohenzollernowskich Prus — uzyskał połączenie kolejowe z Hamburgiem w 1846 r., co oczywiście wywarło ogromny wpływ na rozwój tego portu. W tym samym roku linia kolejowa połączyła Szczecin ze Śląskiem.

Pierwszą linię pomorską z Pily do Bydgoszczy, poprzez Krzyż, oddano do użytku dopiero 27 lipca 1851 r. Była to ważna dla Prus kolejowa magistrala, która miała połączyć bezpośrednio Berlin z Królewcem.

Dla tej właśnie linii zbudowano — traktowany przez współczesnych jako cud techniki XIX w. — most na Wiśle pod Tezewem, po którym pierwszy pociąg przejechał 6 października 1857 r. Warto w tym miejscu wspomnieć, że most ten odwiedzali liczni turyści, w tym Polacy z Kongresówki, np. młodzieńca JADWIGA DEOTYMA-LUSZCZEWSKA w 1858 r., która dopiero za 6 lat ujrzy podobnej konstrukcji most Kierbedzia w Warszawie.

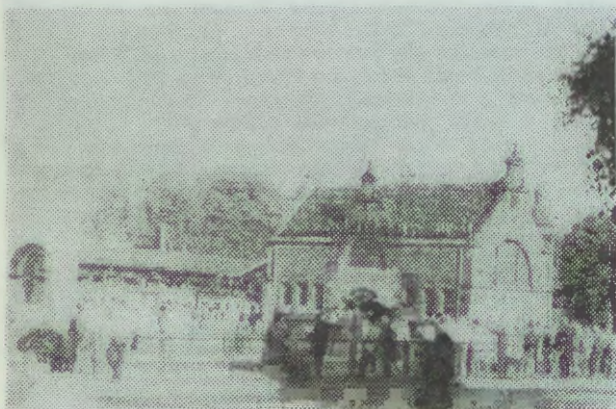
Nieco wcześniej, bo 6 sierpnia 1852 r. przekazano do użytku odgałęzienie tej linii, które połączyło Bydgoszcz — poprzez Tezew — z Gdańskiem. Odgałęzienie to wprowadzono do miasta, przecinając pierścień bastionów i zakończono stacją z dworcem „Gdańsk-Bra-



Gdańsk. Budynek Dyrekcji Kolei (stan 1988).
Fot. J. Zurawski



Gdańsk. Dworzec Główny (stan 1938).
Fot. J. Zurawski



Gdańsk. Dworzec SKM (dawny budynek
Poczty Polskiej
Nr 2 w WM Gdańsku).
Fot. J. Zurawski



Gdańsk. Budynek Okręgowej Przychodni Lekarskiej PKP
(w okresie międzywojennym mieszkali w nim polscy celnicy).
Fot. J. Zurawski

ma Nizinna" przy dzisiejszej ul. Toruńskiej. Dworzec ten, czynny do 1896 r., uległ zniszczeniu w czasie drugiej wojny światowej. Obecnie znajduje się tam stacja towarowa Kłodno.

W wyniku dalszego rozwoju kolei otwarto 24 października 1861 r. linię kolejową Bydgoszcz — Toruń, a 5 grudnia 1862 r. linię Toruń — Aleksandrów — Kutno, dzięki czemu Gdańsk uzyskał połączenie z Warszawą. Tego połączenia domagała się już od dawna gdańska starszyzna kupiecka, która przewidywała jakie korzyści odniesie miasto po związaniu gdańskiego portu ze znacznym obszarem Polski, jego naturalnym zapleczem gospodarczym i handlowym oraz po uzyskaniu połączenia z kolejami rosyjskimi i z koleją warszawsko — wiedeńską.

Marzenia gdańskich kupców ziściły się całkowicie, gdy w 1867 r. — dla obsługi nowego odcinka portu u ujścia Wisły — uruchomiono linię kolejową z Oruni do Nowego Portu, która biegła zachodnim skrajem Śródmieścia, następnie przez Nowe Szkoty i Zaspę. Kręty był przebieg torów kolejowych tej linii, zwłaszcza na odcinku Biskupia Górka i Brama Oliwska, bowiem przecinała ona w dwóch miejscach ciąg zewnętrznych umocnień i poprowadzono ją wzdłuż fosy miejskich umocnień wewnętrznych.

W dniu 1 października 1867 r. uruchomiono na tej linii dworzec pasażerski „Gdańsk-Brama Wyżynna”, który zlokalizowano bliżej miasta, w pobliżu dzisiejszego wiaduktu kolejowego przy ul. Świerczewskiego. Jego perony, ze względu na istniejące jeszcze wówczas wały, dostępne były od strony Promenady, dzisiejszej ul. 3 Maja, po schodach zwanych „Trabą słońca”. Warto w tym miejscu wspomnieć, że dziesięć lat później z tego dworca odjechał pierwszy pociąg pasażerski do Warszawy.

W 1870 r. pomorska linia kolejowa wiąże Gdańsk ze Szczecinem, przez Słupsk i Koszalin. Początkowo pociągi pasażerskie z tej strony dochodziły tylko do nieistniejącej już dziś Bramy Oliwskiej, a więc jeszcze na zewnątrz pierścienia miejskich fortyfikacji. Dopiero w 1891 r. uzyskano zgodę pruskich władz na likwidację zachodniego, wewnętrznego ciągu bastionów, co pozwoliło przystąpić do budowy stacji z prawdziwego zdarzenia i nowoczesnego dworca. Już w 1896 r. skasowano ruch pasażerski na starych dworcach (m.in. Gdańsk-Frama Nizinna), ale Dworzec Główny — z uwagi na przeciągające się prace projektowe nowej siatki ulic — uruchomiono w prowizorycznym budynku.

Nowy Dworzec Główny, zaliczany do najpiękniejszych z tego okresu w Polsce, przekazano do użytku w 1900 r. Wybudowany w stylu neorenesansowym zespół obiektów dworcowych, na miejscu zniszczonych wałów fortyfikacji miejskich, składał się z głównego hallu, kas biletowych, bagażowni, poczty, dyspozytorni mieszkań dla kolejarzy i izby lekarskiej. Większa część tych budynków przetrwała do dziś, łącznie z 48-metrową wieżą (wykorzystywaną jako wieża ciśnienia) i z charakterystycznymi dachami peronów. Podczas ostatniej wojny główny budynek dworca uległ całkowitemu wypaleni. Ostatniej jego modernizacji — według proj. A. JAGODZIŃSKIEGO i J. SZCZEPAŃSKIEGO — dokonano w 1965 r. W obręb nowego dworca włączono część obiektów prowizorycznego, które istnieją jeszcze dziś i są widoczne z ul. Podwale Grodzkie. Równocześnie z nowym dworcem powstał wiadukt „Płędnik”, obecnie całkowicie przebudowany, którego nazwa pochodzi od ogrodu z labiryntem założonego w 1708 r. między dawnymi bramami Św. Jakuba a Oliwską.

Warto jeszcze wspomnieć, że niezależnie od uruchomienia lokalnych linii kolejowych z Gdańska do Kartuz przez Pruszcz (1870 — 1875), do Kokoszek przez Wrzeszcz (1913) i z Oruni na Ostrów (1905) i innych (niektóre obecnie już nie istnieją), w 1872 r. ukończono linię Malbork — Ilawa — Działdowo — Mława. Ta linia stanowiła drugie ważne połączenie Pomorza z centralną Polską, a zarazem najkrótsze połączenie między Warszawą a Gdańskiem. Z kolei w 1873 r. oddano do użytku linię kolejową Piła — Chojnice — Tczew, dzięki czemu skrócono znacznie drogę z Berlina do Królewca.

Ekspansjonistyczna polityka militarizmu pruskiego przyniosła mu w efekcie klęskę. W wyniku nowego

układu sił, na mapie Europy pojawiła się ponownie Niepodległa Polska. Po uprawomocnieniu się Traktatu Wersalskiego 10 stycznia 1920 r. Rząd polski przejął wyznaczony obszar Pomorza. Natomiast oficjalne przejęcie pomorskich kolei — 305 stacji, 85 przystanków osobowych i 2530 km torów szlakowych i stacyjnych — nastąpiło 1 kwietnia tegoż samego roku.

Niestety, Gdańska Polsce nie przyznano, ponieważ Główne Mocarstwa Sprzymierzone i Stowarzyszone utworzyły państwo — kuriozum — Wolne Miasto, które oficjalnie proklamowano 15 listopada 1920 r. Na mocy art. 104 Traktatu Wersalskiego Polsce przyznano nadzór i zarząd nad całą siecią kolejową na terenie Wolnego Miasta, z wyjątkiem kolei służących głównie potrzebom tego mini-państewka. Szczegółowe postanowienia do tego artykułu zawierała Konwencja Paryska z 9 listopada 1920 r., która ponadto powołała do życia na terenie Gdańska Radę Portu i Dróg Wodnych, po to, aby ona z kolei zarządzała, kontrolowała i eksploatowała drogi żelazne obsługujące port. Powstała paradoksalna sytuacja, która musiała w końcu doprowadzić do różnego rodzaju sporów i konfliktów.

Senat Wolnego Miasta, który ukonstytuował się 7 grudnia 1920 r., niemal od początku swego istnienia podjął silną akcję na arenie międzynarodowej zmierzającą do usunięcia z Gdańska polskiej Dyrekcji Kolei pod pozorem, że administrowanie równocześnie liniami polskimi i gdańskimi jest sprzeczne z treścią zawartych umów. Po wielu obustronnych odwołaniach, zasięgnięciu opinii wybitnych prawników, a także po ponownym wystąpieniu — pod wpływem nacisku niemieckich, kolejowych związków zawodowych — Senatowi Wolnego Miasta, spór ten zakończył się nieomyślnie dla Polski. Wysoki Komisarz Ligi Narodów zdecydował 14 stycznia 1932 r., że Polski Zarząd Kolejowy utworzy bezzwłocznie dla administrowania liniami kolejowymi w obrębie granic Wolnego Miasta odrębną komórkę. W wyniku tej decyzji utworzona 1 grudnia 1921 r. Dyrekcja Kolei w Gdańsku została przeniesiona 1 września 1933 r. do Torunia. W zamian utworzono Biuro Gdańskie PKP, podległe bezpośrednio dyrektorowi Kolei.

W okresie międzywojennym Dyrekcją Kolei zarządzali czterech dyrektorów: inż. TADEUSZ CZARNO-WSKI (1929 — 1930), inż. BOGUSŁAW DOBRZYCKI (1930—1938), inż. JAN LORFING (1938—1939) i mgr ADAM KURZ (od 1 czerwca 1939 r. do 1 września 1939 r.). Naczelnikiem Biura Gdańskiego PKP był dr ALEKSANDER SCHILLER, który zginął w obozie koncentracyjnym w Stutthofie.

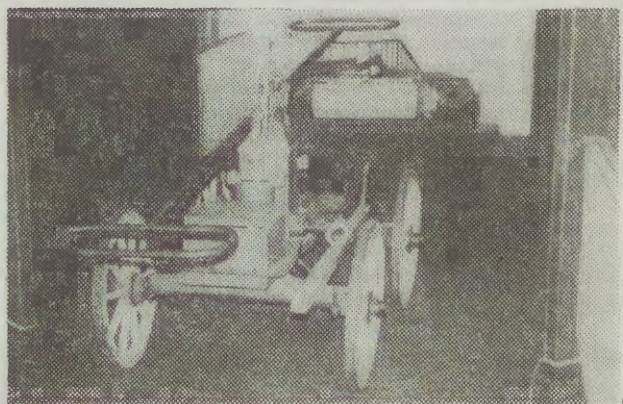
Nie tylko Gdańsk, ale również Gdynia była obiektem zainteresowania administracji kolejowej. Jeszcze na początku 1920 r. stacja Gdynia, obsługująca małą wieś rybacką i trzeciorzędne kąpielisko morskie, dysponowała 5 rozjazdami i torem długości 1,5 km. W celu bezpośredniego połączenia wybrzeża Bałtyku z kolejami pomorskimi, oczywiście z pominięciem obszaru Wolnego Miasta, Towarzystwo Robót Inżynierskich wykonało 1-torową linię Gdynia — Osowa, której otwarcie dla ruchu nastąpiło w 1921 r.

W związku z przystąpieniem do budowy portu w Gdyni jeszcze w 1921 r. położono tor kolejowy, który odgałęział się od stacji, biegł dzisiejszą ul. Starowiejską i dochodził do nabrzeża. Równocześnie z budową dalszych nabrzeży kładziono kolejne tory. Z upływem czasu sieć torów zagęszczała się coraz bardziej, ale jej układ coraz bardziej utrudniał pracę samej kolei i portu. Wówczas utworzono w latach trzydziestych trzy duże, do dziś eksploatowane, zespoły stacji rozrządowych na terenie portu gdyńskiego.

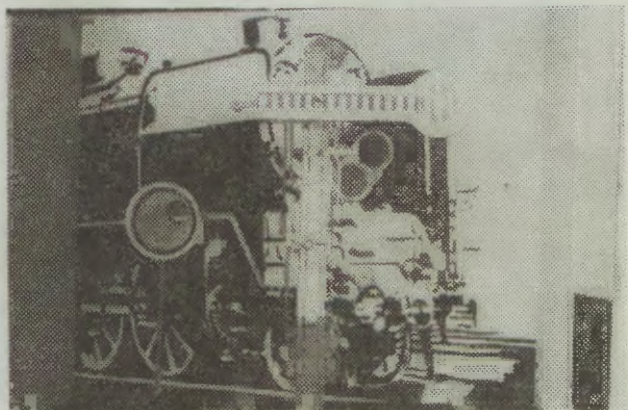
Dynamiczny rozwój portu i miasta oraz wzrost przewozów ładunków i osób wytworzyły sytuację, w której dotychczasowe połączenia Gdyni z krajową siecią PKP okazały się niewystarczające. Co prawda z Sopotu do Gdyni biegła już 1-torowa linia kolejowa, ale położenie drugiego toru wymagałoby przeprowadzenia wywłaszczeń na terenie Wolnego Miasta. Ponieważ przy ówczesnych stosunkach polsko-gdańskich było to niemożliwe, zdecydowano się na budowę magistrali węglowej, biegnącej z Gdyni do Herb Nowych, poprzez Kościerzynę, Inowrocław i Karsznice. Realizację tej największej inwestycji kolejowej Polski



Gdańskie Muzeum Kolejnictwa. Zestaw lamp kolejowych.
Fot. J. Zurawski



Gdańskie Muzeum Kolejnictwa. Ręczna pompa strażacka.
Fot. J. Zurawski



Gdańskie Muzeum Kolejnictwa. Semafor kolejowy.
Fot. J. Zurawski



Gdańsk. Magazyn Ekspedycji Gdańsk Gł.
Fot. J. Zurawski

międzywojennej powierzono Francusko-Polskiemu Towarzystwu Kolejowemu. Przekazanie tej linii do eksploatacji na całej długości nastąpiło w rekordowo krótkim czasie, w 1933 r.

Nadszedł rok 1939, a za nim mroczne i okrutne czasy hitlerowskiej okupacji, które zadaly polskiemu kolejnictwu i polskiemu kolejarzom ogromny cios i niepowetowane straty, których szczegółowe omówienie przekracza łamy niniejszego artykułu. W wyniku zwycięskiej ofensywy styczniowej wojsk radzieckich i polskich w 1945 r. Pomorze z Gdańskiem wróciło do Polski. Z końcem stycznia 1945 r., a więc jeszcze przed wyzwoleniem Gdańska, powołano Dyрекcję Okręgową Kolei Państwowych z tymczasową siedzibą w Bydgoszczy. Jej przeniesienie do Gdańska nastąpiło dopiero 23 sierpnia 1945 r. Pierwszym jej dyrektorem został przedwojenny drogowiec z Torunia, inż. ZBIGNIEW MODLIŃSKI, delegowany przez Rząd Lubelski do organizowania administracji kolejowej na Pomorzu.

Najtrudniejsze dni miały dopiero nadejść, gdyż — niezależnie od odbudowy niemal całkowicie zniszczonej infrastruktury kolejowej — należało jak najszybciej uruchomić regularną komunikację kolejową z krajem. Największą inwestycją komunikacyjną Wybrzeża po drugiej wojnie światowej była budowa kolei elektrycznej na napięcie 800 V. Już w 1951 r. uruchomiono pierwszy odcinek Gdańsk — Nowy Port, jako odgałęzienie od głównego szlaku. W styczniu następnego roku uruchomiono odcinek Gdańsk — Sopot. Z uwagi na wykonanie poważnych robót ziemnych i kilku wiaduktów pociągi elektryczne do Gdyni ruszyły po jednym torze dopiero w lipcu 1953 r., a normalny ruch 2-torowy nastąpił w maju 1954 r. Dopiero w 1956 r. uruchomiono dalszy odcinek Gdynia — Chylonia biegnący na wspólnych torach z trakcją parową, a 1 stycznia 1958 r. oddano do użytku odcinek Chylonia — Wejherowo.

Trzeba przyznać, że ta inwestycja w poważnym stopniu rozwiązała problem komunikacyjny Trójmiasta. Na dalsze inwestycje trzeba było jednak czekać kilka lat.

Siedziba Dyrekcji Kolei w Gdańsku

Za czasów pruskich nad rozwojem kolei czuwała powołana w listopadzie 1849 r. Królewska Dyrekcja Kolei Wschodniej w Bydgoszczy. W wyniku rozbudowy sieci kolejowej musiała nastąpić reorganizacja administracji. W miejsce dotychczas jednej dyrekcji w 1895 r. utworzono trzy, w Bydgoszczy, Gdańsku i Królewcu.

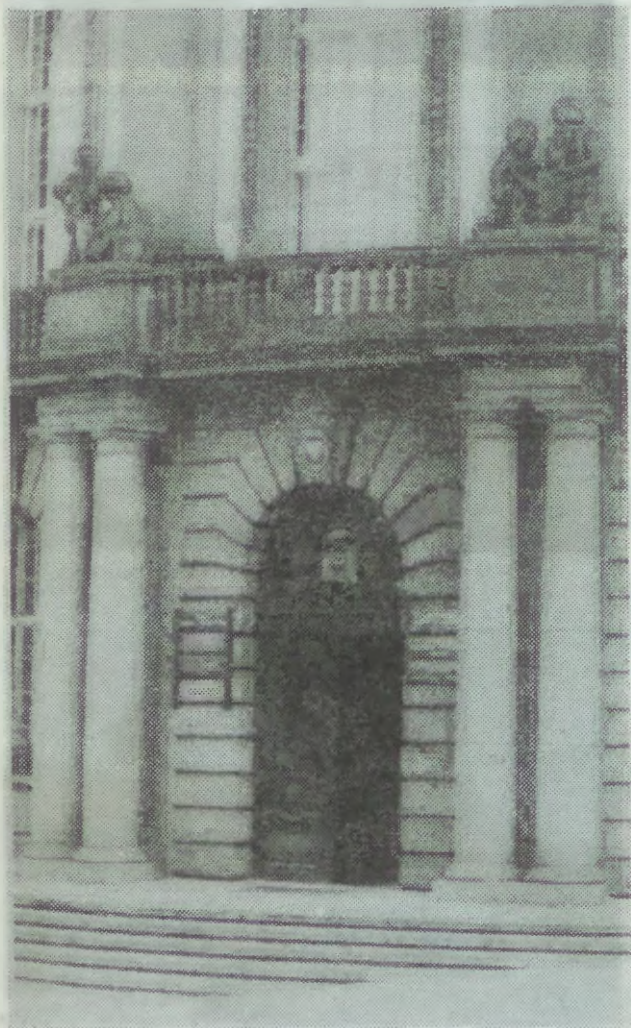
Królewską Dyrekcję Kolei w Gdańsku ulokowano tymczasowo w budynku należącym do szpitala Bożego Ciała przy dzisiejszej ul. 3 Maja, w pobliżu wspomnianego już wiaduktu „Błędnik”. Jednak z upływem czasu coraz trudniej było pracować w ciasnych pomieszczeniach. Budowa nowego gmachu dla rozbudowywanej administracji kolejowej stała się koniecznością. Po drugiej stronie „Błędnika” był luźno zabudowany teren, na którym niegdyś znajdował się (od XV w.) miejski lazaret Św. Rocha z apteką i kaplicą. Przyjmowano do niego zakażnie chorych, weneryków i obłąkanych, którymi od 1649 r. opiekowali się stale zatrudnieni przez miasto — lekarz i chirurg. Ten właśnie teren wybrano pod budowę przyszłej siedziby Dyrekcji Kolei. Przystąpiono do niej w listopadzie 1911 r., a kamień węgielny wmurowano w fundament 14 sierpnia 1912 r. Roboty budowlane były utrudnione, gdyż trzeba było wpiwer usunąć starą zabudowę z fundamentami, a przed ułożeniem nowych fundamentów wbić prawie 1300 pali betonowych o długości od 4 do 12 m. Budowniczym tego obiektu był ówczesny prezes Dyrekcji Kolei inż. BREITNEBACH. Koszty tej inwestycji, łącznie z wyposażeniem wnętrza, nową siatką ulic, wyniosły 17 mln marek pruskich.

Był to 5-kondygnacyjny budynek, który liczył wówczas 265 pokoi dla 500 urzędników, 1216 m korytarzy i 3700 m² powierzchni. Projekt przewidywał dalszą rozbudowę gmachu. Pokoje biurowe były skromnie wyposażone, jedynie główny hall budynku, jak również gabinet prezydyjalny i sala posiedzeń, lśniły marmurem i bogatym wystrojem. Frontowa elewacja budynku — to dobra kamieniarska robota. Balustradę nad wejściem zdobiły rzeźby symbolizujące ówczesne wydziały Dyrekcji: Administrację, Budownictwo, Budowę Maszyn i Architekturę, z których do dziś zachowały się tylko dwie środkowe. Wieńczące fasadę posągi przedstawiają Rolnictwo, Przemysł, Handel i Naukę.

Decyzją Międzysojuszniczej Komisji Podziału Mienia budynek byłej Królewskiej Dyrekcji Kolei w Gdańsku przyznano Polsce. Jak już wcześniej powiedziano, z dniem 1 grudnia 1921 r. zlokalizowano tu polską Dyrekcję Pomorską, która dzieliła się na 10 wydziałów, każdy wydział na 4—6 działów. Od 1 września 1933 r. mieściło się tu Biuro Gdańskie PKP, dalej Naczelny Inspektorat Ceł, Gmina Polska, Związek Polaków, Stowarzyszenie Emerytów Polskich, Macierz Szkolna, Polska Rada Sportowa, szkoły: średnia i ogólnokształcąca, Konserwatorium Muzyczne, ochronka pod opieką SS. Dominikanek i Centrala Turystyczno-Krajoznawcza.

Z dotychczasowych danych wynika, że w okresie międzywojennym budynek Dyrekcji Kolei był ostoją Polonii gdańskiej, bastionem polskości w coraz bardziej faszystującym się Gdańsku. Tu w latach 1920 — 1924 zatrudniony był jako bibliotekarz i rzecznik prasowy STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI, wybitny poeta i pisarz okresu Młodej Polski, dzięki któremu powstało słynne Gimnazjum Polskie. W jednym ze swych artykułów pisał:

„Ja kocham Gdańsk i w moich wędrowkach po wszystkich ulicach Gdańska i jego zaułkach czytywałem bezustannie na licznych szyldach kupieckich i sklepczarskich polskie nazwiska. Nieraz w potworny sposób zniekształcone i przekoślawione, ale tak na wskroś polskie (...), lecz niezapomianą będzie mi chwila, gdy do tej rzeszy polskich robotników przemawiał (...), w życiu nie miałem tak wdzięcznych słuchaczy...”



Portal budynku Dyrekcji Kolejowej w Gdańsku.

Fot. J. Żurawski

Profesorem Konserwatorium Muzycznego był tu słynny muzyk, kompozytor i wychowawca wielu talentów KAZIMIERZ WILKOMIRSKI. Nie sposób nie wspomnieć o nestorze i wychowawcy wielu pokoleń gdańskich przewodników, autorze publikacji naukowych i turystyczno-krajoznawczych i działaczu PTTK-owskim WITOLDZIE KLEDZIKU, który jako pracownik Dyrekcji Kolei działał w wielu organizacjach polonijnych.

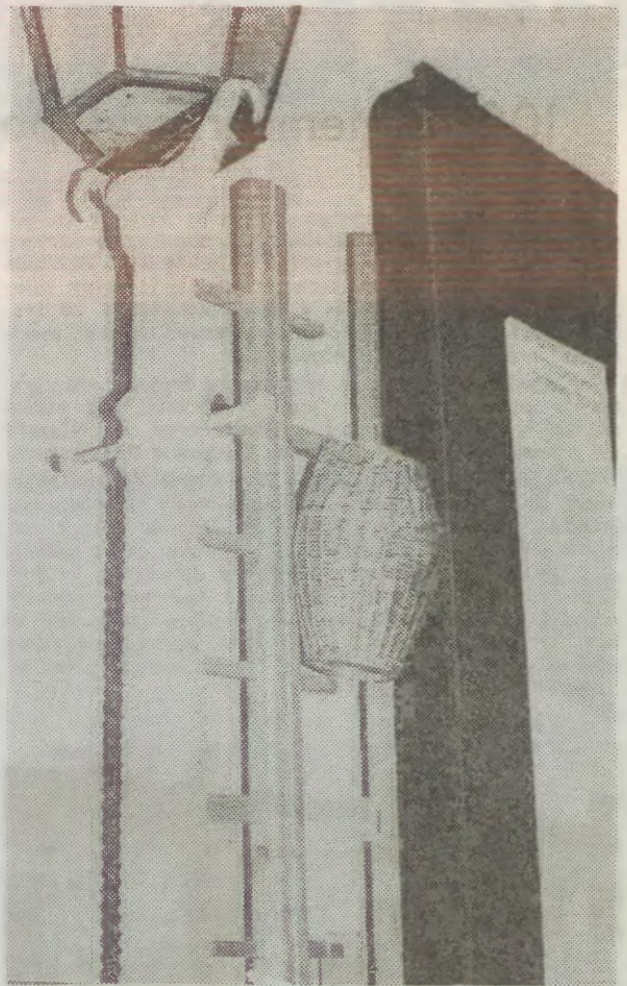
Muzeum Kolejnictwa w Gdańsku

Na trzecim piętrze obecnej siedziby Północnej DOKP w wydzielonym hallu o powierzchni 85,77 m² i dwóch pokojach o powierzchni 30 i 49 m² mieści się Muzeum Kolejnictwa, którego uroczyste otwarcie nastąpiło 27 maja 1979 r. Inicjatorem jego powołania był ówczesny dyrektor Okręgu Kolei Państwowych w Gdańsku inż. STEFAN MICHAŁOWICZ, który lustrując poszczególne jednostki kolejowe spotykał stare rękwiszytu służbowe, sprzęt i wyposażenie. Z uwagi na wkraczającą w coraz silniejszym stopniu modernizację kolejnictwa, trafiły by one do lamusa lub zostały by zniszczone. Postanowił je ocalić dla przyszłych pokoleń. Zdawał sobie ponadto doskonale sprawę, że przedstawiają one również dużą wartość historyczną.

Ekspozycję muzealną otwiera stojący w hallu sygnał balonowy z 1850 r., którego kosz na odpowiedniej wysokości wskazywał maszyniście „wolna droga” lub „stój”. Sygnał ten pełnił również rolę optycznego telegrafu. W specjalnych gablotach mieszczą się modele parowozów w tym dwa z 1829 r., motowozów, elektrowozów, wagonów itp. Wśród nich znajduje się służący przez wiele lat mieszkańcom Trójmiasta model „modraka”. W hallu znajduje się ręczna pompa strażacka i napędzana ręcznie drewniana szynowa. Wspaniałe eksponaty — to stare zegary stojące i wiszące. Najstarszy z nich, odzyskany z linii Olsztyn — Korsz, to nakręcany przy pomocy łańcuchów obciążonych ciężarkami zegar-matka, który napędzał zegary peronowe. Dwa inne zegary z 1890 r., czynne do dziś, znajdowały się na stacjach w Swarzędzie i Strzebielinie.

Dalsza ekspozycja ułożona jest tematycznie. W jednym z pokoi urządzono kącik pracy dyżurnego ruchu małej stacji, który wyposażony jest w aparat Morse'a, stare biurko z fotelem, pieczęcie, kasowniki, tarczkę sygnalizacyjną tzw. lizak, stare terniony biletowe, mundur i rogatywkę z okresu przedwojennego. W tym samym pomieszczeniu można oglądać wycofane już z eksploatacji urządzenia łączności, jak aparaty telegraficzne, centralki telefoniczne i telefony wiszące, m.in. firmy „Western Electric” i „Siemens”. Odległe czasy przypominają różnego rodzaju lampy i latarki oświetleniowe, robocze, sygnalizacyjne, które umieszczano na rozjazdach i semaforach, naftowe i karbitowe. Interesującą ekspozycję stanowią stare przyrządy służby drogowej, jak np. pochodzące z 1929 r. poligrafy, którymi posługiwano się przy badaniu stanu szyn.

Bogato przedstawia się zbiór dokumentów, wśród których należy wymienić instrukcje służbowe, stare rozkłady jazdy, kompletną dokumentację budowy linii kolejowej, listę starszeństwa pracowników kolejowych z 1926 r., dwujęzyczną legitymację pracownika PKP z terenu Wolnego Miasta Gdańska, akta personalne, niezrealizowaną listę placów odcinka drogowego z wrze-



Gdańskie Muzeum Kolejnictwa. Sygnał balonowy.

Fot. J. Żurawski

snia 1939 r., bilety. Ekspozycję urozmaicają jeszcze planse i fotografie obiektów kolejowych i kolejarzy.

Od chwili otwarcia Muzeum Kolejnictwa cieszy się ogromnym zainteresowaniem zarówno pracowników PKP, jak również społeczeństwa, o czym świadczą liczne wpisy do księgi pamiątkowej. Znajdziemy tam również wpisy delegacji zagranicznych.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na to, że tuż obok pomieszczeń Muzeum Kolejnictwa znajduje się Sala Tradycji i Perspektyw, która ma również charakter muzealny, bowiem przedstawia ona dorobek rodziny kolejarskiej w ciągu minionego 40-lecia. Znajdują się tu liczne zdjęcia zasłużonych kolejarzy, puchary, legitymacje itp. Z cenniejszych eksponatów należy wymienić: sztandar związkowy z 1936 r., sztandar PPR i sztandar PPS z 1948 r., sztandar koła ZMP oraz mapę Polski z 1945 r. z zaznaczonymi granicami historycznymi naszego kraju, którą kolportowano wśród żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, aby ich zachęcić do powrotu. Ponadto można tu przejrzeć liczne fotokroniki i albumy przedstawiające osiągnięcia kolejarzy gdańskiego Okręgu Kolei.

Z okazji Nowego 1989 Roku składamy członkom kolegium i redakcji, współpracownikom, autorom oraz czytelnikom najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności w pracy zawodowej i w życiu osobistym.

Gdańsk, 1988.12.31

Redakcja

100 lat temu ruszył pociąg w Świeciu nad Wisłą

Dawna stolica udzielnego księstwa Świecie należy obecnie do znaczących punktów na mapie gospodarczej kraju, dzięki zlokalizowaniu tu potężnego Zakładu Celulozy i Papieru. Na terenie miasta i gminy mieszka około 32 tys. osób, a samo Świecie z 25 tys. osób zajmuje pod względem liczebności trzecie miejsce w województwie bydgoskim.

To dzisiejszym czasem zawdzięcza Świecie swą pozycję, naprawiając błędy sprzed 100 laty, gdy miało szansę wyjść z marazmu gospodarczego, co wiązało się z budową linii kolejowej do Laskowic Pomorskich.

Wróćmy do tych wydarzeń. W połowie XIX w. właściciele Świecie znajdowało się na terenie tzw. Starego Miasta, w widłach Wisły i Wdy. Jednak — jak powiada W. WOJCIECHOWSKI w swym przewodniku pt. „Świecie pomorskie niegdyś a dzisiaj” z 1912 r. — *niezdrowe położenie miasta w mokrych nizinach szkodziło zdrowiu mieszkańców, cholera grasowała w tych stronach w latach 1831—1848, szczególnie tutaj zabierano liczne ofiary. Oprócz tego niszczyły powodzie mieszczan na majątku.*



Świecie. Dawny dworzec kolejowy.

Fot. J. A. Kamiński

W 1857 r. uzyskano wreszcie pozwolenie na przeniesienie miasta na lewy, wysoki brzeg Czarnej Wody (Wdy), co nastąpiło w latach 1858—1885 i kosztowało około 650 tys. marek. Miasto miało szansę przyspieszenia swego rozwoju, gdyby nie władze świeckie przy zdecydowanie małomiasteczkowej krótkowzroczności odrzuciły projekt przyłączenia Świecia do ogólnej sieci kolejowej w okresie budowy magistrali Bydgoszcz — Tczew (zob. „Historia miasta Świecia” z 1907 r.) Dlaczego tak się stało?

W 1852 r. powiat świecki uzyskał połączenie kolejowe z Berlinem, Wrocławiem i Szczecinem, natomiast w 1857 r. z Królewcem. Samo Świecie linie kolejowe omijały. Niedogodność komunikacji z Terespołem i Warlubiem, z uwagi na zły stan dróg kołowych i stan techniczny pojazdów szosowych, spowodowała, że wśród światlejszych mieszkańców Świecia powstała myśl, aby miasto uzyskało połączenie kolejowe z Laskowicami, co miało nastąpić w 1855 r. I wówczas...

Wówczas do kontraktacji przystąpili właściciele gruntów, przez które miała przebiegać planowana linia kolejowa. Publicznie rozgłaszali wieści, jakoby krowy znajdujące się w pobliżu tej linii przestana jeść zatrutą trawę, że dym od parowozów potruje ptaki, że kury przestaną znosić jajka, że kotły lokomotyw będą wybuchać, że przejazd przez nieoświetlone tunele spowoduje upadek obyczajów, że... I proszę sobie wyobrazić, że walkę wygrali właściciele ziemscy. Mieli oni bowiem jeszcze potężnego pomoc-

nika. Do walki z konkurencyjną koleją włączyli się, w obawie o utratę zysków, właściciele transportu wodnego. Szlak wodny był tradycyjnym, ale jeszcze dość tanim środkiem transportowym. Piwnice Zamku Świeckiego (pokrzyżackiego), który leżał nad Wisłą, służyły jako magazyny. Czynna tam nawet była stacja celna. Stąd wypływa oczywisty wniosek, że to nie była wojna kur z koleją, lecz udziałowców-właścicieli gruntów między Świeciem a Laskowicami i właścicieli spółek wodnych.

Dopiero w 1887 r. przystąpiono do budowy linii kolejowej ze Świecia do Terespoła. W dniu 1 września 1888 r. odbyła się w mieście wielka uroczystość. Ruszył wówczas pierwszy pociąg. Tradycja podaje, że pierwsi pasażerowie odbyli podróż za darmo. Ale skąd nagle ta zmiana?

Był to końcowy etap przenosin miasta na obecne miejsce. Wisła oddaliła się od terenów zabudowanych i szukano nowych rozwiązań transportowych. Dopiero wtedy przywrócono kolej do łask. Z dogodnego połączenia kolejowego zaczęła korzystać cukrownia, mły-



Świecie. Dawny dworzec kolejowy.

Fot. J. A. Kamiński

ny w Przechlewie, cegielnia, a także poczta, która doczepiała do pociągów swój ambulans.

W okresie międzywojennym, z inicjatywy kupców LEONA NEUMANNA i EDWARDA BARTLA, podjęto starania o uzyskanie połączenia z Laskowicami. Przewadzano pertraktacje w magistracie świeckim, a nawet wysłano delegację do Dyrekcji Kolei w Gdańsku, lecz próby te speliły na niczym.

Warto jeszcze wspomnieć, że w 1907 r. Świecie miało pięć połączeń dziennie, natomiast w 1926 r. tylko cztery: 3.50, 11.10, 16.20 i 20.10 (pod tym względem niewiele zmieniło się do dziś). Dworzec dysponował własną restauracją prowadzoną przez WŁADYSŁAWA CHELSTOWSKIEGO, która polecała śniadania, obiady, kolacje oraz dobre „pielegnowane” piwo. Przetwał ten dworzec 85 lat, by ustąpić obecnemu, oddanemu do użytku 5 grudnia 1973 r.

Koszt nowego dworca, dworca kolejowo-autobusowego, wyniósł ponad 14 mln zł, w którym partycypowały PKP, PKS i Zakłady Celulozy i Papieru. Zaprojektował go inż. arch. B. COFTA z Biura Projektów Kolejowych w Gdańsku, a wybudowało Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Grudziądzu, przy czym budowa trwała od sierpnia 1971 r. Dwa lata później, podczas konkursu na najładniejsze obiekty w województwie bydgoskim rozpisanego z inicjatywy redakcji „Profile” i „Dziennika Wieczornego”, dworzec świecki uzyskał tytuł „Mister 73”.

Jubileusz Świecia

W 1988 r. jubileusz 650-lecia nadania praw miejskich obchodzi miasto w województwie bydgoskim — Świecie. Etymologia nazwy miejscowości znalazła wyraz w rozlicznych poglądach uwzględnionych w syntetycznej, opublikowanej przez EWĘ JAKUS-DĄBROWSKĄ wersji:

„Świecie to nazwa topograficzna prymarna od wyrazu pospolitego świecie, który jest zbiorowym określeniem miejsca silnie świecącego, w naszym wypadku — ze względu na odbicie światła słonecznego w wodzie rzeki („Nazwy miast Pomorza Gdańskiego”, Wrocław — Warszawa — Kraków — Gdańsk 1978, s. 164). W tej sytuacji niespełnioną legendą pozostaje opowieść o dramatycznej przygodzie księcia Świętopelka uratowanego od śmierci w spienionym, wiślanym nurcie dzięki błyskawicemu w tę ponurą noc światłu z gościnnego brzegu świeckiego. Nic dziwnego, że zbawcze światło — już jako świeca — znalazło swoje miejsce w centrum miejskiego herbu (zawierającego ponadto dwa symetrycznie usytuowane półksiężycy).

Militarne walory osady leżącej w widłach Wisły i Wdy zostały właściwie ocenione już w zamierzczym średniowieczu: tu właśnie znajdował się jeden z ważniejszych punktów ówczesnej administracji, stąd słał rozkazy tajemniczy książę GRZYMSŁAW. W jednym znanym dziś sygnowanym przez księcia dokumencie pojawia się nazwa grodu „Zwece”. Sam dokument — wydany w 1198 r. — dotyczy osadzenia w pobliskich Skarszewach i Lubiszewie zakonu joannitów. Od 1217 r. władcą księstwa świeckiego był jeden z synów gdańskiego MŚCIWOJA I — WARCISŁAW. Po jego rychłej śmierci (1229) niewielkie księstwo zostało włączone do pomorskiej dzielnicy senioralnej ŚWIĘTOPEŁ-

KA WIELKIEGO. Dla niego właśnie Świecie stanowi na tyle ważny punkt strategiczny w długotrwałych, żmudnych zmaganiach z Zakonem Krzyżackim, że książę buduje tu nowy gród w miejsce spalonego kilka lat wcześniej grodu w niedalekich Sartowicach.

Ziemia świecka, gród świecki to ostatni już punkt oporu słowiańskiego Pomorza przed zalewem krzyżackim na początku XIV w. Po podstępym zagarnięciu Gdańska (listopad 1308 r.) i Tczewa wojska zakonne udają się na południe i po długim dwumiesięcznym oblężeniu na początku września 1309 r. zdobywają gród świecki mężnie broniący przez BOGUMIŁA Z PAKOŚCI. Był to przedostatni akord w misternym planie Zakonu; ostatni — to przeniesienie siedziby wielkiego mistrza do Malborka, co stało się zaledwie w miesiąc po zajęciu Świecia. Teraz już bez przeszkód Malbork, a nie daleka Wenecja, mógł być stolicą zakonnego państwa.

Krzyżacy stawiają w Świeciu komturewski zamek, a pod datą 1309 wystawiają dokument, gdzie nazwa miasta to „Swetz”. Jak zaznacza cytowana już Ewa Jakus-Dąbrowska, jest to pierwszy w grafice dówód zmienienia starej polskiej nazwy Świecie. Mimo germanizacyjnej presji, miasta nadwiślańskie Nowe i Świecie stanowiły najsilniejsze skupiska polskiej ludności w państwie zakonnym. W 1338 r. następuje lokacja nowej osady miejskiej na prawie chełmińskim.

Zmienne losy wojny 13-letniej (1454—1466) nie ominęły miasta, które po pokoju toruńskim ostatecznie wraca do Polski wchodząc w skład województwa pomorskiego. Jako siedziba starostwa, miejsce sejmików i sądów, ośrodek rzemieślniczo-handlowy, Świecie liczy

w 1570 r. 1200 mieszkańców. Od czasów pierwszego rozbioru ziemia świecka stanowi część państwa pruskiego. Wcześniej zniszczenia (wojny szwedzkie), liczne powodzie powodują regres miasta przenoszącego się w połowie XIX w. na nadwiślańską wysoczyznę. Pruskie władztwo nie przeszkodziło jednak ludności Świecia i okolic wielokrotnie ujawniać wybitne propolskie postawy. Przykładem mogą być wydarzenia z 1794 r., gdy insurekcja kościuszkowska obejmująca południowe krańce Pomorza spotyka się z entuzjazmem i pomocą świeckiego mieszczaństwa. Podobnie reaguje ono w 1807 r., gdy goniące Prusaków oddziały napoleońskie — z przeważającym udziałem polskiego żołnierza — są żywiołowo wspierane przez miejscową ludność. Przed pierwszą wojną światową działa tu patriotyczne Towarzystwo Tomasza Zana. Powrót do Polski w 1920 r. zaowocował uprzemysłowieniem i rozbudową miasta.

Lata 1939—1940 to dla ziemi świeckiej najczarniejszy mrok okupacyjnej gehenny; hitlerowcy mordują około 3 tys. osób, z czego blisko połowa, to pacjenci szpitala psychiatrycznego. W dniu 12 lutego 1945 r. wojska 65 armii gen. płk. PAWEŁA BATOWA wyzwoliły miasto. Rozpoczyna się nowy okres w jego długich dziejach.

Obecnie Świecie kojarzy się nieodparcie ze zbudowanymi w 1967 r. Zakładami Papieru i Celulozy wykorzystującymi surowcowe sąsiedztwo Borów Tucholskich. Stosunkowo nieliczne, ale interesujące zabytki (częściowo zachowany, XIV-wieczny zamek, fragmenty murów obronnych, zespół dawnego klasztoru Bernardynów), są dzisiaj świadectwem skomplikowanej historii miasta — Jubilat.

Alfons Lemański

Klasztor

Historia wsi zwanej Klasztor, położonej nad jeziorem tejże nazwy, na terenie gminy Gardeja na ziemi kwidzyńskiej, stanowi pasjonujący problem. W latach 1907—1909 oraz 1965—1966 przeprowadzono tam częściowo badania wykopaliskowe i zabytkoznawcze na przylądku jeziornym, a także na wyspie północnej. Umożliwiło to opublikowanie mapy sytuacyjnej miejscowych re-

liktów architektonicznych i warownych, w oparciu o mapę z 1897 r., której kopię reprodukuje.

Spoglądając na ten zarys, zorientować się nietrudno, że mamy przed sobą dwa odrębne kompleksy zabytkowe, każdy z innej epoki dziejowej, odmiennego pochodzenia i funkcji. W kierunku na północ widnieje wczesnośredniowieczne grodzisko o rzucie poziomym słowiań-

skiej owalnicy, otoczonej podwójnym wałem i fosą, a poniżej tego, po południowej stronie, usytuowany jest półwysp z ruinami kamiennoceglanych budowli.

Grodzisko, którego nazwa brzmi Werena, włączył wybitny archeolog i znawca regionu, rodak ziemi sztumskiej, ks. dr WŁADYSŁAW ŁĘGA (1889—1960) do swojego katalogu grodzisk pomorskich z takim objaś-

nieniem: Grodzisko na wyspie jeziorze klasztorne. Jądro płaskie, otoczone wałem mniej więcej kołystym o objętości 400 kroków i wysokości 19—22 m. Wewnątrz fosa 10 m głęboka i 11 m szeroka.

Niemieckie biografie o św. Wojciechu sugerują, że istniała tu staropruska twierdza i na tej podstawie wysunęła hipotezę, iż tragedia męczeńska apostoła Pomorza rozegrała się na ziemi kwidzyńskiej. Fakt ten miał znaleźć uzasadnienie w nazwie osady Klasztorok, gdyż rzekomo ku uczczeniu heroicznego zgonu św. Wojciecha powstał tu kla-

ścijską biskup praski i tam został zabity.

Porzucając więc powyższą irracjonalną tezę szukamy wyjaśnienia na podstawie poszukiwań archiwalnych i rzeczowego przebadania ruin. Biorąc sprawę na zdrowy rozum zauważamy, że gdyby w tym punkcie ziemi kwidzyńskiej rzeczywiście istniał kiedykolwiek klasztor, musieliśmy też wiedzieć jakiego zakonu. Przecież każdy z nich miał swój dom macierzysty, któremu podlegały klasztory filialne. Również ruiny zaprzeczają istnieniu tu klasztoru.

plaskowyżu, opadającym trzema stokami ku jezioru, a połączony groblą z zapleczem lądowym. Świątynia ta, wzniesiona na przelomie XIII—XIV wieku z bloków granitowych i cegieł średniowiecznych, została zburzona w wojnie 13-letniej.

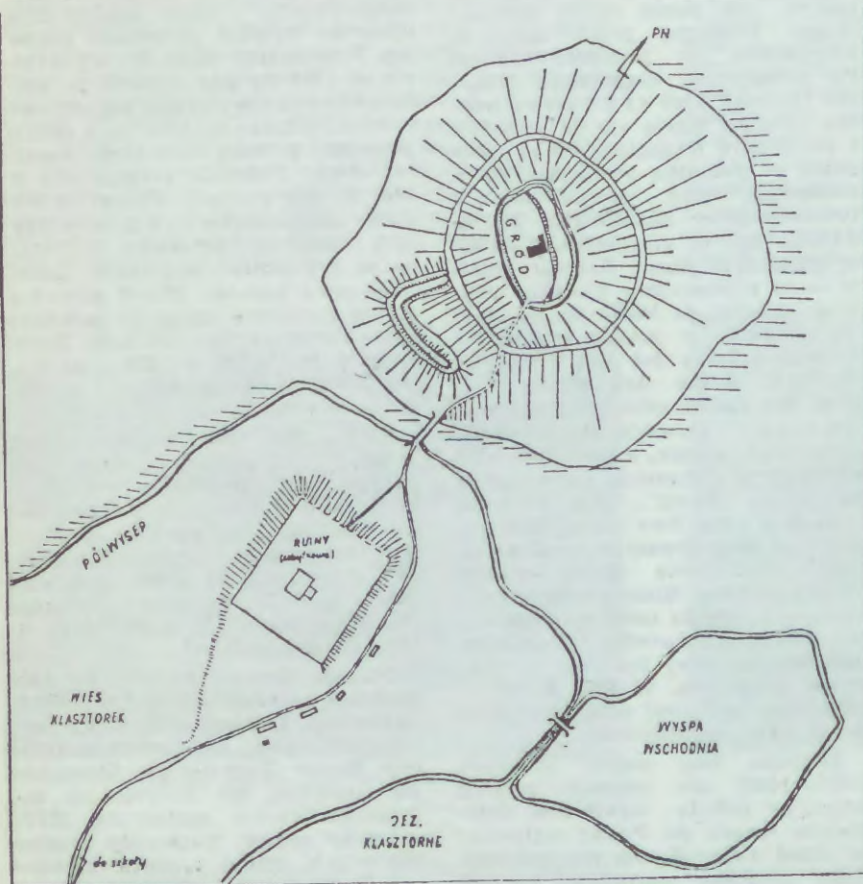
Wyjaśnienie nazwy powyższej osady znajdujemy w „Zapiskach Towarzystwa Naukowego w Toruniu”. Cytuję: *Klasztor cystersów w Pelplinie posiadał w XIII i XIV w. znaczne majątki w państwie Zakonu. Dzisiejsze miasto Gardeja, powiat Kwidzyn, razem 200 wótk ziemi z daru Dyteryka Stango (r. 1285). Pamiątką po cystersach jest tu nazwa sąsiedniego majątku Klasztorok. W nim przebywali niezawodnie ojcowie i bracia, którzy majątkiem zarządzali. Z powodu jednak rozlicznych nagabywań i niepokoju, klasztor sprzedał posiadłości te już w 1334 roku stolicy pomezkańskiej w Kwidzynie.*

Dla nas wieś ta w połączeniu z grodziskiem Warena budzi przede wszystkim wspomnienia bohater-skiego rodu Bażyńskich, wodzów Ziemi i Miast Pruskich. Najsłynniejszą postacią był senior rodu — JAN BAŻYŃSKI (ok. 1390—1459). Mieszkał on w Leszczu na ziemi ostródzkiej. Stał na czele organizatorów ruchu antykrzyżackiego. On to w roku 1454 wygłosił niezwykłą przemowę do króla polskiego KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA w Krakowie. Ale już dwa lata przedtem przebywał na ziemi kwidzyńskiej w trudno dostępnym Klasztoroku, gdzie w starym dworze Bażyńskich mieścił się ośrodek konspiracyjny. Właśnie stąd wystosował w roku 1452 pismo pełne oburzenia, gorczy i przestrogi do wielkiego mistrza. Zapewne odbyła się tu poprzednio narada spiskowców.

Właścicielem Klasztoroku był wówczas ŚCIBOR BAŻYŃSKI, mąż bitny i niesłychanej brawury, który za zasługi otrzymał od króla nominację na wojewodę królewieckiego, a po śmierci brata Jana w roku 1459 staje się gubernatorem Prus czyli regentem.

Osada ta zatem stanowi jedną z najszacowniejszych pamiątek historycznych ziemi kwidzyńskiej.

Bibliografia: Kolberg A.: Lobgedicht auf dem hl. Adalbert, Braunsberg 1882; Łęga W.: Kultura Pomorza we wczesnym średniowieczu na podstawie wykopalisk, „Rocznik Towarzystwa Naukowego w Toruniu”, R. 1930, nr 36, s. 366; Powłerski J.: Kwidzyn. Z dziejów miasta i okolic, Olsztyn 1982, s. 216.



sztor, którego ruiny zachowały się po dzień dzisiejszy.

Powyższą tezę wyeliminowali całkiem rozsądnie inni historycy niemieccy. Centrum nasilenia imigracji staropruskiej z północnych brzegów bałtyckich na nasze Pomorze koncentrowało się przecież nie na Powiślu kwidzyńskim, lecz w Sambii. Tamże podążył z misją chrze-

W okresie, gdy majątek znajdował się w posiadaniu rodziny Groebenów, poddano ruiny w 1909 roku badaniom naukowym. Ich rzut ziemiowy wyobraża kwadrat, w którego środku mieści się prostokąt, z wypustką drugiego, mniejszego prostokąta. Jest to zarys fundamentalny wiejskiego kościoła, otoczonego murem cmentarnym, położonym na

Prenumerata roczna kwartalnika wynosi 800 zł wraz ze spisem z poprzedniego rocznika. Wpłaty należy dokonywać na konto: Zarząd Oddziału PTTK w Gdańsku, ul. Długa 45, NBP II O/M w Gdańsku, nr 19028-1690-132 z zaznaczeniem: Jantarowe Szlaki.

Artykuły należy przysyłać w egzemplarzu maszynopisu z podwójnym odstępem i z zachowaniem marginesu 3,5 cm z lewej strony arkusza. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania w rękopisach zmian oraz poprawek stylistyczno-jezykowych.

Biskup warmiński Andrzej Batory

Andrzej Batory był synem brata naszego monarchy, również Andrzeja. Urodził się w 1563 r., a wychowywał w specyficznej atmosferze religijnej Siedmiogrodu okresu reformacji. Panowie z Somlyó (uboższa linia Batorów) pozostali katolikami nawet wówczas, gdy prawie cały kraj stał się protestancki, za co nazywano ich szyderczo „żołnierzami Najświętszej Panny.”

Miał to być młodzieniec pięknej postawy. Jeden z portretów znajdujący się w zbiorach szwedzkich w Skokloster pod Sztokholmem, przedstawia twarz pociągłą o regularnych rysach, wysokim czole, z długim, cienkim i kształtnym nosem, z oczami pełnymi wyrazu o energicznym i inteligentnym spojrzeniu.

Stefan Batory zjechał do Polski z liczną grupą Węgrów. Sprowadził też do Polski Andrzeja i Baltazara — swoich bratanków. Umieścił ich w kolegium jezuickim w Pułtusku. Przez 5 lat od 1578 do 1583 r. Andrzej oddaje się gorliwie naukom (podobno odznaczał się wielkimi zdolnościami, szczególnie łaciny) i praktykom religijnym. Postanawia zostać duchownym, co dowodzi niewątpliwego wpływu jezuitów, gdyż król przysposabiał go do polityki. Za zgodą króla przyjmuje w 1581 r. niższe święcenia kapłańskie. Jeszcze w tym samym roku (16 sierpnia) w wieku 18 lat, dzięki staraniom króla zostaje kanonikiem warmińskim, a dwa lata później również za sprawą stryja dostaje parafię bożogrobców w Miechowie.

10 października 1583 r. wyjeżdża z misją dyplomatyczną do Rzymu, dokąd dociera 30 listopada. Celem wyjazdu jest kontynuowanie nauki oraz złożenie hołdu papieżowi Grzegorzowi XIII w imieniu króla z powodu niedawnego zdobycia Inflant. Odbywa studia teologiczne, pogłębia znajomość łaciny i krasomówstwa. Dostaje diakonię św. Adriana i nawiązuje znajomość z Karolem Boromeuszem, biskupem Mediolanu, z którym później utrzyma kontakt. Przejawiają się tu również jego zainteresowania muzyką: w Rzymie poznaje Giovanniego Pierluigi Palestrinę, stojącego wtedy u szczytu sławy. Kompozytor dedykuje przyjacielowi pięć motetów. Papież, chcąc pozyskać poparcie władcy Polski przeciw Turcji (liga antyturecka), honoruje Batorego w dniu 4 lipca 1584 r. purpurą kardynalską — liczy on sobie zaledwie 21 lat. Wkrótce otrzymuje też koadiutorię przy biskupie Marcynie Kromerze, choć ten był temu nieprzychylny. Wszystkie te godności bratankę traktuje tylko jako kolejne stopnie do wyższych urzędów duchownych.

Projekt wysłania Andrzeja Batorego do Rzymu jako stałego przedstawiciela Rzeczypospolitej nie doszedł do skutku, choć o powadze planów świadczy to, iż pertraktacje z papieżem na temat jego zamieszkania w Wiecznym Mieście prowadzili sami legaci papiescy. Jeszcze raz jednak posłuje, a to dlatego, że Stefan Batory snuł plany podboju Moskwy i Turcji i dla przedstawienia tych zamiarów, jak również wyjednanie poparcia papieża Sykstusa V, wysłał do Rzymu bratanka. Andrzejowi towarzyszy jak wcześniej Stanisław Reszka, a także Jerzy Radziwiłł i arcybiskup lwowski Jan Dymitr Solikowski. Na wiadomość o przedwczesnej śmierci króla (1586 r.) poselstwo wraca do Polski.

Andrzej Batory marzył o władzy świeckiej. Po zgonie króla kanclerz Jan Zamojski (związany z Batorymi i nawiasem mówiąc mąż stryjecznej siostry Andrzeja, Gryzeldy) myślał o kandydaturze Andrzeja. Zamiaru tego nie mógł jednak urzeczywistnić z powodu silnej opozycji związanej ze Zborowskimi, w zamian na sejmie w 1589 r. wyrobił Andrzejowi i Baltazarowi indygenaty. Stało się tak, mimo sprzeciwu króla Zygmunta III, popierającego kandydaturę Jerzego Radziwiłła, biskupa wileńskiego. Udało się jeszcze przyznać Batoremu ekspektatywę na koadiutora biskupa krakowskiego, lecz po śmierci biskupa Piotra Myszkowskiego diecezję tę objął kardynał Jerzy Ra-

dziwiłł. Nastąpił gorszący spór między obydwoima kardynałami, ale w roku 1593 przy udziale nuncjusza papieskiego Germanika Malaspiny doszło do ugody, a Batory jako zadośćuczynienie otrzymał opactwo kanoników regularnych w Czerwińsku.

23 marca 1589 roku po śmierci biskupa Marcina Kromera władzę w diecezji warmińskiej obejmuje Andrzej Batory, zapoczątkowując poczet biskupów pochodzenia szlacheckiego, a nie mieszczańskie jak było dotychczas. Do 1594 r. przebywa jednak częściej w Siedmiogrodzie niż na Warmii, starając się w rodzinnym księstwie utrzymać pozycję katolicyzmu. W Lidzbarku prowadzi życie świeckie, zapraszając m. in. znakomitych gości. Przebywa tu jego matka, Małgorzata Majlát, nawiasem mówiąc zagorzała luteranka, co nie mogło się na katolickiej Warmii podobać. Dla niej to syn postanowił dobudować do późnocy nocnych murów zamku pałacyk. Choć duchowny, marzy ciągle o zdobyciu tronu książęcego w Siedmiogrodzie. Z tego powodu zwlekał z przyjęciem święceń kapłańskich i myślał nawet o ożenku. Subdiakonem zdecydował się zostać dopiero pod naciskiem Stolicy Apostolskiej w 1597 r., gdy już 12 lat był kardynałem, a 8 biskupem!

Zygmunt, książę Siedmiogrodu, nie potrafił opanować sytuacji w kraju. Abdykuje w Megyes 21 marca 1599 r. na rzecz Andrzeja Batorego, udając się następnie do Polski. 36-letni kardynał obejmuje władzę za zgodą Jana Zamojskiego i rozpoczyna za pośrednictwem papieża Klemensa VIII zabiegi o uznanie swojej władzy przez cesarza. Antyhabsburska orientacja Batorego nie zyskuje jednak aprobaty Rzymu. Cesarz Rudolf też nie sprzyja nowemu władcy i skłania Michała Walecznego, hospodara wołoskiego do wkroczenia do Siedmiogrodu, a generał cesarski, Jerzy Basta, stanął na granicy księstwa. Oddziały Andrzeja Batorego w bitwie pod Sybinem, mimo początkowych sukcesów, zostają rozgromione przez liczniejsze wojsko wołoskie. Opuszczony i zdradzony Andrzej Batory tuła się z kilkoma ludźmi po puszczy, kierując się ku granicy mołdawskiej. Żołnierz nieprzyjacielski, niejaki Szekler, odszukuje go jednak i w czasie odroczynek morduje przez uduszenie. Stało się to 28 lub 31 października 1599 r. Odciętą głowę zabójca przynosi Michałowi Walecznemu, za co otrzymuje 100 guldenów węgierskich. Zwycięzca każe przyszyć głowę do tułowia i zarządza uroczyste złożenie zwłok do grobu w Białogórze (obecnie Alba Iulia w Rumunii) — mieście, które w średniowieczu było siedzibą arcybiskupa i stolicą księstwa Siedmiogrodu.

Michał Waleczny przeżył swego rywala zaledwie o 2 lata. Rozbity przez wojsko polskie Jana Zamojskiego stracił Mołdawię, Wołoszczyznę i... życie. Na tron siedmiogrodzki wraca znów Zygmunt Batory, ale nie na długo. Nie mogąc opanować wstrząsów wewnętrznych zrzeka się ostatecznie władzy na rzecz Habsburgów, a Siedmiogród traci niezależność.

Andrzej Batory był duchownym okresu Renesansu o świeckich raczej, szerokich i wszechstronnych zainteresowaniach. Administratorem Warmii był 10 lat, a praktycznie tylko połowę tego okresu. Opinie o nim jako o rządcy diecezji są podzielone: jedni twierdzą, że okres ten jest bez znaczenia, inni, że władarz diecezji miał pewne zasługi. Ci drudzy podkreślają fakt, że Batory kontynuował po Kromerze reformę trydencką i to w sposób niezwykle stanowczy. Popierał zakony, wizytował parafie, opiekował się duchownymi. Odłączył od prowincji saskiej polskie zgromadzenie franciszkanów i przyłączył je do naszej, a jego osoba otwiera poczet dobroczyńców tej wspólnoty w Barczewie. Dźwigając klasztor z upadku rozbudował go jeszcze, dodając m. in. 12 cel. Przejawiał wielką odwagę i wytrwałość w walce o utrzymanie katolicyzmu w Prusach i na ziemi ojczyściej, zabiegając np. o odzyskanie przez katolików kościoła św.

Mikołaja w Elblągu. W 1594 r. sprowadził do Barczewa bernardynów znanych z działalności duszpasterskiej.

Krótki okres rządów i ambitne plany spowodowały, że Batory nie zaznaczył wybitnie swej działalności na Warmii. Osobowość kardynała i działalność ludzi z jego otoczenia wywarły piętno w życiu prowincji. Za Batorego działał m. in. Tomasz Treter (1547—1610), kanclerz biskupa, kanonik i kustosz kapituły warmińskiej. Chyba mentalności swego chlebobdawcy zawdzięczał to, iż mógł się oddawać pasjom kulturalnym: gromadził książki, pisał wiersze i ody, opracował biografie biskupów polskich wraz z historią biskupstwa warmińskiego. Wstąpił się też zdolnościami plastycznymi: pozostawił wśród innych wizerunków królów, książąt i świętych patronów. To wszystko spowodowało, że został uznany za zasłużonego Polaka na Warmii.

Andrzej Batory pozostawił po sobie i materialną pamiątkę. Jako biskup polecił w 1594 r. dobudować do powstałego w latach 1380—90 gotyckiego kościoła franciszkanów w Barczewie kaplicę, za jego czasów doszło też do przebudowy tej świątyni w stylu renesansowym. Kaplicę oddano pod patronat św. Antoniego, jako że działający w tym okresie w Barczewie bernardyni propagowali kult tego świętego. Na rok

przed tragiczną śmiercią wznosił kardynał sobie i bratu Baltazarowi (uduszonemu w więzieniu w 1594 r. w Torgo w wyniku likwidacji spisku szlachty przeciwko Zygmuntowi Batoremu) biało-czarny marmurowy figuralny nagrobek, przedstawiający ich w naturalnej wielkości. Wykonał to dzieło słynny Willem van den Block. Sarkofag dotarł szczęśliwie do naszych czasów. W górnej części umieszczono posąg kardynała na klęczkach przy modlitewniku, niżej jego brata w zbroi w pozycji leżącej. Wskutek pożaru w 1846 roku w wystroju zewnętrznym kościoła zaszły zmiany, dokonano też przeróbek w przylegającym doń klasztorze.

Barczewo do 1945 r. nosiło polską nazwę Wartemborg. Obecna nadano miasteczku dla upamiętnienia działalności księdza Walentego Barczewskiego (1856—1928). Duchowny ten z pracą duszpasterską łączył działalność kulturalno-polityczną pobudzając i wzmacniając polskość. Od 1908 r. Barczewski był centralną postacią ruchu polskiego na Warmii.

Gdybyśmy nawet rządy Andrzeja Batrego w diecezji warmińskiej traktowali jako niewiele znaczący epizod, pozostał po nim na tym terenie wspaniały obiekt w postaci kaplicy św. Antoniego i cenny artystycznie nagrobek — wspaniałe dzieła sztuki. *Vita brevis, ars longa!*

Roman Klim

Ostatnie czołny łebskie

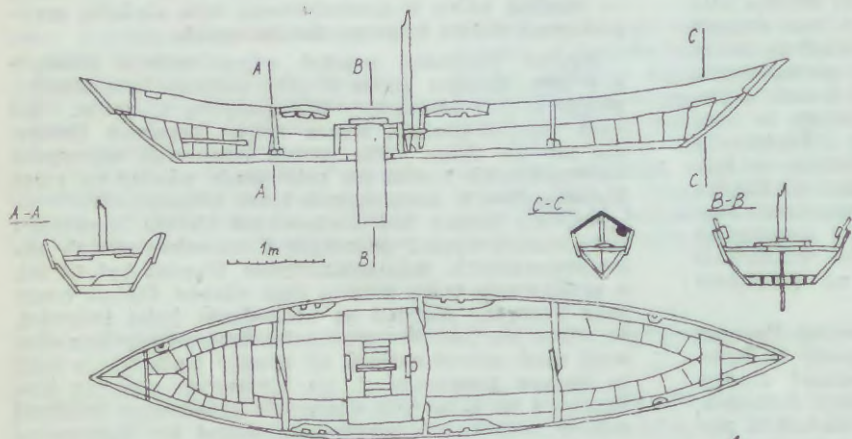
W helskim skansenie polskich ludowych łodzi rybackich, ulokowanym wokół Muzeum Rybołówstwa, zostały wyeksponowane niezwykle czołny łebskie. Ten typ łodzi rybackiej występował wyłącznie na Wybrzeżu Środkowym, zwłaszcza na jeziorach Łebsko i Gardno. Stanowią one wytwór szkutnictwa Słowińców, a więc tej grupy ludnościowej, która — jako odłam etniczny Kaszubów — osiedliła się na bagnach między wzmiankowanymi jeziorami, chroniąc się przed naporem germanizacyjnym. Wszystkie

cztery czołna¹⁾ — eksponowane w skansenie — pochodzą z Kluk. Ich bardzo zbliżone wymiary, konstrukcja, sposób wykonania świadczą zdecydowanie, że stanowią one dzieło tej samej szkoły, czy też określonego szkutnika. Tak też niewątpliwie było, bowiem zbudował je szkutnik **Albert Kirk** z pomocą **Irwiną Kirka** (obaj pochodzą z Kluk).

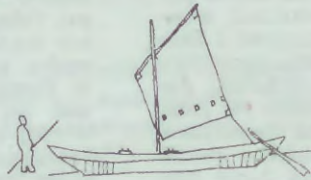
Trzy łodzie zostały zakupione od **Antoniego Korczyńskiego** z Kluk, natomiast czwartą od **Elżbiety Jan-czys** również z Kluk. Ostatnią — jako najlepiej zachowaną — wybie-

ramy do naszych głębszych rozważań. Jej parametry są następujące: długość — 713 cm, szerokość — 136 cm, wysokość — 51 cm. Jak widać, długość tej jednostki jest 5-krotnie większa od szerokości, a więc łódź jest bardzo wąska i długa i również niska. Dno posiada zupełnie płaskie, burty odchylone na zewnątrz, w dziobie nieco smuklejsza niż w rufie, chociaż trzeba stwierdzić, że ta różnica jest trudno zauważalna. Właśnie patrząc z boku trudno odróżnić część dziobową od rufowej. Łódź nie posiada stępki. Dno złożone z dwóch pasów desek o grubości 5 cm, połączonych ze sobą na styk. Trzeba tutaj zaznaczyć, że jeden pas jest bardzo szeroki, w najszerszym miejscu dochodzący do 40 cm, drugi znacznie węższy, który osiąga tylko 17 cm. Boki czołna składają się z dwóch pasów na każdej stronie. Pas dolny jest szerszy i grubszy od górnego. Na środku jego szerokość wynosi 35 cm, a pasa górnego 30 cm, natomiast grubości odpowiednio 4 i 2 cm. Pas dolny jest połączony z dnem na jego płaszczyznach bocznych, a szerokość pokrycia wynika z grubości dna.

Trzeba również dodać, że w obu końcach łodzi na dziobie i rufie, gdzie krzywizny są największe i byłoby niewątpliwie trudności z gięciem grubych, masywnych desek, te fragmenty pasa dolnego są wykonane z klepek ustawionych pionowo. Szczegół ten stanowi swoiste kuriozum szkutnicze, nie spotykane na terenie całego kraju. Klepki te podobnie jak cały pas łączą się z



Rys. 4
Czoln łebski z Kluk



dnem łodzi na jego płaszczyznach bocznych, pokrywają je i są do nich przybite, a szerokość pokrycia oczywiście wynika z grubości dna.

Również w dziobie i rufie klepki pionowe, te krańcowe, zachodzą na siebie. Nie ma tutaj typowej stewy, a wzmocnienie dolnej partii dziobu i rufy i ich ostre zakończenia nie są spowodowane odpowiednim uformowaniem i połączeniem tych właśnie krańcowych klepek pionowych. Natomiast pasy górne (jednolite bez pionowych klepek) w dziobie i w rufie są związane krótkimi trójkątnymi klockami. Ich rola w tym wypadku polega nie na związaniu całej konstrukcji łodzi, lecz tylko i wyłącznie górnych pasów, które są cienkie i bez dodatkowego wzmocnienia ich połączenie nie miałyby odpowiedniej wytrzymałości. Pasy górny i dolny połączone są ze sobą na zakładkę. Szerokość płaszczyn przylegania wynosi 5 cm.

Z wiązań poprzecznych główną rolę odgrywają w tym czolnie ramy żebrowe, sadz, a właściwie jego grodzie i w dalszej kolejności ławy i krótkie wręgi. Ramy żebrowe są dwie, dziobowa i rufowa. Każda rama składa się z dwóch wręgów połączonych ze sobą w części dennej czołna. Wzmacniają one i łączą wszystkie elementy wzdłużne, a więc pasy dna i pasy boczne. Przekrój ram żebrowych wynosi 7x6 cm.

Na śródkreściu znajduje się sadz, nieco przesunięta w kierunku rufy. Jest to skrzynka o szerokości 65 cm i wysokości 34 cm. Od góry częściowo zabudowana, posiada prostokątny otwór jak również wycięcia do miecza, bo sadz pełni jednocześnie funkcję skrzynki mieczowej. Miecz stanowi po prostu prostokątna blacha żelazna o wymiarach: wysokość — 84 cm, szerokość

— 31 cm, zakończona od góry drewnianymi listwami, które utrzymują miecz w jego krańcowym położeniu. Grodzie ograniczają sadz, ale jednocześnie stanowią poważne wzmocnienie konstrukcji czołna. Wewnątrz sadza burty są podziurkowane, co umożliwia przepływ wody, a tym samym przechowywanie ryb w stanie żywym.

Do sadza od strony dziobu przylega łukowata ława masztowa z wycięciem na maszt. Partie końcowe czołna są dodatkowo wzmocnione deseczkami, w dziobie poziomą, w rufie pionową. Ponadto na wysokości ławy masztowej pasy górne i dolne poszycia związane są za pomocą krótkich wręgów. Na rufie znajduje się również ława przesuwana.

Czołno obsługiwała załoga składająca się z dwóch ludzi. Pędniki czołna to wiosła i żagiel. W tej jednostce na górnych pasach, mniej więcej symetrycznie w stosunku do sadza i ławy masztowej, zainstalowane są 4 dulki kółkowe podwójne, po dwie na każdej burcie. Maszt osadzano poprzez otwór w ławie, w gnieździe owalnego klocka podmasztowego o wymiarach 18x20 cm, który przymocowany jest do dna czołna, a jednocześnie dłuższym bokiem ścietym, przylega do grodzi sadza. W ten sposób ustawiony maszt nie wymagał dodatkowych usztywnień za pomocą lin. Maszt o wysokości 428 cm nosił ożaglowanie lugrowe o powierzchni 6,1 m². Było to trapezowate płótno przywiązywane do skośnej rejki o długości 276 cm. Rejkę wraz z żaglem podnoszono i opuszczano fałem, który przywiązany do niej, biegł przez żelazny obracający się krążek, umieszczony w otworze w wierzchołku masztu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że czolny tego typu posiadający rodzaj dębankowy. Świadczą o tym takie cechy, jak masywność i grubość dna i pasa dolnego oraz występowanie w dziobie i w rufie pionowych klepek, co jest zresztą najbardziej charakterystyczną cechą konstrukcyjną czołna lebskiego.

P. Smolarek¹⁾ za W. Mitzką podaje, że etnografowie spotykali w latach trzydziestych naszego stulecia nad jeziorami Lebsko i Gardno łódzie o przeciętnych wymiarach: 8,20 x 1,20 m. Ich dno miało grubość 8 cm, pas dolny był znacznie szerszy od górnego, jego grubość dochodziła do 7 cm, górnego zaś — do 4 cm. W tym fakcie P. Smolarek²⁾ widział pewną analogię do systemu zastosowanego w czolnie odkrytym w Gdańsku w 1896 r. Porównując dane z lat trzydziestych z parametrami naszej łodzi możemy powiedzieć, że stanowi ona kolejny etap ewolucji. Pozwolimy sobie tutaj użyć określenia, że czolny słowiański z helckiego skansenu jakby wydelikatniały, bo przecież są wymiarowo mniejsze. Zmniejszyły się również i to radykalnie grubości dna i pasów bocznych. Krótkie wręgi występują tu już w formie szczątkowej. Nie ma również zbyt dużej różnicy w szerokościach pasa górnego i dolnego. Część denna, która kiedyś była wykonywana z jednej, bardzo szerokiej deski, w czolnie Elżbiety Janczy jest już sztukowana. Główną przyczyną tych różnic są zapewne zmiany jakościowe surowca, który szkodliwie otrzypywał do dyspozycji.

Przypisy: 1) Nazywa się je również czołnami słowiańskimi. 2) Przemysław Smolarek: Studia nad szkodnictwem Pomorza Gdańskiego X—XIII wieku, t. III, Gdańsk 1969, s. 307—308. 3) Tamże, s. 308.

Władysław Kazimierz Wojewódzki

Piecki

W województwie olsztyńskim, 12 km od Mrągowo, leży duża wieś gminna Piecki, które rozciągają się na przestrzeni ponad 3 km, wzdłuż trasy Mrągowo — Szczytno. Jest to jedna z większych wsi w tym województwie, bowiem liczy obecnie ponad 2400 mieszkańców.

Oprócz Urzędu Gminy znajdują się tu Urząd Pocztowy, Posterunek MO, Ośrodek Zdrowia, apteka, Gminny Dom Kultury z kinem i kawiarnią, 8-klasowa Szkoła Podstawowa, do której uczęszcza ponad 600 dzieci, duże przedszkole, Państwowy Ośrodek Maszynowy, tartak, Spółdzielnia Kółek Rolniczych, Gminna Spółdzielnia „Samopomocy Chłopskiej”, Bank Spółdzielczy, Wytwórnia Serów Topionych, zlewnia mleka, Zakład Nr 7 Olsztyńskiej Fabryki Mebli, magazyny Centrali

Nasiennej, Obwód Nr 2 Rejonu Dróg Publicznych w Mrągowie, remiza strażacka. W Pieckach jest również parafialny kościół rzymskokatolicki.

Z punktów handlowo-usługowych Piecki posiadają: Wiejski Dom Towarowy, cztery sklepy spożywcze, sklep mięsny, warzywniczo-owocowy, artykułów żelaznych, chemicznych i papierniczych, obuwniczy, księgarnię, kwaciarnię i sklep z pamiątkami, lodziarnię i smażalnię gofrów, dwa kioski „Ruchu”, zakład fryzjerski, szewski i fotograficzny, warsztat naprawy samochodów, restaurację, stację benzynową, magiel elektryczny i nawet postój taksówek (2 samochody).

Jak widać Piecki, w tym co posiadają, przypominają nie wieś, ra-

czej małe miasteczko. Zresztą, kilka lat temu mieszkańcy Piecek chcieli wystąpić do władz z wnioskiem o przyznanie tej wsi praw miejskich. Zaprojektowano nawet herb przyszłego miasta. W końcu sprawa ta upadła i chyba słusznie.

Piecki (dawna niemiecka nazwa Peitschendorf) już od dawna była dużą wsią mazurską. Jeszcze przed pierwszą wojną światową były tu trzy tartaki, dwa młyny i nawet hotel. W 1939 r., przed wybuchem drugiej wojny światowej, wieś liczyła 1645 mieszkańców. Ciekawa jest historia jej nazwy. Otóż, nie pochodzi ona — jak wielu sądzi — od pieców wytapiających rudę żelaza, lecz od imienia Piotr, o czym pisałem szczegółowo w numerze 4/87 „Jantarowych Szlaków” na stronie 63.

Obecnie Piecki posiadają dwa nowoczesne osiedla mieszkaniowe. Pierwsze — to wielorodzinne osiedle imienia 35-lecia PRL w stylu miejskim, które składa się z sześciu bloków mieszkalnych z 190 mieszkaniami. Osiedle to nadal się rozbudowuje; w najbliższym czasie stanie tutaj jeszcze 5 bloków. Posiada ono pełną kanalizację, centralne ogrzewanie i własną kotłownię. Drugie — to osiedle domków jednorodzinnych. Na terenie tego osiedla na 125 wyznaczonych działkach wybudowano dotychczas ponad 60 domków.

Wieś posiada oczyszczalnię ścieków, brak jest natomiast kolektora. Przy obecnej planowej rozbudowie najważniejszą sprawą dla Piecek jest budowa nowych ujęć wodnych i związana z tym kanalizacja. Obecny wodociąg nie dostarcza wody już w dostatecznej ilości dla całej wsi. Sprawa na dziś, to budowa nowego zbiornika ciśnieniowego. Koszt tej inwestycji według cen z 1985 r. przekroczyłby sumę 100 mln zł. Jaki to koszt według cen obecnych, trudno nawet pomyśleć. Na tę inwestycję wieś nie ma pieniędzy, potrzebna jest tutaj pomoc władz wojewódzkich.

Jest również w planach Piecek budowa nowej automatycznej centrali telefonicznej, nadal bowiem są tutaj telefony z korbkami, a wszystkie łączenia rozmów odbywają się przez Urząd Pocztowy. Prze-

widuje się również zainstalowanie dla całej wsi gazu ziemnego. Powinno też powstać przy Gminie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, jako samodzielna jednostka gospodarcza.

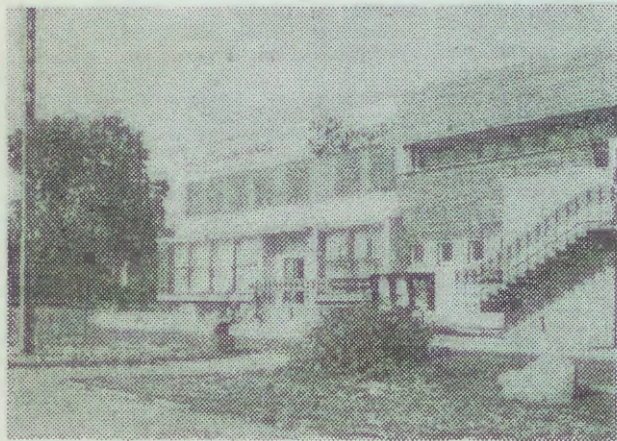
We wrześniu 1979 r. został oddany do użytku w Pieckach nowo wybudowany, piękny Gminny Ośrodek Kultury. Pomimo, że w dużym budynku, to właściwie placówka ta jest tutaj tylko współużytkownikiem i to na bardzo niewielkiej przestrzeni. W budynku tym mieści się bowiem kino „Odrodzenie” na 150 miejsc, podległe dyrekcji z Mrągową, Gminna Biblioteka Publiczna i specjalna sala ślubów i odznaczeń podległe Gminie, kawiarnia „Wisienka” GS „Samopomocy Chłopskiej”, poza tym mieszczą się tu jeszcze dwa koła, ZBoWiD-u i Polskiego Związku Emerytów i Rencistów. Prawie naprzeciw GOK-u znajduje się pusty, w ogóle nie wykorzystany prywatny budynek, doskonale nadający się po niedużej adaptacji na siedzibę Gminnej Biblioteki Publicznej, którą możnaby tu przenieść z budynku GOK. Do tego trzeba jednak dokonać zakupu tego budynku przez Gminę, a tego jak dotąd nikt w Gminie nie potrafi załatwić. Może po odbytych w tym roku wyborach nowi radni w GRN w Pieckach rozwiążą ten problem?

GOK w Pieckach pełni opiekę nad działalnością kulturalną na te-

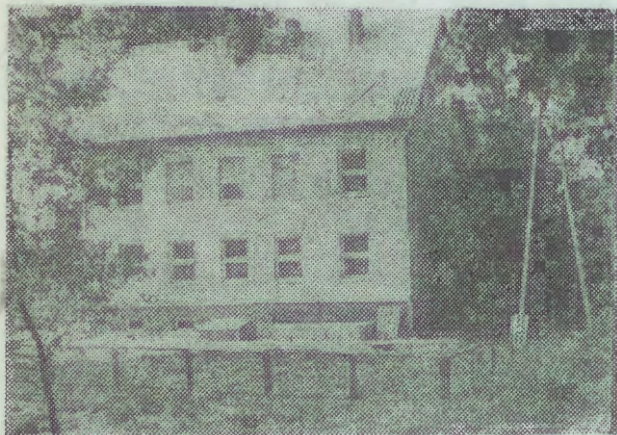
renie całej gminy. W samych Pieckach działa 30-osobowy dziecięcy zespół estradowy „Uśmiech” oraz żeński zespół Klubu Seniora „Śpiewające Gospodynie”. W GOK działają między innymi sekcje fotograficzna, brydżowa i szachowa, działa również zespół muzyczny. Dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury w Pieckach jest od wielu lat pani Danuta Siwik.

W Pieckach mieszka i działa **Walentyna Dermacka**. Pani Dermacka jest zapalonym zbieraczem wszystkiego co wiąże się z kulturą wsi polskiej. Wszystkie eksponaty jakie posiada zdobywała z własnych funduszy. Posiada ona przepiękny zbiór ceramiki ludowej, na którą składają się — obok świątków — kolorowe figurki z wypalanej gliny przedstawiające życie i pracę ludzi wsi. Rzeźby te są dziełem ludowej artystki spod Łańcuta — pani **Prucnal**. Pani Dermacka współpracuje z GOK w Pieckach, udostępnia swoje zbiory wycieczkom. Domek jej stał się jakby izbą regionalną. Jest on jednak mały i na większą ekspozycję tej ceramiki brak jest tutaj miejsca. Zarówno Gmina, jak i GOK, powinny umożliwić zdobycie w Pieckach jakiejś sali w celu ekspozycji tych naprawdę fascynujących zbiorów.

Piecki nie posiadają stacji kolejowej, jest natomiast komunikacja autobusowa PKS i bardzo dogodne połączenia z Mrągowem, Olsztynem,



Piecki. Gminny Ośrodek Kultury.
Fot. Władysław K. Wojewódzki



Piecki. Nowy budynek Urzędu Gminy.
Fot. Władysław K. Wojewódzki



Piecki. Budynek Urzędu Gminy.
Fot. Władysław K. Wojewódzki

Rucianem-Nida, Piszem, Mikołajkami, Szczytnem i Warszawą.

Gmina Piecki zajmuje obszar 314,6 km², który zamieszkuje obecnie prawie 7500 mieszkańców. Jedną trzecią terenu tej gminy to użytki rolne, dwie trzecie stanowią lasy i jeziora. Przeszło połowa tego terenu wchodzi w obszar Regionalnego Mazurskiego Parku Krajobrazowego. W gminie dominuje rolnictwo i turystyka. Na jej terenie znajduje się obecnie 15 ośrodków wczasowych, przeważnie zakładowych, sezonowych. Gmina Piecki obejmuje takie turystyczne miejscowości, jak Krutyń nad rzeką Krutynią, Żgon nad jeziorem Mokre, Babięta nad Babięcką Strugą, Dłużec nad jeziorem Dłużec, Stare Kielbunki i Nawiady nad jeziorem Nawiady, Cierpięta, Bieńki nad jeziorem

Białe. Tu leżą jeszcze tak przepiękne jeziora, jak Zdrężno, Uplik, Zyzdrój Wielki, Mągiel, Kołowin i Klimont.

W 1985 r. został opracowany i przyjęty do realizacji przez Gminną Radę Narodową w Pieckach plan zagospodarowania przestrzennego całej gminy i wsi Piecki.

W czerwcu 1988 r. uchwałą Rady Ministrów, po prawie 10-letnich staraniach, Wigierski Park Krajobrazowy został uznany za Wigierski Park Narodowy, jako piętnasty w kraju. Następnym parkiem narodowym powinien stać się Mazurski Park Krajobrazowy. Starania władz województwa olsztyńskiego i suwalskiego w tej sprawie trwają już wiele lat. Należy mieć nadzieję, że w najbliższych latach ten park zostanie

utworzony. Wiadomo powszechnie, że w parkach narodowych, jako obszarach specjalnie chronionych ze względów naukowych, kulturalnych, estetycznych, nie prowadzi się żadnej działalności gospodarczej. Wiadomo również, że połowa terenu gminy Piecki leży na terenie Mazurskiego Parku Krajobrazowego, a więc w niedalekiej przyszłości będą to tereny mazurskiego Parku Narodowego.

W związku z tym nowa obecnie Gminna Rada Narodowa w Pieckach będzie musiała dokonać korekty uprzednio opracowanego planu przestrzennego zagospodarowania gminy. Korekta w pierwszym rzędzie powinna — moim zdaniem — uwzględnić problemy ochrony przyrody dla zachowania naturalnych bogactw tego wspaniałego regionu.

Wojciech Turek

Konfederaci barscy w Gdańsku

Wiadoma spodziewana się jest czynność naszego województwa, którą przedsięwzięliśmy in tuitionem Jurium Provinciae Pruthenae (dla ochrony praw prowincji Pruskiej — tłum. W. T.) i dla ubezpieczenia obywateli w ich prawach i przywilejach, tym więc koncem uczyniona Unio Animorum, która ze sine armis (bez siły zbrojnej) być nie może, kupilem dawniej zakontraktowaną strzelbę i inne rymstunki wojenne w mieście Gdańsku i te — lubo z miasta były wypuszczone — jednako w szlagbanie szynfeldzkim zatrzymane i przez milicję miasta Gdańska zabrane.

W tych słowach listu rotmistrz konfederacji barskiej JAKUB WYCZECHOWSKI zwracał się do burmistrza gdańskiego WEICHMANA z żądaniem, aby zwrócono mu skonfiskowane militaria, ponieważ wspomniana konfederacja — Unio Animorum — wystąpiła w obronie praw wszystkich obywateli zamieszkujących Prusy Królewskie, a więc również w obronie praw gdańszczyzan¹⁾.

W czasie konfederacji barskiej (1768—1772), walczącej z Rosją i królem, Gdańsk zachowywał postawę neutralną. Nie dał się nakłonić do przystąpienia do związku i zamykał bramy miejskie przed oddziałami konfederackimi, usiłującymi zmusić miasto do działań na rzecz „wiary i wolności”. Stosując się do nacisków rezydenta rosyjskiego REHBINDERA i rezydenta królewskiego HUSARZEWSKIEGO, władze miejskie wydały nakaz konfiskowania broni i amunicji nabywanych w mieście przez konfederatów. Z drugiej jednak strony miasto wykorzystywało swoje wspaniałe fortyfikacje także wówczas, kiedy zjawiały się wojska rosyjskie lub pruskie. W październiku 1769 roku w mieście schronił się prześladowany przez Rosjan oddział konfederatów pomorskich na czele z marszałkiem malborskim WALENTYEM WILCZEWSKIM. Rosjanie, którzy podstąpili pod miasto, nie zostali doń wpuszczeni. Na pytanie dlaczego Gdańsk udzielił schronienia konfederatom, a zamknął bramy przed Rosjanami, magistrat odpowiedział, że nie potrafił odróżnić Polaków konfederatów od niekonfederatów, natomiast łatwo rozpoznał wojska obce²⁾. Podobnie latem 1770 roku resztki Pomorzan z konsyliarzem pomorskim JAKUBEM LIPIŃSKIM schroniły się na kilka tygodni w Gdańsku otoczonym przez Prusaków³⁾.

Zamieszkałe w przeważającej większości przez protestantów oraz stawiające na pierwszy plan interesy handlowe i strzegące swej autonomii miasto, nie mogło

opowiedzieć się otwarcie po stronie konfederacji, będącej przecież ruchem szlacheckim, katolickim i antykrólewskim. Sympatię miasta budził natomiast fakt, iż konfederaci walczyli z wojskami rosyjskimi w obronie niepodległości Rzeczypospolitej i staczali potyczki z oddziałami króla pruskiego, dążącego do zaboru Prus Królewskich włącznie z Gdańskiem. Politykę magistratu wobec konfederacji zwięźle podsumował jeden z oficerów milicji miejskiej, oświadczając oficerowi konfederackiemu: *Z dala jestem przyjaciel, z bliska nieprzyjaciel*⁴⁾.

W dobie konfederacji barskiej Gdańsk odegrał niebagatelną rolę jako miejsce, w którym można było znaleźć azyl, bezpiecznie i spokojnie przeczekać krytyczny okres, zachować neutralność wobec wydarzeń zachodzących w Rzeczypospolitej. Już od momentu wybuchu walk konfederacko-rosyjskich zjeżdżali tu przedstawiciele magnaterii i bogatej szlachty: jedni po to, by przeczekać krytyczny okres, zachować neutralność, nie narażając się żadnej ze stron; inni zaś po to, by uniknąć nacisków rosyjskich, wycofać się z Warszawy, odseparować się od tamtejszego establishmentu podlegającego wpływowi rosyjskim i współodpowiedzialnego za działania antykonfederackie, takie jak wysłanie wojsk królewskich celem zwalczania powstania w Barze. Znaleźli się wśród przybyśków także sympatycy, a nawet uczestnicy konfederacji. W 1769 roku wycofała się z Warszawy do Gdańska księżna BARBARA SANGUSZKOWA (zamieszkała początkowo w Oliwie), inicjatorka wielu lokalnych konfederacji oraz FRANCISZEK CZACKI, późniejszy konsyliarz bełzki. W 1770 roku udali się tą samą drogą wojewoda rawski KAZIMIERZ GRANOWSKI, późniejszy członek władz konfederackich i kasztelan lubelski LEON MOSZYŃSKI, gorliwy stronnik elektora saskiego. Kasztelan braclawski JAN ANTONI CZARNECKI, prześladowany przez Rosjan za udział w konfederacji barskiej na Podolu, znalazł również azyl i bezpieczeństwo w tym mieście. Pod koniec 1770 roku udał się do Gdańska stary, rozgryziony ogłoszeniem przez konfederację bezkrólewia, zniechęcony do dalszej działalności, wojewoda brzesko-litewski JAN ANTONI HORAIN. W 1771 roku środowisko senatoro-magnackie w Gdańsku osiągnęło taką liczebność, że uznane zostało — obok ośrodka warszawskiego (królewskiego i prorosyjskiego) i południowo-zachodniego pogranicza Rzeczypospolitej (skupiającego aktywnych konfederatów barskich) —

za jeden z trzech tego typu ośrodków. Co najmniej kilkunastu senatorów rezydowało wówczas w obrębie murów miejskich.

W środowisku polskim w Gdańsku największą rolę w okresie konfederacji barskiej odgrywały „panie polskie”. Znaczenie kobiet w ruchu konfederackim określili najlepiej WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI w swej książce o udziale kobiet-konfederatek w ówczesnym życiu narodowym, noszącej bardzo wymowny tytuł „Kiedy nami rządziły kobiety”. Było tych kobiet bardzo liczne grono. O jednej z nich — KONSTANCJI SANGUSZKOWEJ — czytamy w pamiętnikach JÓZEFA WYBICKIEGO: Ta zacna Polka należała do liczby otywatek, które energia, rezolucje ratowania Ojczyzny, zawstydzaly pleć naszą, zawstydzaly magnatów polskich zniewieściaych, a raczej zbabiaych w gnuśnym życiu egoistów (...). U niej były wszystkie obrady, ona jedna, powiem, dzieliła swe dochody na wypadające potrzeby...⁵⁾ W mieście przebywały ponadto m. in. wymieniona już księżna BARBARA SANGUSZKOWA, słynna z niezłomności konfederatka, krajczyna litewska, TEOFILA SAPIEŻYNA i wojewodzina braclawska ANNA JABŁONOWSKA, inicjatorka zawiązania konfederacji w Barze. „Nasze damy”



Daniel Chodowiecki. Strażnik Franciszek Czacki i starościna Ledóchowska po opuszczeniu kościoła dominikańskiego w Gdańsku.

Repr. W. Turek

— jak mawiał z niechęcią rezydent królewski Husarzewski — miały swój udział w polityce, spotykały się i rozmawiały z rezydentem francuskim Gerardem, usiłowały wpływać — bezpośrednio, bądź poprzez mężów — na obsadzenie stanowisk i linię polityczną konfederacji. Intrygi i plotki, niewieście uroki zaprzęgnięte w służbę polityki, dały się jednak we znaki doradcom zagranicznym i przywódcom związku. Nawet czołowa kobieta-polityk, Anna Jabłonowska, nie wyjechała z Gdańska do Generalności w Cieszynie, woląc zostać na uboczu, gdyż — jak pisała — *wiem, że na baby utyskiwają, że się wdając nie chciałabym i ja być umieszczona w tym łąku*. Sam Krasieński, biskup kamieniecki, który współpracował *teresa mięszają, tyle pożytku uczynią, co rdza w żelazie* ⁶⁾.

Gdańsk był również w dobie konfederacji ważnym ogniwem ułatwiającym komunikację między Generalnością (naczelną władzą konfederacji — wyj. W. T.), a poszczególnymi prowincjami Rzeczypospolitej oraz między Generalnością a stolicami wielu państw, zwłaszcza Paryżem i Berlinem. Przez Gdańsk prowadziła droga wiodąca przywódców rozbitych przez Rosjan konfederacji litewskich do siedziby Generalności. Wiosną 1769 roku schronił się tu przywódca prowincji litewskiej BĘKLEWSKI, a w kilka miesięcy później cała grupa marszałków poszczególnych konfederacji w Wielkim Księstwie Litewskim z MICHAŁEM PACEM, późniejszym przywódcą Generalności. W 1771 roku schronili się w Gdańsku przywódcy trzeciej konfederacji litewskiej na czele z hetmanem OGINSKIM. Gdańsk był także, o czym wspominaliśmy wyżej, miejscem schronienia rozbitych przez Rosjan oddziałów pomorskich; chronili się tu również dezertery z konfederacji, m. in. PIOTROWSKI, ROSS.

W 1769 roku przywódca jednego z oddziałów partyzanckich — JAKUB ULEJSKI — dwukrotnie wyprawił się pod mury miejskie celem skłonienia Magistratu do poparcia konfederacji. W marcu Ulejski znalazł się u wrót bram miejskich i zażądał od Magistratu wyraźnego opowiedzenia się za lub przeciw związkowi bawarskiemu oraz wydania należnych podatków i rekruta. Magistrat udzielił wymijającej odpowiedzi. Około 20—22 marca Ulejski ponownie wyprawił się na Pomorze i pod Gdańsk, tym razem jednak zastał obstawione milicją mury i wzmocnione strażą przy zamkniętych bramach miejskich. W grudniu tego samego roku, po zwycięskiej bitwie z Rosjanami pod Świeciem oraz pomyślniej potyczce z Prusakami koło Chojnic, konfederaci w sile 2000 ludzi obeszali drobnymi oddziałami cały teren województwa pomorskiego, łącznie z Żuławami Gdańskimi. Doszło do konfliktu z Gdańskiem, manifestującym się przeciw najściu dóbr miejskich i wybieraniu z nich podatków, wypraw i furażu. Konfederaci usiłowali przełamać opór miasta przez odwrócenie biegu Nowej Motławy. zaopatrującej miasto w wodę do picia. W trakcie tych czynności Magistrat wysłał około 500 osobowy oddział milicji, która rozproszyła konfederatów⁷⁾.

Gdańsk był również miejscem koncentracji prac konspiracyjnych zmierzających do utworzenia konfederacji w Prusach Królewskich. W grudniu 1768 roku przybył tu z misją wysłannik biskupa kamienieckiego Krasieńskiego, późniejszy twórca „Mazurka Dąbrowskiego” — JÓZEF WYBICKI, który przedłożył rezydentowi francuskiemu, sprzyjającemu konfederatom, plan zawiązania konfederacji w Prusach Królewskich. Ośrodkiem prac konspiracyjnych był nie istniejący dziś dom księżnej KONSTANCJI SANGUSZKOWEJ na Nowych Ogrodach. Równocześnie z akcją Ulejskiego, w marcu 1769 roku znaleźli się w mieście przywódcy opozycyjnej szlachty pomorskiej, malborskiej i chełmińskiej: wojewoda malborski MICHAŁ CZAPSKI, MICHAŁ LNISKI, ANTONI SARNACKI, JAKUB LIPINSKI i inni. Do utworzenia konfederacji pomorskiej — w wyniku niesprzyjających okoliczności — doszło dopiero 16 sierpnia w Starogardzie.

Z końcem października 1770 roku Generalność wysłała do Gdańska kolejnego emisariusza, KAZIMIERZA JEZERSKIEGO, konsyliarza pomorskiego, którego zadanie polegało m. in. na ściąganiu należnych podatków oraz nakłanianiu przebywających tu senatorów do składania akcesów do konfederacji. Przebywający w mieście JÓZEF POTOCKI, krajczy koronny, złożył jednorazowo sumę 9000 złotych polskich na rzecz ruchu. Jawne akcesy zgłosił jeszcze rezydentenci płańscy kasztelan poznański JABŁONOWSKI, wojewoda rawski GRANOWSKI, kasztelan braclawski CZARNECKI, a kilku innych senatorów opowiedziało się po cichu⁸⁾.

We wrześniu 1771 r. do Gdańska przybyły wraz z dworem księżniczek WERONIKA, JÓZEFA i MARIA RADZIWIŁŁÓWNE i chorążanka litewska RZEWUSKA, przebywające dotąd w Preszburgu i Pradze. Opiekun księżniczek — wojewoda wileński KAROL RADZIWIŁŁ, należący do najgorliwszych uczestników konfederacji, był inicjatorem tych przynosin. Równocześnie Radziwiłł powierzył starostwo człuchowskie swemu zaufanemu ALEKSANDROWI SOROCE, kon-

syliarzowi oszmiańskiemu z 1768 roku. Decyzja Radziwiłła miała nieoczekiwane konsekwencje po upadku konfederacji, kiedy część członków Generalności — klientów wojewody wileńskiego — udała się do Człuchowa, a po zajęciu starostwa przez Prusaków przeniosła się na jego dwór w Gdańsku.

Po upadku konfederacji barskiej w 1772 roku i rozbiu jej sił zbrojnych przez zaborców Polski, najwybitniejsi działacze i przywódcy związku, członkowie Generalności udali się na emigrację, żywiąc złudne nadzieje doczekania się pomyślniejszych czasów, pojawiają się koniunktury międzynarodowej, zwycięstwa Turcji nad Rosją, unieważnienia rozbioru Polski i przyznania jej niepodległości.

Część marszałków i konsyliarzy, pochodzących z Litwy, udała się do Człuchowa i Gdańska, licząc na pomoc wojewody wileńskiego. Byli to w większości zubożali przedstawiciele społeczności szlacheckiej, zrujnowani materialnie, zdani na łaskę magnatów, a równocześnie nadal „niezlomni i niepokorni”. W 1772 roku doszło więc w Gdańsku, po powrocie do kraju większości senatorów, do swoistego przekształcenia środowiska magnackich sympatyków konfederacji w środowisko szlacheckich działaczy barskich, wśród których wymienić należy m. in. marszałka brzesko-litewskiego BUCHOWIECKIEGO, dawnego klienta Czartoryskich, konsyliarza brzesko-litewskiego KROPINSKIEGO, aktywnego w Generalności i członka Rady Skarbowej, regimentarza żmudzkiego BILLEWICZA, marszałka bielskiego KARWOWSKIEGO oraz trzech MEDEKSZÓW, marszałka kowieńskiego, konsyliarza i marszałka starodubowskiego (Medekszowie, podobnie jak Pułascy, należeli do rodzin bez reszty oddanych „wierze i wolności”; czwarty Medeksz poległ w walce z Rosjanami, piąty zaś został w 1768 roku księdzem).

Zgodnie z żadaniami Radziwiłła Buchowiecki, Karwowski, SZTEJN i Billewicz codziennie bywali na obiedzie i kolacji na dworze w niezachowanym Pałacu Radziwiłłowskim na Nowych Ogrodach. Szczególne okazje, takie jak dzień urodzin wojewody wileńskiego, obchodzono u księżnej Konstancji Sanguszkowej, która zapraszała na obiad lub kolację nie tylko rodzinę Radziwiłła, ale również „Ichmość Panów Konfederatów”. Jak wyglądały takie przyjęcia? W dzień urodzin Radziwiłła, które przypadają 2 marca 1773 roku, na uroczystym obiedzie u Sanguszkowej *przy stole spełniano najpierwsze zdrowie JO WKS. Mei Dobrodzieja, a w osobie Jego zupełne ojczyzny uszczęśliwienie*, podczas zaś kolacji w Pałacu Radziwiłłowskim, na której *cała ta kompania jak i zawsze znajdowała się deklamowano wiersze in gratiam tak wielkiego dla nas festynu ułożone, a prawdziwe w sobie zamykające wyrażenia*. Na jednym z przyjęć, w oktawę imienin Radziwiłła, doszło do niecodziennego wydarzenia, a mianowicie pojedynku między oficerami z garnizonu człuchowskiego DRUŻYŁOWSKIM i KONOPKA, a rotmistrzem konfederacji żmudzkiej RYPINSKIM. *Przyczyna tego pojedynku była z osoby JP Rypińskiego, który dał okazję uszczypliwym słowem do odwetu oficerom człuchowskim*. Możemy domyślić się, iż rotmistrzowi zaprawionej w bojach konfederacji żmudzkiej chodziło o postawę garnizonu w Człuchowie, który wpuścił wojska pruskie do zamku bez najmniejszego oporu⁹⁾.

W dniu 16 października 1772 r. odbył się w kaplicy wojewodziny braclawskiej Jabłonowskiej, mieszkającej w Hejbudach (Stogi), ślub pomiędzy WERONIKĄ RADZIWIŁŁOWNĄ i wojewodą chełmińskim FRANCISZKIEM CZAPSKIM, błogosławiony przez biskupa chełmińskiego. Następnego dnia odbył się z tej okazji prywatny obchód, w dni zaś później Konstancja Sanguszkowa wydała u siebie obiad, a Jabłonowska kolację z balem w Pałacu Mniszchowskim na Długich Ogrodach.

Na początku lutego 1773 roku społeczność konfederacka w Gdańsku pożegnała na zawsze STANISŁAWA KROPINSKIEGO, konsyliarza brzesko-litewskiego, który zmarł po długiej chorobie 7 lutego. O nędzy materialnej konfederatów świadczy fakt, iż zmarły nie pozostawił po sobie żadnych pieniędzy, dlatego też pogrzeb w kościele Św. Mikołaja u ojców dominikanów odbył się kosztem Barbary Sanguszkowej.

Wychodzący konfederacy w Gdańsku nie przejawiali

aktywności politycznej, solidaryzując się z tym, co postanowi „starszyzna” i Radziwiłł (przebywający w Europie Zachodniej), ograniczając się jedynie do zbierania informacji dochodzących z kraju i przesyłania ich na Zachód do Radziwiłła i Paca. Topniejąca w miarę upływu czasu grupa konfederatów, wielokrotnie zapewniała jednak wojewodę wileńskiego o „stałości i wierności” ideałom barskim oraz samemu księciu, będącemu dla nich wzorem postawy „prawdziwego patrioty”.

W 1773 roku opuścili Gdańsk BARBARA SANGUSZKOWA i J. A. CZARNECKI, w następnym roku wyjechali z miasta do kraju państwo CZACCY z synami internowanego przez Rosjan od 1767 roku SZCZĘSNIEGO CZACKIEGO — MICHAŁEM, później jednym z najaktywniejszych posłów Sejmu Wielkiego i 9-letnim TADEUSZEM, w przyszłość tworcy Liceum Krzemienieckiego. Na początku 1774 roku dwór książęce RADZIWIŁŁOWNYCH przeniósł się do Zabudowa na Podlasiu. Przyczyną wyjazdu były względy finansowe, bowiem utrzymanie dworu w Gdańsku okazało się zbyt kosztowne dla Radziwiłła, prowadzącego nieoszczędny tryb życia na emigracji.



Daniel Chodowiecki. Strażnikowa Czacka w swoim mieszkaniu w Gdańsku.

Repr. W. Turek

Kłeska Turcji i zawarcie przez nią traktatu z Rosją w Kuczuk-Kainardzi, kończącego 6-letnią wojnę, oznaczały kres wszelkich nadziei konfederatów-emigrantów na zmianę status quo. Marszałek generalny litewski MICHAŁ PAC zwolnił swoich kolegów gdańskich z przysięgi barskiej obrony „wiary i wolności”. Pozostali w mieście klienci Radziwiłła próbowali jeszcze nakłonić go do przyjazdu i zamieszkania w Pałacu Mniszchowskim. Wojewoda wileński nie uczynił jednak zadość prośbom swoich przyjacieli. Skoro nie było żadnych nadziei, pozostawało im przygotowywać się do trudnej i wstydlivej decyzji o powrocie do kraju, oznaczającej przyznanie się do poniesionej klęski. Do końca 1775 roku wyjechali kolejno: MARKOWSKI, KARWOWSKI, trzej MEDEKSZOWIE, MIRSKI, SARNACKI (przybyli w 1774 r. z Zachodu). Najdłużej wytrwał w mieście BUCHOWIECKI, który w styczniu 1776 roku udał się na Zachód, skąd również wkrótce powrócił do kraju.

W schyłkowym okresie emigracji Gdańsk spełniał funkcję okna na świat, tu zjeżdżano celem ochrony interesów majątkowych. Mury miasta stanowiły ostatni etap w drodze powrotnej z Zachodu do Polski. Środowisko barskie w Gdańsku rozpadło się w 1775 roku, jakkolwiek są ślady późniejszego pobytu w mieście przybyłych z Zachodu LNISKIEGO (zmarł w Gdańsku w 1777 r.) i generała ZBOINSKIEGO (dyplomaty konfederackiego).

Przypisy: 1) J. Wyczehowski do K. Weichmana z Oliwy 26 sierpnia 1769 r., Archiwum Państwowe Gdańsk, sygn. 300,20, 232, s. 310; 2) W. Szczygielski: Konfederacja barska w Wielkopolsce, Warszawa 1970, s. 274—275; 3) W. Szczygielski, Pomorze w konfederacji barskiej (w:) Pomerania, t. 3, Poznań 1928, s. 37—38; 4) W. Szczygielski: Konfederacja..., s. 367; 5) J. Wybicki: Życie moje, wyd. A. Skalkowski, Kraków 1927, s. 94—95; 6) A. Jabłonowska do K. Radziwiłła z Gdańska z 4 listopada 1771 r. A. Krasieński do A. Jabłonowskiego z 6 lutego 1772 r. Biblioteka Czartoryskich, sygn. 946, s. 565; 7) W. Szczygielski: Konfederacja..., s. 367; 8) Kazimierz Jezierski, Polski Słownik Bibliograficzny; 9) Archiwum Radziwiłłowskie, sygn. AR V/9994 (zwłaszcza korespondencja M. St. Morawskiego do K. Radziwiłła).

Źródło koło Kwidzyna

Na początku XVIII w. opowiadano, że o milę drogi na południe od Kwidzyna, tam gdzie schodzą się grunty Otlówka, Bądków Małych i Bogusza, dokładnie 1500 kroków od otlowskiego pałacu (dzisiaj siedziba dyrekcji PGR), jest tajemnicze miejsce w lesie. Pagórki okalają tam małą dolinę, w której tryska źródło, a jego wody wijącym się rowem o stromych zboczach odpływają ku polom Bogusza. I mówiono dalej, że jest to źródło zyciodajne, takie jak cudowna woda w Świętej Lipce, takie jak Barbarki pod Toruniem. Ludzie pouczali jeden drugiego, że kto napije się wody z tego źródła, choćby już ze słabości konał, to natychmiast dostaje wielkie moce.

Wersje ludowe i temu podobne posyłał ongiś MICHAŁ TENNIGS, absolwent medycyny w Królewcu, gdzie przygotowywał swój doktorat. Gdy dowiedział się o istnieniu we wsi Ruda, na południe od Bogusza (8 km od Kwidzyna), kopalni odkrywkowej z darniową miedzią i żelazem oraz o kuźnicy wodnej, przeprowadził badania tamtejszej gleby i analizę wody pod względem zawartości żelaza i siarczków.

W 1727 r. Tennigs napisał rozprawę doktorską pt. „O leczniczym źródle w Otlówku”, dedykując ją ówczesnemu właścicielowi dóbr otlowskich — LEWALDOWI. W rozprawie pisze „bądkowskie źródło”, a w tytule jej wymienia Otlówek jako rezydencję, bo mu zapewne Lewald sfinansował wydawnictwo. Książka wyszła drukiem w Królewcu, a w ślad za tym pojawiła się obszerna recenzja w czasopiśmie bibliograficznym w Lipsku. Była to wielka sensacja w Europie. Tennigs zapowiedział publikację dalszych eksperymentów dokonanych w laboratorium, które w zupełności potwierdziły obserwacje ludowe. Tennigs już się więcej nie odezwał i sprawa przycichła na lat 60.

Ludność okoliczna nadal korzystała ze źródła, sławiąc jego dobroczynne właściwości. Środowisku lekarskiemu Europy przypominał je dopiero kandydat medycyny dr DAWID GUNTHER swoją pracą habilitacyjną, opublikowaną w Królewcu w 1788 r. W tytule spotykamy to samo określenie co u Tennigsa „Otlowskie źródło”, mimo że miejsce wytrysku mieści się na gruntach Małych Bądek.

Ciąg dalszy historii leczniczego źródła wiąże się z kupnem Bądków Małych w 1819 r. przez ERNSTA GESSLERA, byłego inspektora akcyzy w Kwidzynie. W roku 1826 nastąpiły ponoć jakieś niezwykle uzdrowienia przy źródle. Wieść o tym rozeszła się szeroko. Napływali ludzie z dalekich stron. Szybko zareagowały na to czynniki rządowe, oświadczeniem mającym

na celu uspokojenie ludności. Pouczono, że woda jak z każdego źródła jest orzeźwiająca, ale zimna, więc ostrożnie z kąpielą. Analiza chemiczna wykazała zawartość żelaza, lecz za mało, aby mogła stanowić środek leczniczy. Konserwować jej się nie da, traci bowiem swoje właściwości. Ale pielgrzymki trwały nadal. Toteż właściciel źródła chwalił swoją szczęśliwą gwiazdę. Jeszcze z końcem lata wznosił tam dom o konstrukcji ramowej i nazwał go atrakcyjnie „Gospoda przy źródle”. Zaopatrzona w beczki piwa, zatłoczona pielgrzymami zamortyzowała się jeszcze przed zimą, przynosząc kolosalne dochody.

Po chatkach i małych dworach opowiadano sobie śliczną gwarą legendy o bądkowskim źródle, które stały się jakimś elementem regionalnej kultury ludowej. Wzbudziło to pewien niepokój sfer urzędowych. Dlatego też bez formalistycznych trudności wydano koncesję na urządzenie w Małych Bądkach zarobkowego kąpieliska, co całej sprawie nadało całkiem inny charakter.

Połączyły się ze sobą interesy prywatne rodziny Gesslerów i kwidzyńskich lekarzy. Inicjatorem imprezy był pochodzący z Nowego nad Wisłą dr HENRYK JAKUB HEINDENHAIN (1808—1868) od 1830 r. radca sanitarny i lekarz w Kwidzynie. Obrął jednak z samego początku — jak się wydaje — błędną drogę. Zamiast pójść po linii wyznaczonej swego czasu przez Tennigsa i eksploatować naturalne źródło jako pijalnię dla łagodnych schorzeń na tle przemiany materii, nerwicy żołądka itp., to medyk kwidzyński zamarzył o sławie popularnych wówczas pryszniców. Była to naturalna metoda lecznicza, która rozwinęła się w Europie około 1835 r. Przypomnijmy, że nazwa wywodzi się od nazwiska chłopca śląskiego VINCENZA PRIES-SNITZA (1799—1851), który zapoczątkował zastosowanie do celów leczniczych zwykłej wody pod postacią natrysków i okładów wysychających. Ponoć na kojący wpływ wody zwrócił jego uwagę widok obserwowanej z daleka sarny, codziennie przychodzącej do potoku, by w nim moczyć skałeczoną nogę.

W 1840 r. w Kwidzynie wydano drukiem książkę na ten temat, autorstwa wymienionego lekarza kwidzyńskiego i nastawiano się na hydroterapię. Zimne źródło z natryskami i kąpielami miało służyć swoją żelazistą wodą ludziom cierpiącym na reumatyzm, porażenia paralityczne, skażenia krwi itp. Gessler pobudował drewniany basen, którego, niestety, nie wybagrował, wznosił baraki na 40 kuracjuszy, ale zapominał wmontować najprymitywniejsze urządzenia

KOMUNIKAT

Redakcja „Jantarowych Szlaków” informuje, że od 1989 roku nowa cena kwartalnika będzie wynosić 200 zł, a roczna prenumerata 800 zł.

W ubiegłym roku cena kwartalnika wynosiła jeszcze 75 zł. Wówczas jego cenę podniesiono do wysokości tylko 100 zł. Była to niewymiernie mała podwyżka, bowiem wzrost kosztów wydania kwartalnika był o wiele wyższy. Nastąpił duży wzrost kosztów papieru, druku, kolportażu i honorariów autorskich. Tymczasem tygodniki ilustrowane podniosły swe ceny o prawie 100%, np. „Przekrój” z 40 zł na 65 zł, „Kobieta i Życie” z 35 zł na 70 zł, „Sportowiec” z 40 zł na 80 zł.

„Jantarowe Szlaki” zawsze opierały się na dotacjach. Wpływy ze sprzedaży były znikome w porównaniu z ponoszonymi kosztami. Obecnie koszt wydania jednego egzemplarza przy nakładzie 2000 egzemplarzy wynosi prawie 500 zł. Powstała zbyt duża różnica pomiędzy sumą uzyskaną ze sprzedaży, a faktycznymi kosztami wydania. Dotacje tu już nie wystarczą, podwyżka ceny stała się koniecznością.

Za jeden numer „Jantarowych Szlaków” — 200 zł. Czy to dużo, czy to mało? Mało na pewno nie, ale też i nie dużo.

Popatrzmy na inne ceny: pół litra wódki czystej kosztuje ponad 1900 zł, paczka papierosów „Carmen” 150 zł, kilogram kurczaka (bity, patroszony) prawie 1000 zł, bilet autobusowy nocny 90 zł. Gdyby palacze w ciągu roku wypalili tylko po 5 paczek „Carmenów” mniej, zaoszczędziliby właśnie 800 zł na „Jantarowe Szlaki” i wyszłoby to każdemu na zdrowie.

„Jantarowe Szlaki”, żeby istnieć muszą kosztować drożej. O tym, czy po 30 latach ukazywania się „Jantarowe Szlaki” nadal będą na rynku, zdecydują czytelnicy.

Redaktor naczelny Władysław K. Wojewódzki

sanitarne. Zakład leczniczy w Małych Bądkach otwarto 18 czerwca 1840 r. Pierwsza lista pacjentów obejmowała 19 osób, m. in. z Wrocławia, Gdańska, z okolic Pasłęka, ze Starogardu, Malborka i Grudziądza. Kuracjusze narzekali na skąpe odżywianie.

Dnia 24 października 1840 r. uzdrowisko wpisano do rejestru w Kwidzynie pod nazwą Friedrichsbad (Zdrój Fryderyka), przy czym w urzędowym rejestrze wymieniono dom z 3 paleniskami i 6 mieszkańcami, grunt o powierzchni 2 morgów chełmińskich, zawierający ogród, łąkę, działki budowlane i wolne place. Położenie zdrojowiska określano następująco: 3/16 mili odległe od Małych Bądek oraz 3/4 mili od Bogusza. Ośrodek leczniczy w Małych Bądkach oznaczono na wszystkich mapach powiatu kwidzyńskiego i prowincji Prus Zachodnich, której stolica mieści się w Kwidzynie. Do dnia otwarcia w marcu 1843 r. przez uzdrowisko przewinęło się 196 pacjentów. W 1845 r. kompleks sanatorium obejmował dom mieszkalny, budynek gospodarczy, dom zajezdny, dom dla służby, stajnie i cztery obiekty z prysznicami.

W końcu 1849 r. dr Heidenhain rzekł się funkcji kierownika i ordynatora kąpieliska. W 1850 r. nowym kierownikiem został lekarz przybyły ze Śląska. Niestety, liczba pacjentów zmalała tak znacznie, że po roku pracy przeniósł się na stałe do Grudziądza. Po

raz trzeci ośrodek otwarto 1 kwietnia 1852 r., a jego ordynatorem został lekarz z Kwidzyna. Także jego próby ożywienia uzdrowiska nie powiodły się. W następnych latach właściciel zdrojowiska polecił rozebrać zabudowania i urządzenia kąpieliskowe. W 30 lat później z rodziny Gesslerów nikt nie pozostał w tej okolicy. W 1889 r. o „Zdroju Fryderyka” tak napisano: *Kto dzisiaj uda się drogą z Małych Bądek do Bogusza nadaremnie będzie szukał śladów ożywionej ongiś miejscowości. Jeśli natomiast przejdzie mostek w lesie, to z lewej strony błysnie mu źródłana woda, jakby chciała swym szmerem opowiedzieć nieco o przeszłości.*

Wiara w lecznicze działanie źródelka trwała. Jeszcze do 1945 r. wielu mieszkańców Kwidzyna, zwykle w niedziele, wędrowało do Małych Bądek. Tam w czasie milego pobytu w lesie nabierali do dzbanów źródłanej wody dla pokrzepienia swych sił. Dziś już i mostku nie ma, ale w leśnej dolinie, przy drodze z Małych Bądek do Bogusza, nadal pluszcze małe źródelko...

Literatura: R. Flanss: Friedrichsbad, eine ehemalige Heilanstalt (Kr. Marienwerder) mit Abbildung. „Zeitschrift des historischen Vereins für den Reg. — Bezirk Marienwerder, Jg. 1889, H. 24, ss. 59—60; H. Kohtz, Das Friedrichsbad (w:) Der Kreis Marienwerder Wpr., Hamburg 1983, ss. 199—201.

Andrzej Wyszowski

Od Fausta Socyna do Andrzeja Wajdy

Suwalszczyzna może się poszczycić poważnym dorobkiem w dziejach naszej kultury. Już w końcu XVI w. osiedlili się tu wybitny arianin i filozof włoskiego pochodzenia — **Fausto Sozzini** zwany **Socynem**, twórca socynianizmu. To właśnie on założył w Filipowie i Przeroshi jedne z pierwszych zborów arianskich w Polsce. Dopiero z Suwalszczyzny ożywczy powiew reformacji i ściśle z nim powiązana działalność braci polskich rozprzestrzeniły się na resztę kraju (Pińczów, Raków, Nowy Sącz).

Godnym następcą był jego wnuk — **Andrzej Wiszowaty**, równie wybitny arianin i filozof, który urodził się w 1608 r. w Filipowie koło Suwałk. Wiszowaty, jeden z najwybitniejszych intelektualistów polskich XVII stulecia, zdobył sławę i rozgłos w Europie Zachodniej. Między innymi cieszył się tam uznaniem i przyjaźnią wybitnych uczonych, jak np. **Izaka Newtona** i **Barucha Spinozy**, z którymi utrzymywał regularną korespondencję.

Niemal w tym samym czasie, kiedy Andrzej Wiszowaty udaje się na emigrację, ma miejsce na Suwalszczyźnie doniosły fakt, który zapisze się nadzwyczaj korzystnie w rozwoju gospodarczo-kulturalnym tej części kraju. Na wyspie, położonej w północnej części jeziora Wigry, osiedlają się około 1667 r. kameduli (reformowani bernardyni). W ciągu swej półtorawiekowej działalności ożywili oni gospodarcze pustkowia, jakie do połowy XVII w. stanowiła Suwalszczyzna. W latach 1692—1745 powstaje na wyspie wigerskiej cały zespół zabudowań klasztornych według projektu włoskiego architekta **Piotra Puttiniego**. W skład zespołu weszły: barokowy kościół, 17 domków pustelniczych tj. eremów, refektarz, szpital i budynek gościnny dla przyjezdnych gości. Poza klasztorem znajdowały się jeszcze na tej wyspie zabudowania dla służby, browar oraz ogrody: kwiatowy, warzywny, zoologiczny i botaniczny — zapewne jedne z pierwszych tego typu w kraju.

Zapobiegliwi mnisi stosują w swych ogromnych dobach ziemskich (ok. 59 wsi, w tym Suwałki i 300 km² gruntów) najnowsze zdobycze agrotechniki, narzędzia i maszyny rolnicze; budują nowe drogi i mosty, a w ślad za nimi młyny, tartaki, cegielnie, browary,

huty żelazne i potasnie (wypał popiołu drzewnego), folusznie (wyrób sukna) itp. Kameduli zatrudniają w swych warsztatach i majątkach okoliczną ludność wiejską, która po zapoznaniu się z nową technologią zaczyna stosować ulepszenia w swej prymitywnej dotychczas gospodarce. Warto przy okazji podkreślić, że kameduli byli również założycielami Suwałk, które w roku 1715 wynieśli do rangi miasta, przyspieszając nawet oficjalny dekret królewski w tej sprawie. Po trzecim rozbiore Polski Suwalszczyzna dostaje się pod panowanie Prus, przy czym dobra kamedulskie zostały skonfiskowane dekretem króla Fryderyka Wilhelma, a zakonnicy wysiedleni (1800 r.).

W okresie Królestwa Kongresowego Suwałki awansują do rangi stolicy władz wojewódzkich (1816), a następnie gubernialnych (1837). W poważnej mierze wpłynęło to na ożywienie życia kulturalnego w całym regionie. W pierwszej połowie XIX stulecia wzniesiono w Suwałkach cały szereg okazałych budowli. Należą do nich między innymi: ratusz, gimnazjum i kościół Św. Aleksandra. Obiekty te projektowali wybitni architekci, tacy jak **Karol Majerski** (ratusz), **Antoni Corazzi** (gimnazjum), **Piotr Aigner** i **Henryk Marconi** (kościół).

Na szczególną uwagę zasługuje również wspaniały pałac w Dowspudzie koło Raczek, projektowany przez **Marconiego**, a pobudowany na początku lat dwudziestych XIX w. w stylu modnego wówczas angielskiego neoogotyku. Dzieło to nie dotrwało w całości do naszych czasów, jednakże zachowane fragmenty, stare litografie i opisy dają pewne wyobrażenie tej okazałej rezydencji, jednego z najzamożniejszych magnatów litewskich — **Ludwika Michała Paca**.

Generał hrabia Pac, żołnierz napoleoński (prowadził m. in. zwycięską, rozstrzygającą o sukcesie Francuzów szarżę kawalerii w bitwie pod Wagram w 1809 r.), a następnie uczestnik kampanii moskiewskiej 1812 r. i Powstania Listopadowego, postanowił w swych dobrach dowspudzkich koło Suwałk stworzyć ośrodek kulturalny na miarę dózów weneckich oraz zbiorów Bolonii i Florencji. Jego słynny pałac w Dowspudzie, który przeszedł do legendy i przysłówia (Wart Pac pałaca, a pałac Paca), był budowany przez 7 lat, a uży-

tkowany przez swego właściciela zaledwie 4 lata: do czasu ostatecznej konfiskaty i rozbiórki, w wyniku represji za udział w powstaniu 1830/31 r. Pac nagromadził w swym pałacu wiele cennych arcydzieł europejskiego malarstwa i rzeźby, zakupionych głównie w Italii i Francji, cennych militariów (broń, zbroje) oraz wspaniałą księgozbiór. Na uwagę zasługują również zachowane po dzień dzisiejszy stajnia gotycka oraz park romantyczny, projektowany przez angielskiego ogrodnika **Johna Heitona**. O cudach nagromadzonych w pałacu krążą legendy wśród mieszkańców okolicznych wsi. Jeszcze dziś można usłyszeć od nie jednego, że „pałac ów miał tyle drzwiów, ile rok liczy dniów...”.

W pobliskich Raczkach zlecił Pac budowę pięknej świątyni w modnym wówczas stylu klasycystycznym według projektu **Piotra Aignera** i **Henryka Marconiego**. Po dzień dzisiejszy zachowały się w niej dwie stèle nagrobne, wykonane z białego marmuru, domniemane dzieło słynnego mistrza **Antonio Canovy**, bądź jednego z jego uczniów.

Ludwik Michał Pac — to osobowość niezwykle barwna i ciekawa. Żołnierz-szwajczer, światowy bywalec i podróżnik oraz zamiłowany mecenas sztuki. Hrabia — generał był człowiekiem na wskroś postępowym, tak samo jak współczesny mu inny oficer napoleoński — generał **Dezydery Chłapowski**, przyczynił się do rozwoju nowoczesnego rolnictwa i przemysłu w kraju. W majątkach swych stosował najnowsze zdobycze agrotechniki i hodowli. Gospodarstwa rolne zorganizował na wzór ferm angielskich, sprowadzając w tym celu fachowców ze Szkocji. Do dziś dnia istnieje w okolicy Raczek wieś Szkoćca, w której wówczas osiedlili się Szkoci. Większość z nich uległa repolonizacji i pozostała na zawsze w nowej ojczyźnie. W pobliskich Raczkach Pac założył fabrykę „machin rolniczych”, białarnię płótna i fabrykę obrusów.

Warto podkreślić patriotyzm i dumę narodową generała. Kiedy jeszcze przed powstaniem miał go odwiedzić następca tronu rosyjskiego, carywicz **Aleksander**, Pac nie przyjął go osobiście, udając ciężki atak podagry. Honory domu w jego zastępstwie pełnił marszałek dworu w rezydencji dowspużdzkiej.

W latach 1823—1830, z pominięciem 3-letniego okresu pobytu w więzieniu, mieszkańcem Suwalszczyzny był nasz znakomity wojskowy i utalentowany inżynier, przysły generał **Ignacy Prądziński**. Ten najzdolniejszy polski strateg i taktyk wojskowy na przestrzeni całego XIX stulecia, projektant i budowniczy Kanału Augustowskiego, najnowocześniejszego wówczas w Europie, nabył w Augustowie dom z ogrodem i założył tam rodzinę. Prądziński „marzył sobie przyszłość najszcześliwszą w otoczeniu lasów augustowskich, pilnując swego kanału i żyjąc w kole familijnym” („Pamiętniki”, wyd. 1909 r. w Krakowie w oprac. Eronisława Gembarzewskiego). Nielitościwy los zrządził jednak inaczej.

Nie można tu nie wspomnieć o człowieku, który wniósł trwały i znaczący wkład do kultury narodowej, a Suwalszczyznę w szczególności — o **Karolu Brzostowskim**. Ten wybitny reformator społeczny żył i działał w okolicach Augustowa, w pierwszej połowie XIX w. Po rezygnacji z kariery wojskowej osiedlił się w swych rodowych dobrach sztabińskich, które z niemal zupełnej ruiny doprowadził do poziomu zachodnioeuropejskiego. Brzostowski zasłynął jako pionier i twórca nowoczesnego przemysłu (huty szkła i żelaza, fabryka maszyn i narzędzi rolniczych) i rolnictwa. Jako jeden z pierwszych w kraju zastosował maszynę parową, płodozmian i uprawę roślin przemysłowych. Również jako pierwszy w kraju założył telegraf i zniósł haniebną pańszczyznę w swych majątkach, zastępując ją czynszem oraz utworzył tzw. Fundację Sztabińską. Z zasobów tejeż korzystało wielu zdolnych a ubogich synów włościańskich. W dowód czci i uznania dla tego zasłużonego dla kraju i Suwalszczyzny człowieka społeczeństwo nadało gimnazjum suwalskiemu jego imię, które przetrwało do 1939 r. (obecnie Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej).

W połowie XIX w. skupiła się w Suwałkach spora grupa inteligencji urzędniczej, z której wyszło z czasem wielu ludzi zasłużonych dla kultury polskiej i europejskiej. W roku 1842 przyszła tu na świat nasza

wielka poetka i pisarka — autorka „Roty” — **Maria z Wasilowskich Konopnicka**, córka miejscowego notariusza. Maria mieszkała w Suwałkach do 6 roku życia, jednakże reperkusje suwalskie możemy odnaleźć w jej późniejszych utworach (np. wiersze „Cmentarze” i „Anusia”). Warto przypomnieć, że utwory naszej poetki znane są i cenione nie tylko w kraju, były one również tłumaczone na 30 języków świata.

W roku 1849 urodził się w suwałkach nasz wybitny artysta malarz **Alfred Wierusz-Kowalski**, znany i ceniony być może bardziej w Europie Zachodniej niż w rodzinnym kraju. Kowalski opuścił Suwałki wraz z rodzicami w 16 roku życia i wyjechał do Niemiec. Dzieła swe tworzył głównie w Monachium, gdzie się osiedlił na stałe oraz zdobył największą sławę i uznanie jako wybitny pejzażysta i portrecista. Niewątpliwie należał do rzędu polskich artystów, którzy zdobyli najwięcej wyróżnień na wystawach europejskich. Jego słynny obraz „Napać wilków” — przedstawiający mroźące krew w żylach przeżycie artysty z okresu jego dzieciństwa — nie przetrwał do naszych czasów, uległ bowiem zniszczeniu podczas pierwszej wojny światowej.

Mały kresowy Filipów (25 km od Suwałk) wydał uczonego biologa i równocześnie filozofa i poetę — profesora **Romualda Minkiewicza**. Znana międzywojenna powieściopisarka **Maria Szpyrkówna** poświęciła mu swą powieść pt. „Prorok z puszczy”. Uczony ten pozostawił po sobie pamiątkę w postaci znanej w Europie stacji hydrobiologicznej w Starym Folwarku nad jeziorem Wigry. Między innymi pracowali tam tak wybitni i sławni biologowie jak: **Alfred Lityński**, **Kazimierz Dehmel**, **Jan Dębowski**, **Stanisław Wysłouch**, **Marian Stangenberg** i **Jadwiga Wołoszyńska**. Prace badawcze stacji, prowadzone w okresie międzywojennym, znalazły odzwierciedlenie w 29 tomach rozpraw — naukowych, drukowanych w 4 językach. Wydawnictwo to pod nazwą „Archiwum Hydrobiologii i Rybactwa” wychodziło w Suwałkach, skąd rozchodziło się po całym świecie.

W Czostkowie koło Filipowa posiadał dobrze prosperujący majątek nasz sławny generał **Józef Bem**, którego miejscowa ludność wspomina z sympatią i dumą. W czasie kiedy Bem przebywał na wojnie, na folwarku gospodarowała jego zapobiegliwa małżonka i to na takim poziomie, że dwór ów stał się znanym ośrodkiem kultury rolnej i przemysłu. Do pracy w majątku zgłaszali się podobno nawet sezonowi robotnicy z sąsiednich Prus Wschodnich, którzy traktowali ten ośrodek jako swego rodzaju „saksy”.

Z pozostałych wybitnych Suwalszczan należy jeszcze wymienić rzeźbiarza **Piusa Welońskiego**. Dzieła jego są wysoko cenione (np. słynny „Gładiator”) przez fachowców i zdołają wiele obiektów świeckich i sakralnych w kraju i za granicą.

Z Suwałk pochodzi również zasłużony dla kraju wybitny działacz krajoznawczy — **Kazimierz Kulwiec**. Z jego inicjatywy pobudowano pierwsze schronisko turystyczne nad Wigrami.

Tematyka, a szczególnie krajobraz suwalski, znalazły również odbicie w szeregu dzieł literackich. Znany i popularny autor powieści historycznych — **Wacław Gąsiorowski** mieszkał i pracował w suwalskiej aptece magistra **Szwejkowskiego**; tu właśnie narodziła się jego powieść obyczajowa pt. „Pigularz”. Również akcja powieści-reportażu, znanej międzywojennej powieściopisarki — **Marii Miłaszewskiej** pt. „Czarna Hańcza”, rozgrywa się na Suwalszczyźnie; podobnie przesłają jak szereg utworów **Wacława Sieroszewskiego**, **Marii Rodziewiczówny**, **F. A. Ossendowskiego**, **Melchiora Wańkowieza**, **Czesława Miłosza** i wielu innych.

W ostatnich latach Suwalszczyzna przeżywa swą wielką szansę. Stolica nowego województwa, drugiego co do wielkości w kraju, przyciąga wciąż wielu wysoko wykwalifikowanych specjalistów różnych dziedzin. Nie brak wśród nich ludzi wybitnych i zasłużonych dla naszej kultury. Jednym z nich jest znany artysta-grafik i malarz **Andrzej Strumillo**, który po swoich rozlicznych wędrowkach po świecie, osiadł tu na stałe w Maćkowej Rudzie. Na wyniosłym brzegu Czarnej Hańczy, na samym skraju Wigierskiego Parku Krajoobrazowego, pobudował swój słynny dwór drewniany (wierną kopię zabytkowego dworu Kumatów —

dziadków Czesława Miłosa, w sejneńskiej Krasnoogrodzie). Strumillo, podobnie jak jego sąsiad, inżynier leśnik i mistrz kamery fotograficznej Włodzimierz Łapiński, rozślawiają piękno i urodę Suwalszczyzny po całym świecie. To właśnie tacy ludzie, jak oni — Suwalszczanie z wyboru — stają na czele społeczników zgrupowanych wokół pięknej idei ocalenia „Zielonych Płuc Polski”, zachowania na trwałe wartości przyrodniczych i krajobrazowych Polski Północno-Wschodniej.

Na Półwyspie Klasztornym na Wigrach odbywają się co roku plenery artystyczne pn. „Kultura i środowisko”, które stawiają sobie coraz ambitniejsze zadania. W imprezie tej biorą udział plastycy, literaci, publicyści i filmowcy. Nie brak wśród nich jeszcze jednego sławnego syna ziemi suwalskiej, wybitnego reżysera filmowego, **Andrzeja Wajdy**, którego ojciec był przed wojną oficerem w zasłużonym 41 pułku piechoty w Suwałkach. Atmosfera kresowego garnizonu z jego malowniczymi typami ludzi, obudziły w młodym Andrzeju jego przyszłe zainteresowania artystyczne, które przyniosły mu z czasem światową sławę. Może właśnie tu, wśród suwalskich borów, jezior i kurhanów, należy się doszukiwać źródeł inspiracji przyszłego twórcy filmów: „Popiół i diament”, „Lotna”, „Ziemia obiecana” i „Kronika wypadków miłosnych”.

Niepowtarzalny krajobraz i urok Suwalszczyzny skłonił wielu naszych realizatorów filmowych do wy-

brania jej jako miejsca akcji filmów, takich jak: „Żywot Mateusza”, „Czarne chmury”, „Dolina Issy”.

Ta niezwykła leśno-jeziorna kraina, w której żyją ciekawi i pracowici ludzie, wywiera jakiś magiczny wpływ, któremu ulegają nie tylko turyści z innych regionów kraju, ale również cudzoziemcy. Najlepszym przykładem owej fascynacji może być człowiek, który po raz pierwszy ujrzał Suwalszczyznę w 1934 roku i pozostał jej wierny do dziś. Jest nim wielce zasłużony dla polskiej nauki i kultury szwedzki profesor **Knut Olof Falk**, wybitny językoznawca-toponomastyk, autor wielu prac naukowych poświęconych pradziejom Suwalszczyzny i jej dawnym mieszkańcom.

Tak w dużym skrócie przedstawia się wkład Suwalszczyzny i ludzi z nią związanych do naszej kultury w ciągu ostatniego czterechsetlecia.

Od redakcji: Redakcja „Jantarowych Szlaków” otrzymała kopię pisma z dnia 29 lipca br. skierowanego do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku w sprawie ochrony środowiska naszego regionu, wstrzymanie dalszej jego degradacji i podjęcie działań dla ratowania tego, co jeszcze dzisiaj można uratować.

Pismo to zostało napisane przez Zarząd Wojewódzki PTTK w Gdańsku, Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku, Franciszkański Ruch Ekologiczny, Zarząd Wojewódzki Ligi Ochrony Przyrody w Gdańsku i Polski Ruch Ekologiczny Okręg Wschodnio-Pomorski w Gdańsku.

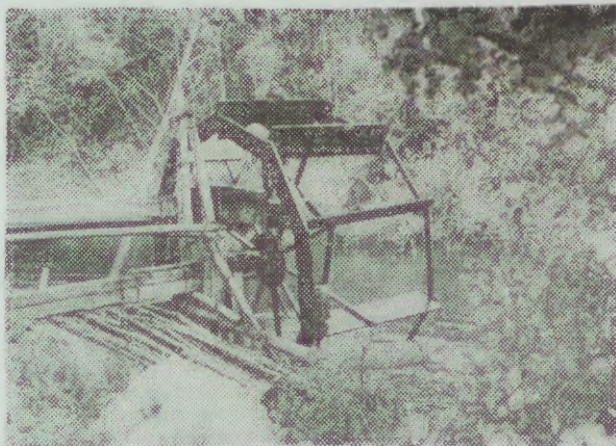
W piśmie tym poruszany jest między innymi problem wstrzymania dalszej budowy elektrowni jądrowej w Żarnowcu, z jednoczesnym opracowaniem skutecznego programu gospodarki energią elektryczną (wykorzystanie innych źródeł energii).

Roman Klim

W kręgu Brdy

Na Brdę przez wiele lat nie zamierzałem się wybierać. Uważałem, że jest tak masowo odwiedzana i tak spopularyzowana, że nic nowego tutaj nie znaję. Zresztą moja filozofia życiowa w zasadzie wykluczała penetrację krajoznawczą i pobyt w miejscach renomowanych.

Moje pierwsze kontakty z tą rzeką nastąpiły w trakcie budowy Muzeum Wisły w Tczewie. Penetrując całe dorzecze Wisły — a robiłem to w sposób planowy i systematyczny — miałem rzecz jasna trafić i nad Brdę. I tak rzeczywiście się stało. Moje wyprawy badawcze do Swornigaci nad tą rzeką dokonały przełomu w moich wyobrażeniach o Brdzie. Rzecz można, że doznałem olśnienia i zafascynowania jej charakterem i krajobrazem. Odtąd utkwilo we mnie mocne postanowienie, że muszę na dłużej wrócić nad Brdę i poznać ją dokładnie.

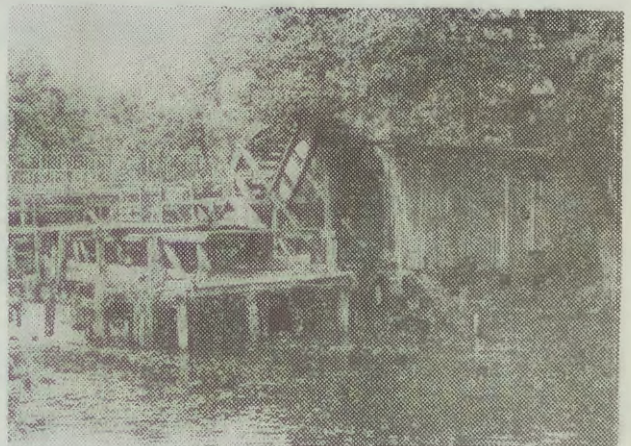


Jedna z turbin nawadniających J. Zimianowskiego w Płaskosku.

Fot. R. Klim

Taka możliwość zaistniała w lipcu 1986 r., kiedy to po wielu latach przerwy znów nareszcie mogłem wsiąść do kajaka, uważanego przeze mnie za najwspanialszy instrument uprawiania krajoznawstwa. Już 6 lipca „robur” wyrzucił mnie, ogromną ilość sprzętu i kajak na terenie Stacji Wodnej PTTK w Swornigaciach. Pierwszy moment zetknięcia się z bazą wypadową na Brdę był bardzo nieprzyjemny. Piekielny upał, tumany kurzu i piasku, autokary, mnóstwo ludzi, rwetest i halas. Tak się złożyło, że akurat w tym czasie na terenie stacji nastąpiło zakończenie splotu środowiska stoczniowego z Gdańska. Stąd to zamieszanie i brak miejsca. Udało się mi jednak przycupnąć z namiotem pod ścianą głównego pawilonu.

W dniu tym, nie spiesząc się, powoli — smakując otaczający krajobraz — przepłynąłem odcinek Zbrzycy do jeziora Słuz, który — jak powiedzieli spotkani na



Tartak wodny w Chocińskim Młynie.

Fot. R. Klim



Ślady pobytu bobrów w rejonie ujścia rz. Kulawej do Zbrzycy.

Fot. R. Klim

tym jeziorze dwaj przygodni kajakowicze — nie obfituje jak dawniej w liczne stada ryb, po prostu dlatego, że został wybagrowany w celu ułatwienia spławu drewna. Na brzegach rzeki spotkałem dwie bindugi: z prawej strony należąca do leśnictwa Antoniewo, z lewej — do leśnictwa Kokoszka. Również resztki mostu, który kilka lat temu zawalił się pod ciężarem ciągnika.

Muszę jeszcze dodać, że na wysokości gospodarstwa Zbrzyca 17, na drewnianym pomoście, spotkałem **Jana Buclawa**. Ciekawa to postać. Jest pracownikiem leśnictwa Antoniewo podległego nadleśnictwu Przymuszewo. W lesie pracuje od 1960 roku, 15 lat jako pilarz. Twierdzi, że całe lasy są wycinane na papier i płyty. Wszystko idzie do Czarnej Wody i tam jest przerabiane. Posiada tradycyjną łódź dylową. Tego typu łódzie budował kiedyś **Maksymilian Łącki**.

Przez jezioro Śluzę z trudem przepchałem się wiosłując pod uporczywy i silny wiatr. W partii końcowej jeziora natknąłem się na maleńki półwysep dogodny do postoju. Tutaj też — bo zapadał już zmierzch — rozbiliem namiot i zauroczony tym miejscem, a także jeziorem zatopionym w lasach, przesiedziałem również i cały następny dzień. Dopiero 10 lipca popłynąłem łańcuszkiem jezior w górę Zbrzycy; kolejno mijalem jeziora: Parszczenica, Długie, Książę i Laska.

Na jeziorze Książę jakże bliski sercu obrazek: brygada rybacka z Borowego Młyna w trzy łódzie łowiła rybę. Przy brzegu na wysokości Bud znajdują ciekawą tradycyjną łódź. Jej właścicielką jest **Tekla Tybura**, która nazywa ją czólnem i informuje, że służy ona do transportu gęsi z jeziora, gdy za daleko się zapędzą i nie chcą wrócić do domu. Burty w tej łodzi z drewna sosnowego są proste, zbudowane z jednego pasa poszycia o szerokości 32 cm i grubości 2,5 cm. Dziób i rufa są w niej tępo ścięte. Tylnicę stanowi



Martwy las nad j. Strzyżyny Wielkie w pobliżu J. Koronowskiego.

Fot. R. Klim

deszczka o szerokości 47 cm i wysokości 20 cm. Z wiązań poprzecznych występują cztery ławeczki: po jednej na dziobie i rufie i dwie rozmieszczone proporcjonalnie w partii środkowej. Dno zbudowane jest z poprzecznych deszczek nabijanych od spodu na płaszczyny sztorcowe burt. Jej wymiary są następujące: długość 460 cm, szerokość 99 cm i wysokość 35 cm. Łódź tą zbudował **Franciszek Tandemcki**. Nad jeziorem Książę tego typu łódzie posiadają jeszcze **Skibowie** i **Wirkusowie**.

Nadal interesującym akcentem jeziora Książę jest czynna binduga i zgromadzone obok liczne tratwy, czekające na spław Zbrzycą i Brdą do Myłofu. Znajdowało się tutaj aż 49 tafli zawierających w sobie 337 m³ drewna.

Wyjątkowy fragment przyrody stanowi jezioro Laska — rezerwat ornitologiczny. Otoczone ścianami lasu, rozmigotane w słońcu, bielejące płatkami łabędzi, dostarcza wielu wzruszeń estetycznych. Jeszcze nie tak dawno występowało tutaj ponad 200 łabędzi, teraz doliczyłem się ich 84.

Wypływ Zbrzycy do jeziora Laska zaznacza się prawie niewidoczną szczyrbą w ścianie lasu. Poprzedza go rozległa pływiczna i silny prąd, dlatego też, aby wpłynąć w koryto rzeki trzeba brodzić i holować kajak. Dalej już płynąc w mroku zwisających gałęzi drzew, krótkim odcinkiem Zbrzycy, wylądowałem na nieczynnej już bindudze w Laskach, tuż pod mostem drogowym.

Za nim, obok stojącej chaty nad rzeką, spotykam **Konrada Szultka**, właściciela tradycyjnej ludowej łodzi, zbudowanej z drewna sosnowego w 1984 roku. Łowi nią ryby, zbiera rzęsę i moczarkę kanadyjską dla kaczek. Ryby tutaj łowi się za pomocą drygawic, zbudowanych jakby z dwóch warstw jądra o oczkach 18 — 22 mm i obwłoku czyli większej kraty o dużych oczkach. Długości drygawicy mogą wynosić 20, 30 i 50 m. Jej wysokość około 90 — 120 cm. Pływaki w niej występujące są wykonywane z kory topolowej lub styropianu, natomiast ciężarki z ołowiu. Drygawicę stawia się na jeziorze, natomiast na rzece poławia się cidakiem, którego elementami są: pałak z jałowca połączony u dołu linką, siatka o długości do 1,5 m i średnicy 1 m oraz widełki. Z tym narzędziem chodzi się w czwórce, jedna osoba stawia cidak na dnie rzeki, a reszta nagania rybę. Łowi się ryby oczywiście także za pomocą wędek oraz szczupaka na klocki i tylko w okresie zimowym.

Największym rarytatem jest wiadomość, że nad Zbrzycą, powyżej mostu i w przyległym rejonie, a także przy jej ujściu do jeziora Laska występują bobry. Składam wizytę nadleśniczemu w Lasce **Stanisławowi Słomińskiemu**, aby zasięgnąć informacji z pierwszej ręki. Nadleśniczy potwierdza wiadomość. Opowiada ich historię. Na początku lat siedemdziesiątych zoolog prof. **Graczyk** z Uniwersytetu Poznańskiego im. A Mickiewicza na siedmiu jeziorach leśnictwa Ryteł wprowadzał w życie idee introdukcji bobrów z Czarnej Hańczy. Bobry w tym siedlisku doskonale się zaaklimatyzowały, rozmnożyły i rzekami, wzdłuż jeziora Charzykowskiego i Witoczyno, zawędrowały na Zbrzycę. Zadomowiły się tutaj całkowicie w sposób naturalny. Ich główną bazą jest Zbrzyca na odcinku Laska — Widno. Dalej poszły one rzeczką Kulawą do jeziora Syconek i jeziora Małego Głuchego. Ich obecność po raz pierwszy stwierdzono w latach 1975—1976. Początkowo była jedna para bobrów, która zaczęła się rozmnażać nie budując żeremi, lecz przebywając w jamach. Szacuje się, że obecnie bytuje tutaj 5 par, chociaż optymiści twierdzą, że ich jest więcej. Klusownictwa tutaj nie stwierdzono. Zresztą bobra trudno złowić. Jest płochliwy, żeruje nocą, ewentualnie można go zobaczyć o 3 — 4 godz. nad ranem. Świetnie się tutaj czują. Istnieje obawa, że mogą zatrasować rzekę. Pewne symptomy wskazują na to, że bobry przymierzają się jednak do budowy żeremi na tym terenie.

Korzystając z okazji zagadnąłem nadleśniczego Słomińskiego o jego pogląd na sprawę spławu drewna, zwłaszcza że obecnie Brda i Zbrzyca są ostatnimi rzekami w Polsce, gdzie się to uprawia, a zawód flisaka nawet tutaj jest już w fazie schyłkowej. Nadleśniczy odpowiedział mi, iż „Lasy” są zwolennikami spławu.

Drewno wspaniale konserwuje się w wodzie, a wodny transport jest celowy pod względem ekonomicznym. Spław był prawdziwą instytucją, ale do czasu rozwoju motoryzacji. W ogólnym mniemaniu — według mnie krótkowzrocznym — jest łatwiej drewno załadować na samochody i w ogóle zmechanizować ten proces. Ponadto w kontynuowaniu spławu dużą przeszkodę stanowi podział terytorialny kraju, w wyniku którego powstały nienaturalne granice województw. Każde województwo rządzi się własnymi prawidłami, a przecież spław przebiega przez kilka jednostek administracyjnych...

Wychodząc z budynku nadleśnictwa nie omieszkalem zmierzyć pierśnicę rosnącego obok wspaniałego okazu dębu. Jego obwód okazał się rzeczywiście imponujący — 793 cm. Zaiste, w warunkach polskich pomnik przyrody o takich wymiarach jest prawdziwą gratką.

Cały czas prześladowała mnie jednak myśl o bobrach. Postanowiłem sprawdzić informację nadleśniczego. Obleciałem odcinek Zbrzycy od Łaski do leśnictwa w Widnie, następnie urokliwe, małe jezioro Syconek i rzeczkę Kulawą, łączące je ze Zbrzycą. Z drżącym sercem oglądałem ślady bytności bobrów, szczególnie nad Kalwą, w postaci kikutów pniaków z charakterystycznymi zaostreniami.

Syt wrażeń jeszcze tego samego dnia postanowiłem wrócić do Stancji Wodnej w Swornigaciach. Nad jeziorem Łaska zlapała mnie solidna ulewa. Przycupnięty przy brzegu czekałem dosyć długo aż minie. Deszcz był jednak uparty, bardziej niż moja cierpliwość. Zmalało tylko jego natężenie, więc zdecydowałem się płynąć, czując jak wszystko w kajaku zaczyna nasiąkać wilgocią. Dopiero nad jeziorem Parszczenica pojawiło się słońce, zresztą na krótko. Z jego promieniami — jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej — dostrzegłem nagle tuż obok płynącą łódź, którą moje wyewiczone oko od razu oceniło jako tradycyjną i ludową. Jest to typ określanany w Swornigaciach jako łódź dylowa. Obsługiwał ją **Antoni Stoltman**, który zbudował ją z desek sosnowych w 1985 roku głównie z myślą o komunikacji. Posługuje się nią także przy połowie ryb, np. za pomocą drygawic o długości około 20 m, które zastawia od brzegu do brzegu, szczególnie przy wyspie **Bronisława Bielskiego**. Zbliżoną w typie łódź wypatrzyłem przy wlocie Zbrzycy na jezioro Śluza.

Był już wieczór, kiedy wpłynąłem w ostatni odcinek Zbrzycy, rzeka parowała. Ogromne tumany mgły, zmieniając wciąż konfigurację, stały nad rzeką. Płynąłem bajkowym krajobrazem prawie po omacku. Mleczny opar wciąż gęstniał. Do jeziora Witoczno dowlokłem się resztką sił, a fragment jeziora do Stancji Wodnej PTTK, której światła migwały na prawo od wylotu Zbrzycy, pokonałem zaciskając zęby i licząc każdy metr uciekającej do tyłu wody. Namiot na wolnym płacyku, tuż obok przystani, rozbijałem już po omacku. Długo mościłem go i lokowałem w nim kompletnie przemoczzone rzeczy, aż w końcu ległem kompletnie wyczerpany i usnąłem w oparach mokrych ciuchów.

W następnym dniu, 11 lipca, złożyłem wizytę **Maksymilianowi Jankowskiemu**, szefującemu flisakom znad Brdy, a formalnie starszemu składnicowemu do Spraw Spławu Drewna, który tuż obok posiada swój drewniany domek, a w nim flisackie biuro. Dowiedziałem się od niego, że w stosunku do 1985 roku znów zmalała liczba flisaków. Odeszli **Stanisław** i **Kazimierz Guzińscy**. Ze starego składu pozostał tylko **Jan Głowczewski**, a doszedł **Alojzy Leper** ze składnicy w Męcinkale. Pozostało więc już tylko 2 flisaków. Zmalała o tysiąc m³ ilość splawianego drewna. Splawia się tylko 3400 m³. Przyczyna tego stanu rzeczy jest prosta. Te tysiąc m³ z rąk prywatnych wykupiła firma polonijna ze Słupska, placąc za każdy m³ 5400 zł, zdecydowanie więcej od „Lasów”, które dawały tylko 3600 zł.

Szczęśliwy traf zrządził, że jeszcze wieczorem tego samego dnia za stacją nad jeziorem Witoczno natknąłem się na zawodową brygadę rybaków ze Swornigaci, którzy za pomocą niewodu obławiali ten fragment jeziora. Długo to trwało, zanim ogromny krąg niewodu o długości 189 m cierpliwie ściągnął przez rybaków do brzegu zaowocował w końcu matnią, z mizernym połowem około 50 kg węgorza, leszcza, siei



Władysław Łosiński przy kole wodnym swojego tartaku w Chocińskim Młynie.

Fot. R. Klim

i płoci. Dowiedziałem się, że rekordowe połowy osiągały tu nawet 4 tony. Brygadę tę tworzą: **Jan Frankenstein**, **Edmund Mayer**, **Jan Moga** i **Józef Guziński**. Operuje ona na jeziorach: Witoczno, Karsińskie, Długie, Garliczno Małe, Nawionek, Zmarłe i Milachowo za pomocą niewodu, przywłok, watonów i mieroży. Miejskowa tradycja rybacka na przestrzeni wielu pokoleń stworzyła bogate i barwne nazewnictwo toni. Rybacy jako przykłady podali mi tonie jeziora Witoczno i Karsińskiego. Na jeziorze Witoczno są następujące: Na Peplińskiego, Na Smoka, Na Dwie Chójki, Na Zabrockiego, Na Miszewskiego, Na Klatkę i Góry. Natomiast na Jeziorze Karsińskim są to: Na Głowy, Na Szytka, Na Owink, Na Zdroje, Na Rudnika, Na Buczka, Leśna Łacha, Na Rewut, Na Cajtla, Na Kowala, Drajek, Duża Łacha, Mała Łacha, Na Cupa, Węsierskich Łączka, Ujście, Pod Łakami, Rohrberg, Na Rów, Grzonka, Na Zgon, Na Tobolka.

W dniu 13 lipca postanowiłem dotrzeć do Chocińskiego Młyna. Planowałem tam popłynąć kajakiem — z jeziora Karsińskiego w górę rzeki Chociny, która doń wpada. Doszły jednak mnie wieści, że rzeka ta zawałona jest drzewami. Ruszyłem więc — przez Wączas — piechotą. Po 7 km drogi dotarłem do — autentycznego, XVIII-wiecznego tartaku napędzanego wodami Chociny.

Z tartakiem koegzystuje w doskonałej harmonii stary, drewniany dom, w którym mieszka właściciel tych obiektów — **Władysław Łosiński**. Wyciągam go z łóżka. Początkowo niechętny i nieufny, potem jakby nabrał zaufania. Widać, że doznana krzywda siedzi w nim głęboko. Dowiaduję się od niego, że ongiś najważniejszą częścią tego zabytkowego już kompleksu hydrotechnicznego był duży młyn zbożowy, częściowo posadowiony na palach. Ocalał on nawet wtedy, kiedy Niemcy wysadzili tuż obok most drogowy. Pracował



Szopa tartaku wodnego w Chocińskim Młynie.

Fot. R. Klim



Łódź Tekli Tybury z Bud nad j. Książę.

Fot. R. Klim

on jeszcze i to bardzo sprawnie w latach pięćdziesiątych. Tragedia przyszła wówczas, gdy zrobiono go kulakiem. Odebrano mu młyn, który bez gospodarza uległ szybkiej dewastacji. Później były różne zamiary dotyczące młyna: zamierzano go przenieść do skansenu, to znów na miejscu zorganizować punkt muzealny. Władysław Łosiński miał zostać kustoszem, ale po zrzeczeniu się prawa własności. A na to nie zgodził się jego dziadek **Walerian**. W rezultacie, z uwagi na krytyczny stan techniczny, w 1965 roku młyn rozebrano.

Nadal jednak pracuje tartak. Jego stare, autentyczne urządzenia są nadal sprawne. Najważniejsze jest tutaj przedsiębiorne koło wodne o średnicy 454 cm i głębokości 147 cm. Posiada ono aż 54 szuflad. Dalej idzie przekładnia zębata o średnicy 270 cm, małe, metalowe koło zębate o średnicy 47 cm, z dużym kołem napędowo-pasowym o średnicy 233 cm oraz oś przekładnika albo inaczej transmisja przekładnikowa z kołami transmisyjnymi. Stąd idzie napęd na korbówód, który porusza piłę ruchem posuwisto-poziomym oraz na wózek z niby skrzynią biegów, pracujący do przodu na luzie i roboczo wstecz do tyłu. Mechanizm działania skrzyni biegów uruchamiany jest za pomocą specjalnej korby i pierścieni z kołkami. Szybkość wózka jest zależna od sprzęgła ściernego na tarczy talerzowej. Jeśli znajduje się na dużym kole, to wózek chodzi szybciej, jeśli na małym — to wolniej. Koło wodne zamocowane jest na wspólnym wale z drewnianym kołem zębatym przekładni. Na drugim wale jest małe, metalowe koło zębate i duże koło napędowo-pasowe, które za pomocą pasa przenosi energię na wał transmisyjny o dużych obrotach i stąd na korbówód pily, który powoduje poziomy ruch pily do 400 posuwów na minutę. Drugi pas transmisyjny idzie na posuw wózka. Prawie wszystkie urządzenia tartaku, szczególnie koła i wały zostały wykonane z drewna. Na zewnątrz znajduje

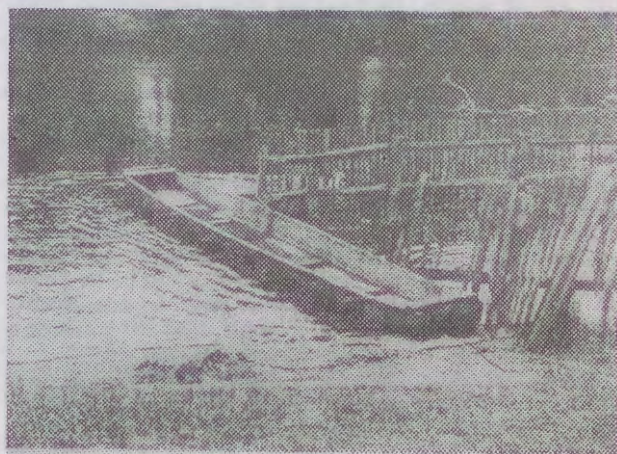


Antoni Stoltman na swojej łodzi dylowej nad j. Parzenica.

Fot. R. Klim

się koło wodne poruszane wodą Chociny. Pozostałe urządzenia ukryte są w obszernej szopie drewnianej, gdzie także jest miejsce na przecierany materiał drzewny. Całość robi duże wrażenie, a szczególnie ogromne koło wodne, swoim archaizmem, wielką prostotą, pomyslowością i precyzją rozwiązania technicznego. Według informacji W. Łosińskiego tartak liczy sobie ponad 200 lat, a tradycja młyna i domu młynarza sięga około 500 lat. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rozebranie młyna przyniosło ogromną stratę dla kultury narodowej. Można tylko usilnie życzyć, aby podobny los nie spotkał tartaku — wyjątkowego zabytku dawnej techniki wodnej.

Wreszcie, 14 lipca opuściłem już na dobre Stację Wodną PTTK w Swornigacich i popłynąłem w dół rzeki. Zarazem przy wylocie z Brdy z jeziora Witczyno w miejscowości Kamionka zobaczyłem 3 łodzie dylowe. W Płęśnie, po lewej stronie rzeki, napotkałem czwartą, a po prawej — piątą łódź tego typu. Ostatnia wzbudziła moje zainteresowanie swoją piękną linią. Wylądowałem obok niej, aby ją bardziej szczegółowo opisać. Dziób i rufa w tej łodzi są tępo ścięte. Dziobnicę i tylnicę stanowią deseczki o wymiarach odpowiednio: 60 x 26 cm i 50 x 23 cm. Każdą burtę stanowi jedna deska o największej wysokości 25 cm. Dno tworzą 2 deski. Jego największa szerokość wynosi 63 cm. Na dnie nabite są symetrycznie 4 listwy tzw. knagi. W partii środkowej występuje jedno żebro metalowe. Przy dziobnicy i tylnicy znajdują się ławeczki. Cała łódź zbudowana jest z drewna sosnowego.



Łódź dylowa Jana Borzyszkowskiego z Plesna.

Fot. R. Klim

Wiosłuje się w niej za pomocą tyczki czyli szacha, albo za pomocą wiosel z wolnej ręki, siedząc na ławeczce. Od właściciela tej łodzi, **Jana Borzyszkowskiego**, który wyszedł z pobliskich zabudowań dowiedziałem się, że łódź tę nazywaną także czołnem, zbudował w 1979 roku **Władysław Borzyszkowski**. Służy ona do zganiania gęsi z wody, do przewozu, a ongiś do łowienia ryb za pomocą kaszorka, ślepow i innych sieci.

Nie omieszkałem również, krótkim odgałęzieniem w lewo od szlaku głównego, wpaść na wyjątkowo malownicze, o zielonej wodzie, zatopione w głębokich lasach, z licznymi półwyspami i znakomitymi miejscami na biwak jezioro Plesno. Zauroczony z żalem opuściłem ten wspaniały zakątek. Gwoli ścisłości muszę odnotować, że przy wlocie na to jezioro dostrzegłem pod mostem szóstą łódź dylową, a siódmą już na jeziorze Małolańskim, przymocowaną z prawej strony przy gospodarstwie, już na głównym szlaku po opuszczeniu jeziora Plesno.

Na jeziorze Łąckim postanowiłem odwiedzić leśniczówkę w Drzewiczu. Jej czerwone, ceglane zabudowania widniały na lewo w kącie jeziora. Dobiełem do drewnianego pomostu. Na podwórku nie było już ogromnego jałowca, o którym informują wszystkie przewodniki. W tym roku usechl i przewrócił go wiatr. Nie istnieje również od 15 lat okazała lipa nad jeziorem Łąckim. Natomiast niedaleko nad jeziorem Wiel-

kie Krzywce, w odległości 1,5 km od Brdy, występują bobry, które sprowadzono w 1979 roku z nadleśnictwa Rytel.

Ponieważ dzień chylił się ku końcowi, postanowiłem zanoćować na pobliskim, administrowanym przez PTTK z Bydgoszczy polu biwakowym, rozłożonym na półwyspie pomiędzy jeziorami Łąckim i Dybrzkim.

Kolejnego dnia, 15 lipca, trasa mojego splywu wiodła z pola biwakowego w Drzewiczu przez jeziora Dybrzk i Kosobudno i dalej rzeką przez Brdę, Męcikał do Mylofu. Niewątpliwie z punktu widzenia nautologicznego, a więc moich zainteresowań zawodowych, bardzo interesujący okazał się Męcikał. W miejscowości tej bezpośrednio nad rzeką znalazłem skupisko 7 ludowych łodzi o cechach związanych tylko z tym miejscem.

Oczywiście trudno byłoby opisywać wszystkie. Aby jednak w jakimś stopniu scharakteryzować tę grupę, chciałbym zatrzymać się nad jedną zbudowaną w 1979 roku i stanowiącą własność **Leona Gierszewskiego**. Burtę tej łodzi są proste, zbudowane z jednej deski, a dziobnica z jednej deseczki o szerokości 8 cm i wysokości 17 cm. Tylńca jest szeroka, tępo ścięta, stanowi ją deska o szerokości 46 cm i wysokości 30 cm. Wysokość deski burty w najszerszym miejscu wynosi 26 cm, w rufie 27 cm, a w partii dziobowej 16 cm. W części środkowej, z przesunięciem do dziobu, znajduje się sadz o szerokości 54 cm i wysokości 20 cm. W sadzu od góry mieści się kłapa do otwierania, w postaci deski o szerokości 24 cm, która



Brygada rybacka ze Swornigaci połowiąca niewodem nad J. Witoczno.

Fot. R. Klim

wystaje poza szerokość sadza o 6 cm. Odległość sadza od dziobnicy wynosi 180 cm. Dno składa się z poprzecznych desek nabitych na płaszczyznę sztorcowe burt. Między deską burty a deskami dna wzdłuż burt nabite są wzdłużne listwy wzmacniające. Z wiązań poprzecznych występuje jeszcze ławeczka na rufie. Dziób i rufa w tej łodzi są lekko wzniesione. Jej wymiary są następujące: długość 506 cm, szerokość 83 cm i wysokość 29 cm. Aby obraz męcikałskich łodzi był pełen, przytoczę jeszcze wymiary łodzi **Jana Januszewskiego** i łodzi stacjonującej przy moście drogowym, odpowiednio: długość 595 cm, szerokość 74 cm i wysokość 24 cm. Druga łódź posiada także dziobnicę z klocka (szerokość u góry 10 cm, u dołu 6 cm i grubość 5 cm).

Tak się szczęśliwie złożyło, że podczas konserwacji przewróconej do góry dnem łodzi, spotkałem **Jana Januszewskiego**, 84-letniego rybaka z Męcikału. Opowiadał mi, że do 1936 roku rzeka od mostu kolejowego do Mylofu znajdowała się w rękach prywatnych rybaków. Ryby było wtedy w bród, a teraz przy takiej rabunkowej gospodarce, to nawet nie ma o czym mówić. Kiedyś to można było w 2 lub 3 noce złowić 300 kg węgorza w przystawie w dużym żaku. Januszewski wówczas dzierżawił swój odcinek od 1936 roku do wybuchu wojny. Po wojnie miał rewir do Mylofu, jezioro Kosobudno i połowę jeziora Dybrzk. Tak było do 1949 roku. Kiedyś tylko raz pod lodem zimą

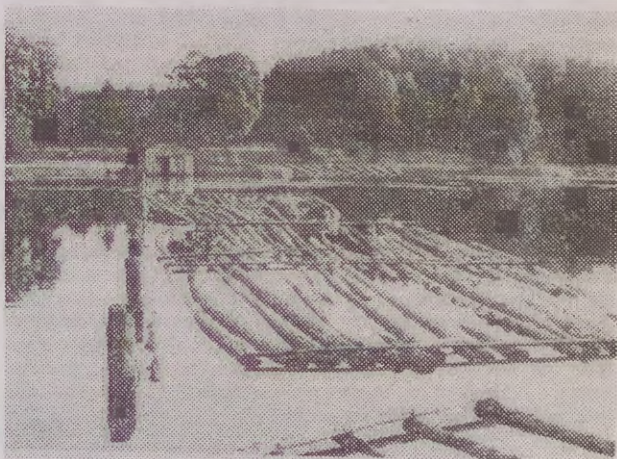


Fragment zapory w Mylofie (na dalszym z lewej — Zakład Hodowli Pstrąga).

Fot. R. Klim

i jesienią można było obłowić przywłoką, a teraz pod lodem łowi ile się da. Ongiś było pełno pstrąga, linna, węgorza, a szczupaka więcej niż płoci. Łowiono wówczas także klepami nieco mniejszymi od przywłók, o skrzydłach liczących sobie po 3—4 sążnie. Klepą łowiło się w dwie łodzie. Używano także ślepow, stawiało się żaki i sznury gruntowe na węgorza, a także wiancówek, coś w rodzaju małych żaków bez skrzydeł, które po bokach miały patyczki do rozciągania, posiadały tzw. serca z jednego i drugiego końca. W zimie pod lodem stosowano ościenie. Obok klep najważniejsze były jednak przywłoki i niewody. Dziób i rufa łodzi męcikałskich są dlatego tak podniesione, aby przód nie hamował, a tył nie garnął. Są one mniejsze od łodzi ze Swornigaci, dlatego że tamte pływają po jeziorach. Pierwotnie w naszych łodziach w dniu znajdowały się dwie deski wzdłużne, a dopiero grubo po 1945 roku zaczęto stosować deski poprzeczne. Oczywiście łodzie buduje się z desek sosnowych. Obecnie na rozległym terenie działa zespół 7 rybaków. Zastawiają oni mieroże, pęczki czyli sznury z hakiem na kawałku kory z rybą, a także posługują się przywłokami.

Od Męcikału daje się już odczuć obecność zapory w Mylofie. Rzeka na przestrzeni 6 km straciła swój naturalny charakter, nabrała wyrazu długiego, kiszkowego zalewu. Na tym odcinku naliczyłem jeszcze 4 łodzie podobne — mniej lub więcej — do łodzi męcikałskich. Przed zaporą spotykam duże nagromadzenie traw, czekających na lądowy już transport do tartaku w Rytlu. Namiot rozbiłem na terenie Studenckiej Bazy Turystyki Wodnej, położonej na niewielkim obszarze pomiędzy zaporą a wlotem kanału doprowadzającego czystą jeszcze wodę do położonego tuż obok największego w Polsce Zakładu Hodowli Pstrąga. Kilkunastometrowa zapora została zbudowana jeszcze w latach międzywojennych. Woda spiętrzonej Brdy splywa w szalonym pędzie i nieustannym grzmocie



Tratwy zgromadzone w Mylofie.

Fot. R. Klim

potężną betonową rynną. Ta budowla hydrotechniczna sama w sobie jest osobliwością krajoznawczą dużego formatu, nie mówiąc już o tym, że posiada cechy za- bytkowego obiektu. Z jej lewej strony znajduje się miejsce do wyciągania tratw. Szopy, mnóstwo kory. Ale głównym punktem tego miejsca jest pochylnia, którą tworzą umieszczone równoległe do siebie potężne kłody. Po nich wciąga się splawione drewno na ład. Jakiś smutek wieje z tego miejsca. Istnieją jeszcze krotowe, puste szopy i niestety, nie ma już kolejki wąskotorowej, którą zapewne wyeliminowały przekłete samochody. Tutaj, w tym miejscu, ongiś tak żywym, tętniącą energią, w sposób bardzo wyraźny wyczuwa się schyłek jakiejś epoki. Wydaje się prawie pewnym, że splaw drewna wyraźnie się już kończy, że są to jego ostatnie chwile przed przejściem do historii...

Następnego dnia po przenosce kajaka pożegnałem Myłof — ten wyjątkowy zbiór urządzeń hydrotechnicznych i osobliwości krajoznawczych — i popłynąłem wreszcie po „prawdziwej” Brdzie. Ale zanim to nastąpiło, tuż za zaporą otrzymałem potężną porcję emocji. Ostatnia rura — którą wypływa woda z kanału zasilającego w obieg zamkniętym Zakład Hodowli Pstrąga — uraczyła mnie tak silnym strumieniem i takim miotnięciem, że tylko dużej wprawie w sztuce kajakerskiej, datującej się jeszcze z czasów kiedy tę dyscyplinę uprawiałem zawodniczo w elbląskim „Piracie”, zawdzięczam, że wylałem cało z tej operacji. Wyobrażam sobie, co się dzieje tutaj podczas spływu nowicjuszy.

Do Jeziora Koronowskiego biwakowałem kolejno: na półwyspie w zakolu Brdy w okolicach Żukowa, na polu biwakowym w Woziwodzie i na terenie leśniczówki w Rudzkim Moście. Udało mi się szczęśliwie przepłynąć właściwą stroną niebezpiecznie bystrza pod mostem w Rytle. Za Bielską Strugą ominąłem bez awarii sterzące filary nie istniejącego mostu drewnianego, ukryte tuż pod powierzchnią wody.

Na odcinku do Rytle wiele radości sprawiły mi towarzyszące to z przodu, to z tyłu kajaka nury. Doliczyłem się ich 13. Naogładałem się do woli przewodnikowych krajobrazów. Mogę tylko potwierdzić te pełne zachwyty opisy. Pokonałem także niezliczoną ilość zwalonych drzew, blokujących regularnie szlak i tylko raz za Świtem tak się zakleszczyłem na podwójnym zawale, że długo musiałem się szarpać i z kajakiem i z rwącym prądem, zanurzony po pierś, aby wreszcie swobodnie ruszyć przed siebie. Tak prawdę mówiąc, byłem zdumiony oglądając tak ogromne ilości drewna nie wykorzystanego w sposób sensowny, gnijącego oraz bądź co bądź zanieczyszczającego szlak wodny. Czyżby Polska cierpiała na nadmiar tego surowca? Pytanie retoryczne. Przecież wiemy doskonale, że jest akurat odwrotnie. Prawda jednak okazała się bardzo prozaiczna i niezwykle prosta. Jak mi wyjaśnił leśniczy z Rudzkiego Mostu, nie zamierza on zajmować się wykorzystaniem tych drzew, no bo po prostu ludzie mogą mu się potopić. Cóż tutaj więcej można powiedzieć?

Na tym odcinku szlaku największe jednak wrażenie wywarły na mnie ogromne koła poruszane prądem rzeki w Płaskoszu. Usytuowane wzdłuż prawego brzegu rzeki, zaopatrzone w specjalne czerpaki, nawadniają one — jak później sprawdziłem — cały system stawów rybnych usytuowanych szeregowo przy rzece. Woda czerpana z Brdy spada na drewniane koryta odprawiające ją do stawów. Dopływ wody do stawów zsynchronizowany jest z odpływem, tak, że w tych zbiornikach istnieje możliwość wymiany wody w zależności od potrzeb. Całe rozwiązanie budzi zdumienie swoją prostotą i niezawodnością, a jednocześnie ekonomicznością działania. Siłą napędową tego urządzenia jest przecież energia rzeki, która nic nie kosztuje. Właścicielem stawów jest **Jerzy Zimianowski**, jednocześnie budowniczy wyżej opisanych turbin nawadniających. W Płaskoszu pracuje 6 turbin, natomiast jeszcze jedna — siódma o blaszanych łopatkach — zlokalizowałem w Rudzkim Moście.

Cały czas od Myłofu do Jeziora Koronowskiego niecierpliwie wypatrywałem obecności tradycyjnych łodzi ludowych o rodzimych, lokalnych cechach. Nies-

tety, tutaj się rozczarowałem, bo znalazłem tylko jedno takie miejsce przed Rudzkim Mostem, w odległości 7 km od centrum Tucholi, przy ul. Nad Brdą. Jednostka ta posiada dziób i rufę tępo ścięte. Dziobnicę stanowi deska o szerokości 51 cm i wysokości 22 cm oraz grubości 5 cm. Występują w niej od dołu schodkowane wycięcia o wysokości 7 cm, w które wchodzi końcówki pierwszych pasów poszycia burt. Tylnicę stanowi zaś deska o szerokości 73 cm, wysokości 30 cm i grubości 5 cm. Także w niej jest schodkowane wycięcie od dołu o wysokości 13 cm do końcówek poszycia. Tak więc dziób tej łodzi jest bardziej wyostrzony. Bury składają się z dwóch pasów poszycia, z których pierwszy ma w rufie szerokość 13 cm, a w dziobie 7 cm, natomiast drugi pas ma odpowiednio po 20 cm. Pasy te są łączone ze sobą na zakładkę, której szerokość wynosi 5 cm. Dno w tej łodzi składa się z 3 pasów poszycia połączonych na styk. Szerokość dna przy tylnicy wynosi 62 cm, w części środkowej 68 cm, a przy dziobnicy 48 cm. Dno jest wzmocnione 4 listwami symetrycznie rozmieszczonymi, przy czym dwie z nich umieszczone są bezpośrednio przy tylnicy i dziobnicy. Listwy wzmocniające dno nie dochodzą do burt i jest tu przerwa szerokości 5 cm. Dno jest lekko wzniesione w części dziobowej i rufowej. Z wiązań poprzecznych występują 3 ławeczki, dwie bezpośrednio przy dziobnicy i tylnicy umieszczone są w wycięciach w drugim pasie poszycia, trzecia — w partii środkowej łodzi z przesunięciem ku rufie. Do wiosłowania służy tyczka o długości 256 cm. Wymiary łodzi są następujące: długość 476 cm, szerokość 84 cm i wysokość 33 cm. Jej budowniczym jest **Wacław Szranka**, a właścicielem jest jego brat **Stanisław**, zamieszkały w Tucholi. Powstała ona w 1976 r. Zlokalizowałem jeszcze dwie podobne łodzie w tym rejonie. Przy okazji ich opisywania dowiedziałem się od **Zenona Dudziaka**, że w Brdzie występują jeszcze pstrągi, lipienie, lenie, plocie, szczupaki i kielbie.

Do łodzi tucholskiej swoim charakterem nawiązują także 3 jednostki, które dostrzegłem już na Jeziorze Koronowskim, tuż za mostem w Pile-Młynie. Mutacja tej łodzi jest wersja z sadzem, np. o numerze rejestracyjnym 05-3153 A. Tylnicę tej łodzi stanowi deska o kształcie trapezowatym. Podobny kształt ma dziobnica, tylko jest mniejsza. Bury wykonane są z 2 pasów poszycia łączonych na zakładkę, z tym, że drugi pas poszycia jest bardzo szeroki i prawie w całości przykrywa pierwszy. Dno zbudowane jest z 4 pasów poszycia łączonych na styk. Wzmocnione jest listwami w części dziobowej i rufowej. Z wiązań poprzecznych występują dwie ławeczki bezpośrednio przy dziobnicy i tylnicy oraz sadz w partii środkowej. Tuż za sadzem, od strony rufy zamocowane są uchwyty do dulek widełkowych. Łódź napędzana jest 2 wiosłami osadzonymi w dulkach. Generalnie można powiedzieć, że ten typ łodzi jest pierwowzorem, do którego w bardziej lub mniej udany sposób nawiązują swoją budową łodzie wędkarskie, których w początkowej partii Jeziora Koronowskiego naliczyłem 13. Duże ich skupisko występuje przy ujściu rzeki Kamionki.

Nad Jeziorem Koronowskim obozowałem na polu biwakowym za Zamrzenicą. Na mapie „Szlak wodny Brdy” (Wydawnictwo PTTK „Kraj”, 1984) nie jest ono zaznaczone. Przez tydzień mojego tu pobytu, w pobliskim Ośrodku Wczasów Bydgoskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Pomorze”, wisiała flaga oznaczająca bakteriologiczne skażenie wody i wykluczająca jakkolwiek kąpiel w Jeziorze Koronowskim. Podczas dalekich spacerów wzdłuż brzegów tego jeziora, jeziora Strzyżyny Wielkie i cyklu małych jezior w rejonie złotego szlaku z przerwaniem oglądałem ogromne ilości kikutów uschniętych drzew. Ich stan wskazywał na to, że leżały one lub stały bardzo długo. To oznacza, że nikt ich nie usuwa, nie widać ręki prawdziwego gospodarza. A przecież taka sytuacja powoduje reakcję łańcuchową, która przynosi dalsze i większe zniszczenia.

Od Redakcji: Artykuł Romana Klima pt. W kręgu Brdy otrzymaliśmy w listopadzie 1987 r., stąd też wiele osobistych refleksji autora nie odpowiada obecnej sytuacji.

Kajakiem po Mazurach

W dniach 24—31 maja 1986 r. w 8-osobowej grupie kolegów z Jastrzębia i Gdańska udaliśmy się czterema jedykami typu Puch i dwoma 2-osobowymi Neptunami na splyw kajakowy dość nietypową trasą Pojezierza Mazurskiego od jeziora Dadaż, rzeczką Dadaż, jeziorami: Tumiańskim, Pisz, Orzyc do Barczewa, Kiermas, Kalwa, Kiepunek, Leleskim, Gromskim, rzeką Saska, jeziorem Sasek Wielki, rzeką Wierzbną, jeziorem Sędańskim, rzeką Sawica do jeziora Sasek Mały i dalej Sawicą do Wielbarka. Razem 166 km.

Należy podkreślić, że jest to trasa dla smakoszy, lubiących przygodę, wysiłek, trud długich czasem przynosek, ale również rzeczywistego uroku przyrody, ciszy, czystych, nie zaludnionych jezior i rzeczek, a także cichych leśnych ostępów.

Uczestnicy tego splywu spotkali się na peronie dworca kolejowego w Olsztynie, skąd pociągiem dojechaliśmy do Czerwonki, gdzie po zorganizowaniu transportu dowieźliśmy sprzęt nad piękne jezioro Da-

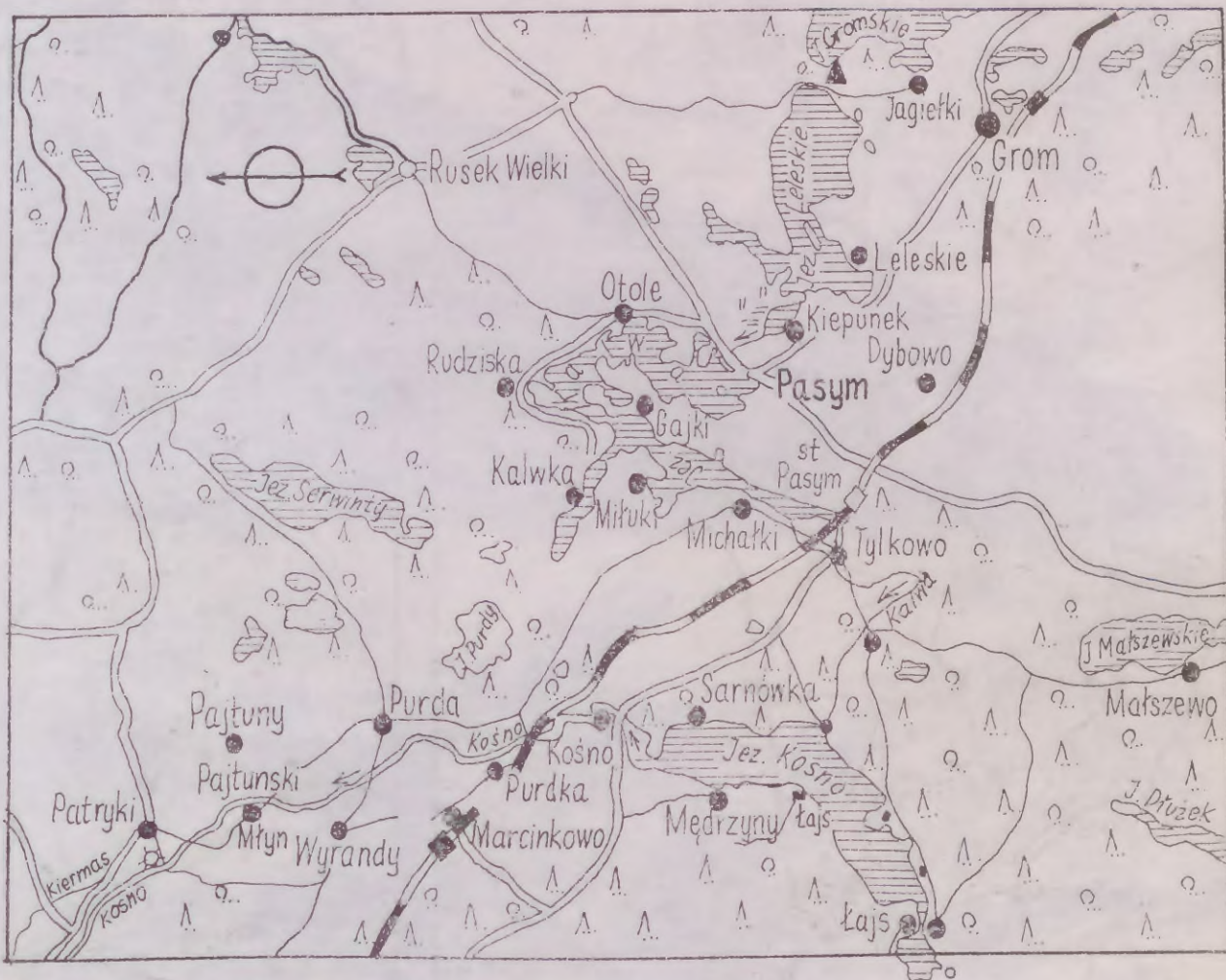
daj, o bardzo bogatej linii brzegowej, wielu czarujących zatoczek i piętnastu wyspach. Na wyznaczonym polu namiotowym podzieliliśmy się na dwie tury, najpierw jedynki, potem dwójki i wypłynęliśmy na jezioro celem jego opłynięcia.

Pogoda tego dnia była ładna, słoneczna, lecz wietrzna. Toteż jezioro zaprezentowało nam się w całej swej krasie, dostojności, ale i grozie. W drodze powrotnej przyszło nam walczyć z dużą falą i porywistym, silnym wiatrem. Pomimo fartuchów i tak byliśmy zmoczeni, bo — jak się już rzekło — silny wiatr, który nie ułatwiał płynięcia i znosił, oraz fala bryzgała na nas wodą, zwłaszcza z wiosel. Spokojny wieczór, przy zachodzącym za lasem słońcu, był dla nas najlepszą nagrodą za włożony w ciągu dnia wysiłek. To jezioro naprawdę warto zobaczyć i opłynąć.

Następnego dnia wypłynęliśmy z jeziora Dadaż na rzeczkę o tej samej nazwie. Oprócz bardzo urokliwych widoków na wiosenną zielen

i pagórkowaty teren wśród drzew i lasów, mieliśmy trochę pracy przy likwidowaniu zatorów na wodzie, przenoszeniu kajaków przez powalone drzewa i przebijaniu się na bystrym prądzie przez gęste krzaki. Wówczas wpadliśmy na odcinek Dadaży o typowo górkim charakterze. Koryto jej pełne głazów, prąd bystry i do tego meandry. Musieliśmy szybko opuścić nasze kajaki i spławiać je na długich cumkach rurowych, brodząc — oczywiście w gumiakach — po kamienistym dnie i w bardzo zimnej wodzie. Po pokonaniu tego szczególnie trudnego odcinka trasy wpłynęliśmy na ciche wody Jeziora Tumiańskiego. Odetchnęliśmy nieco, przy okazji rozpamiętując i omawiając na gorąco wrażenia i doznania. Palacze — wbrew zdrowemu rozsądkowi — raczyli się dymkiem.

Dalej płynęliśmy bardzo ciekawym jeziorem Pisz do jeziora Orzyc, gdzie na pięknej polanie w pobliżu ośrodka wypoczynkowego rozbiliśmy biwak. Przed nami rozciągał się wspaniały widok na uroczą zatocz-



kę tego kameralnego i wówczas jeszcze pustego jeziora.

Po zabiwakowaniu się zrobiliśmy jeszcze pieszą wycieczkę do odległego o 5 km Barczewa, miasteczka liczącego obecnie około 5 tysięcy mieszkańców. Przy okazji warto wspomnieć, że Barczewo otrzymało prawa miejskie w 1364 r., a w końcu XV w. było już obwarowane murami obronnymi. Do 1772 r. należało do biskupów warmińskich i było pod panowaniem polskim. Pierwotna jego nazwa brzmiała Wartenburg, którą spolszczono na Wartembork, ale komisja Urzędu Rady Ministrów przemianowała ją ku czci ks. Walentego Barczewskiego (1856—1928), wybitnego działacza i pisarza warmińskiego, na Barczewo. Tu urodził się Feliks Nowowiejski, autor melodii do „Roty” Marii Konopnickiej. Obok muzeum,

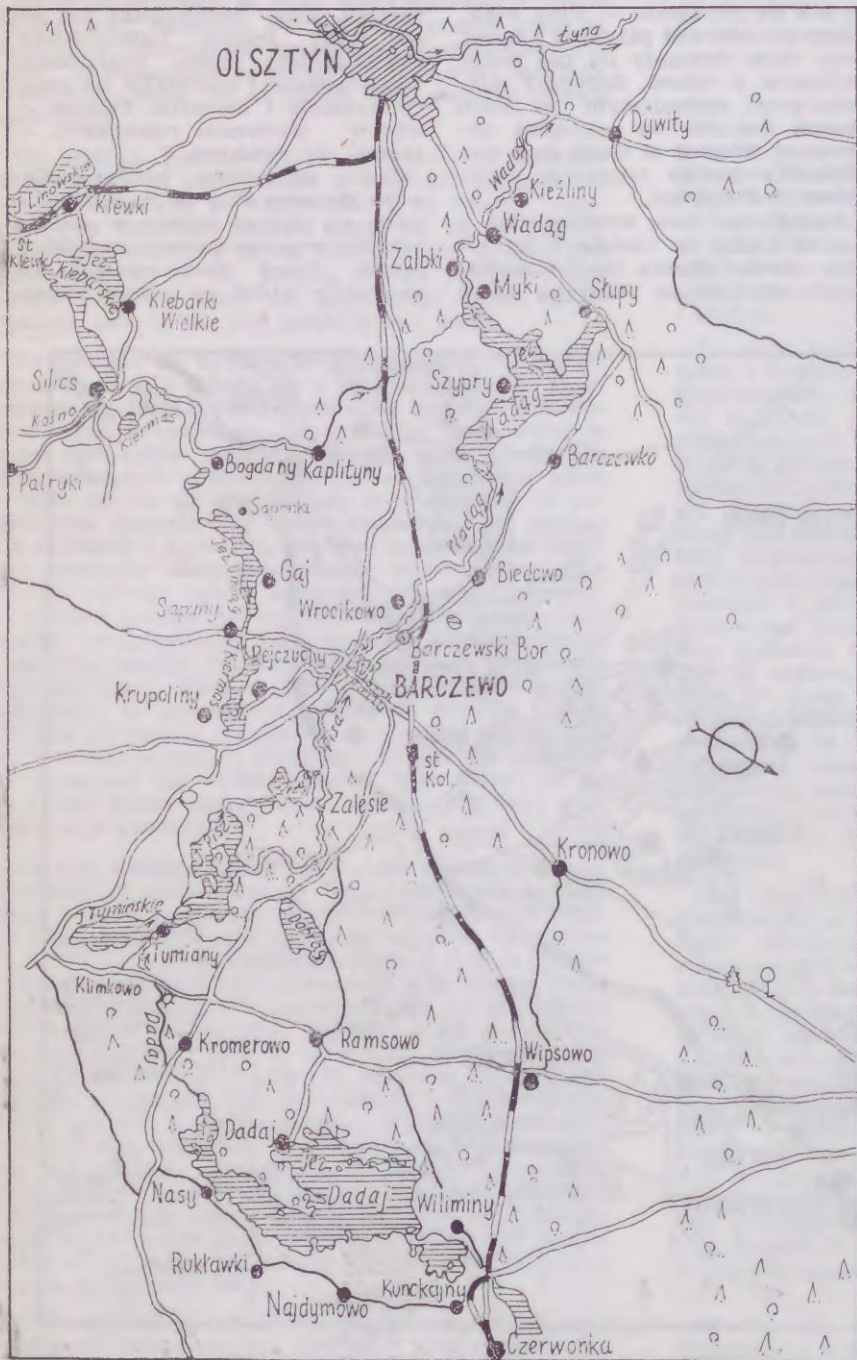
poświęconemu temu wybitnemu muzykowi, w Barczewie znajdują się jeszcze dwa piękne kościoły gotyckie.

Do końca jeziora Orzyc pozostało 600 m. Aby dostać się na dalszą planowaną trasę spływu, można było wyciągać wózki i przewieźć kajaki około 600 m w górę szosy w kierunku Barczewa i dopłynąć tam kajakiem lub skombinować podwodę. Wybraliśmy wariant drugi. Początkowo natrafiliśmy na trudności, wkrótce jednak nadażyła się nam okazja. Kierowca pustego, dużego samochodu ciężarowego podrzucił nas ze sprzętem na przedmieście Barczewa, nad brzeg rzeki Kiermas.

Zaopatrzwszy się w różne produkty i w świeże, pyszne pieczywo, wyruszyliśmy w dalszą drogę, tym razem pod prąd. Ciągle byliśmy sami, ale towarzyszyła nam cud-

na przyroda. Biwakowaliśmy na urokliwym, lewym brzegu jeziora Umlung — około 1,5 km od jego krańca — na zakwieconej polanie pod lasem, racząc się niezapomnianymi i niepowtarzalnymi widokami, upajając się wonią zewsząd otaczających nas kwiatów. Wspólny wieczór, przed namiotami, spędzany na wspominkach i rozmowach, nie zakłócany żadnymi obcymi odgłosami, tylko śpiewem ptactwa, pozostanie w naszej pamięci na długo. Było nam tak miło, że aż nie chciało się następnego ranka opuszczać tego pięknego biwaku. Jednak czas i dalsza trasa nagliły.

Wyruszyliśmy zatem z jeziora Umlung, by dotrzeć do wąskiej i dość bystrej rzeczki Kiermas, płynącej wśród wzgórz pokrytych łąkami zbóż i kwitnącym żółto rzepakiem odbijającym się jak w lustrze w gładkiej wówczas tafli jeziora. Po pewnym czasie wpłynęliśmy na płytkie, rozległe rozlewisko, zarosnięte zewsząd sitowiem, wysoką trzciną. Mieliliśmy niemałe trudności,



aby wydostać się z tej matni. No, ale poradziłem sobie, trzeba było tylko trzymać się lewego brzegu, aby trafić na wypływ rzeki Kośnik.

Rzeka Kośnik, zwłaszcza na swym lewym odcinku, może zaspokoić wymagania nawet najwybredniejszego miłośnika przyrody. Meandrująca wśród stale zmieniających się oczerętów trzcinowych, to zbliżająca się, to znów oddalająca nas od łąk i pięknych lasów, wynagrodziła nam w pełni psującą się już pogodę, następujący chłód i siąpiący deszcz. Gdzieś około godz. 18 byliśmy przy moście na szosie Olstyn — Szczytno.

Po wyciągnięciu kajaków i szybkiej przekąsce, udaliśmy się na szosę na „upolowanie” jakiegoś środka lokomocji i transportu, który podrzuciłby nas do jeziora Kalwa odległego od tego miejsca o około 10 km.

Początkowo nie wyglądało to wesoło, ale opatrność przyszła nam z pomocą sama. W pobliżu mostu był parking, na którym stał ogromny samochód ciężarowy z taką przyczepą, załadowaną tylko częściowo — sedesami. Brak było tylko kierowcy, ale kręcący się w pobliżu chłopcy wskazali nam chwilowe jego miejsce odpoczynku nad rzeką. Bardzo sympatyczny kierowca rzekł: „Pomogę, oczywiście, nie ma sprawy” i po pół godziny załadowane kajaki wraz z nami mknęły szosą. A był już najwyższy czas, bo dzień miał się ku końcowi i znowu zanosilo się na deszcz. Ledwośmy rozbili namioty u gospodarza na jego łące na początku jeziora Kalwa, zaczęło padać.

To jezioro w kształcie stylizowanej litery L ma swój niepowtarzalny urok, nawet przy nie nadzwyczajnej pogodzie. Już na samym początku widać znad wzgórz wierzchołek kościoła w Pasymiu, który towarzyszy płynącemu jeziorem niaby latarnia morska przez długi czas aż do zakrętu, by potem już w całej okazałości pokazać się wraz z piękną panoramą miasteczka, w miarę zbliżania się do niego.

Po przeniesieniu kajaków około 100 m, w pobliżu młyna nad strugą po drugiej stronie szosy, dokonanych zakupach w miłym i schlud-

nym Pasymiu, wyruszyliśmy krętą strugą z niskimi kładkami do jeziora Kiepunek, a następnie na leżące wśród lasów jezioro Lelewskie. Przecinamy je następnie w poprzek i gdzieś w jego połowie lądujemy kajaki na czystej plaży przeciwległego brzegu.

Następnie przewozimy je na wózkach nad Jezioro Gromskie i przy blasku promieni już po mału chylącego się ku zachodowi słońca płyniemy ku ujściu rzeki Saska. Erzezi tego jeziora zapraszają wręcz do skorzystania z ich gościnności. Ale my chcemy zobaczyć i poznać jezioro Sasek Wielki. Z wielkim żalem opuszczamy jezioro Gromskie i płyniemy wiosłując pod prąd około 3 km rzeczką Saska, wijącą się wśród urokliwych łąk. Przy lekkiej fali w dziób, widząc malowniczo położoną na przeciwległym brzegu jeziora Sasek Wielki wieś, poszukujemy odpowiedniego miejsca na biwak.

Nadzieja na biwakowanie na ślicznie usytuowanej łączce opodal leśniczówki w końcu zatoki na lewym brzegu jeziora, mimo dostojności i elokwencji naszego komandora Tadzia, spala na panewce, bowiem młody leśniczy jest nieublagany i niesympatyczny. Jego urzędowa dum nie ma nic wspólnego z przyrodą i jej miłośnikami, choć wśród niej żyje. Nie zgadza się na rozbicie pięciu zaledwie namiotów na 10—12 godzin, choć pora jest późna i ziąb. Przychodzi nam płynąć jeszcze za cyplem w lewo około 2 km, aby zabiwakować na terenie opuszczonego ośrodka wypoczynkowego.

Wraz z lądowaniem kajaków zaczyna się atak niesamowitych watach ogromnych rozmiarów komarów. Czegoś podobnego dawnośmy nie przeżyli. Gotować przyszło się na ich przyjęcie w zamkniętych namiotach, inaczej zjadłyby nas żywcem. Toteż bez specjalnego żalu opuszczaliśmy najazut — naprawdę bardzo ładnego jeziora — niegościnniej brzeg, tym bardziej, że pogoda była już całkiem kiepska, było chłodno około 14°C i zanosilo się znowu na deszcz. Te parę kilometrów z wiatrem w plecy do ujścia strugi przebyliśmy szybko i jeszcze

na sucho. Wiszący w powietrzu deszcz przeistoczył się jednak niemal w ulewę i czort by go wziął, padał coraz intensywniej w miarę upływu czasu, psując nam wrażenia z trasy, zmuszając nawet do rezygnacji z jednego biwaku.

Na przenosce przy Pstrągowni, po wyjściu z kajaków, mimo fartuchów byliśmy całkiem przemoczeni i zziębnięci i dzwoniłymi zębami jak luźno poukładane w skrzyni butelki w wozie jadącym po wyboistej drodze. Dopiero parę lyków gorącej herbaty z rumem z nieociekniętego termosu uspokoiło tę „muzkę”.

W takich warunkach, przy stale spadającym słupku rtęci aż do + 4°C, przyszło nam przepłynąć jeszcze Sasek Mały i rzekę Sawica do Wielbarka, gdzie dotarliśmy około godz. 18, zziębnięci na kość i przemoczeni do cna. Szybko jednak stanęły namioty. W pośpiechu naciągaliśmy na siebie resztę suchych jeszcze ciuchów — swetry, dresy i kalesony, po czym raz dwa — po dużym lyku zbawczego płynu z termosu — zjedliśmy gorącą kolację. Mimo tego nikt z nas, już po dwóch godzinach jakiegoś się rozgrzali i doszli do siebie, nie biadolił, nie narzekał, a co najważniejsze nie złał nawet kataru.

Żeby być prawdziwym, chciałbym ostrzec przyszyłych spływowiczów, że na 1,5—2 km przed wpływieniem na jezioro Sasek Mały i cały jego lewy, krótki brzeg, to gęsto płynąca braja zanieczyszczeń i ścieków miejskich, nie oczyszczanych i wpadających z lewego brzegu do rzeki Sasek ze Szczytna. Tego się nie da ominąć, bo zmuszeni jesteśmy płynąć tamtędy i to przeżyć. To jedyny nieprzyjemny zgrzyt i niemile wrażenie na tej trasie.

W sumie jednak tę nietatwą, lecz piękną i nietypową trasę polecamy wytrawnym kajakarzom. Przy czym można ją przepłynąć również w odwrotnym kierunku z Wielbarka do jeziora Dada. Byłby tylko duży problem z pokonaniem rzeki Dada pod prąd.

Życzymy naszym naśladowcom doznania pięknych wrażeń i przeżyć!

Wielkopolska. Kwartalnik krajoznawczo-turystyczny, nr 17, październik — grudzień 1987, ZW PTTK Poznań, ss. 24, nakład 1000 egz.

Jak zwykle interesujący numer poznanskiego kwartalnika zawiera sporą porcję aktualności. Niedawno przeprowadzone regionalne imprezy PTTK-owskie przedstawiają: A. Kusz (rajd śladami Karola Libelta) i E. Nadolski piszący o III Forum publicystów krajoznawczych i o seminarium poświęconym pamięci gen. J. H. Dąbrowskiego. Warto dodać, że jednym z współorganizatorów tego ostatniego spotkania był gdański ZW PTTK reprezentowany przez przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Krajoznawczej Czesława Skonke. Prekursorowi wielkopolskiego baroku Krzysztofowi Bonadurze poświęca swój tekst J. Czechowski, a ciekawą informację o największej poznanskiej widokówce mówi tekst S. Anioły. Czytelnik kwartalnika znajduje tu również ilustrowaną notkę przedstawiającą nietypowy grobowiec patrioty — rotmistrza Franciszka Łąkiń-

skiego. P. Domachowski przekazuje relację z formującego się w Poznaniu Muzeum Kolejnictwa, a nasz współpracownik W. Lipniacki zwraca uwagę na dokumenty historyczne zwane ilustracjami traktując je jako ... pierwowzór współczesnej inwentaryzacji krajoznawczej. Numer zawiera ponadto wiele bieżących informacji, prezentując m.in. piórem T. Srogi koło PTTK przy KPRG w Manieckach. D. Żywicka w cyklu „Z żalobnej karty” upamiętnia sylwetkę zmarłego w ubiegłym roku prof. Waleriana Sobisiaka.

K. J.

Gdańsk — plan miasta. Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych, Warszawa — Wrocław 1988. Cena 230 zł.

Najnowszy plan Gdańska zawiera istotne zmiany jakościowe w porównaniu z planami poprzednimi (ostatni z 1984 r.). Przede wszystkim opracowanie redakcyjne przydało większego znaczenia barwie i łatwo teraz można dostrzec

skupiska zabudowy zabytkowej i mieszkalnej czy kompleksy przemysłowe i portowe. Tereny zielone zostały pogrupowane na parki, zieleńce, ogrody, lasy, łąki, roślinność wydumowa i cmentarze. Nowością jest zaznaczenie poszczególnych budynków wraz z numeracją największych z nich (np. w dzielnicach Zaspia i Przymorze), co niezmiernie ułatwia orientację w terenie. Naniesienie na plan tych i wielu innych jeszcze szczegółów było możliwe dzięki odpowiedniej skali mapy wynoszącej 1:15.000. Na uwagę zasługuje także starannie opracowana część tekstowa z zastosowaną bodaj po raz pierwszy w tego typu publikacji numeracją „stronic”, dzięki czemu czytelnik nie gubi się w poszukiwaniu potrzebnej informacji. Spis ulic — stanowiący żelazny element planu miasta — jest wydzielony kolorystycznie i konstrukcyjnie z pozostałej treści. W sumie zastosowanie innowacje zasługują na wyrazy uznania — szkoda tylko, że plan ukazał się w końcu sezonu (wrzesień 1988) i może być nieosiągalny dla naszych przyszłorocznych gości.

K. J.

Ignacy Prądzyński na Suwalszczyźnie

Nazwisko generała IGNACEGO PRĄDZYŃSKIEGO związane jest trwale z dziejami ziemi suwalskiej w pierwszej połowie XIX wieku. Autor projektu wielkiego kanału, także jego pierwszy budowniczy, mieszkał i pracował w Augustowie i jego okolicach w latach 1823—1826 oraz 1829—1830.

Z zachowanych raportów wysłanych z Augustowa do stolicy, listów matki oraz „Pamiętników” generała dowiadujemy się wielu ciekawych szczegółów dotyczących budowy kanału i życia prywatnego późniejszego bohatera spod Olszyny Grochowskiej, Igań i Ostrołęki.

Prądzyński przeżywał w Augustowie — jak podkreśla w swych pamiętnikach — najszcześniejsze lata życia, *kiedy z dała od szpiegów Nowosilcowa, w obliczu cudnej natury, dokonywał dzieła całego swego życia...* Młody pułkownik, zniechęcony do służby wojskowej, wypełnionej intrygami i niestannymi szykanami księcia KONSTANTEGO, zaczyna marzyć o cichym życiu rodzinnym na wsi. Daje temu wyraz w „Pamiętnikach”, w których pisze: *Sama budowa kanału miała trwać kilka lat, a po jej zakończeniu potrzebna była zawsze przy nim dyrekcja. Oczywiście było rzeczą, że ten go będzie budował, kto ułoży projekt, a że następnie do dyrekcji kanału nikt mi pierwszeństwa nie odbierze. Użyłem więc sobie przejście ze służby wojskowej do cywilnej, na stałego dyrektora kanału i uważając to za rzecz, która mnie chybić nie mogła, oświadczam się o rękę panny Emilii i marzę sobie przyszłość najszcześniejszą w otoczeniu owych lasów augustowskich, pilnując swego kanału i żyjąc w kole familijnym...*

Prądzyński przyjechał do Augustowa po raz pierwszy wiosną 1823 r. W porozumieniu z władzami wojewódzkimi i powiatowymi ustalił kolejność wstępnych prac projektowych, poprzedzających budowę kanału. Do najważniejszych czynności należały tu: objazd trasy projektowanego kanału na odcinku Biebrza — Niemen, uzyskanie zezwolenia od władz carskich na przekroczenie granicy między Królestwem a Cesarstwem Rosyjskim, wywłaszczenie i wypłata odszkodowań rolnikom na terenach zajętych pod budowę kanału, wytyczenie trasy i związany z tym wyrąb lasu i niwelacja terenu oraz zamówienie materiałów budowlanych, map i przyrządów pomiarowych.

W pierwszym raporcie przesłanym z Augustowa 15 czerwca 1823 r. do szefa Wojsk Inżynierskich gen. MAURYCEGO HAUKEGO donosi Prądzyński o rozpoczęciu rozpoznania terenu. W następnych raportach podaje kolejność ustalonych prac

wstępnych i przebieg ich realizacji. W jednym z nich wspomina, że *między Augustowem, Wigrami i Niemnem rozciąga się nieprzebyta puszcza, w której osiedla ludzkie należą do rzadkości. Ludność poza rolnictwem i rybołówstwem trudni się tu również wytopem żelaza z rud darniowych, które tu występują.*

Prądzyński nadmienia również, że *tylko jeden z przydzielonych mu 15 oficerów — kapitan Arnold — ma dobre przygotowanie techniczne i doświadczenie praktyczne w dziedzinie inżynierii lądowej i wodnej. Pozostali okazują jednak dobre chęci...*

Dalej wspomina o podjęciu rywalizacji z rosyjskim zespołem pomiarowym płk. ROESSNERA, który na zlecenie cara opracowuje równoległe drugi projekt kanału na tej samej trasie. Wiadomość ta pobudza ambicję Prądzyńskiego, aby szybciej i lepiej wywiązać się z powierzzonego mu zadania.

Prądzyński uskarża się w raportach na brak dokładnych map i przyrządów pomiarowych. Na skutek braku warstw wysokościowych na współczesnych mapach, w tym na mapie SOTZMANA z 1809 r., którą się posługiwał, zmuszony był na wykonanie pomiarowych prac triangulacyjnych; w tym celu prosi gen. Haukego o przydzielenie dobrych rysowników oraz dwu stolików pomiarowych. Prace projektowe są prowadzone w dwu zespołach roboczych: ppłk PRĄDZYŃSKI i ppor. PIEDZICKI oraz kpt. ARNOLD i ppor. HORAIN. Prądzyński nadzoruje całość robót, odbiera sprawozdania z wykonanych prac, sprawdza je i sporządza raporty do stolicy.

W raporcie z 15 lipca 1823 r. nasz bohater donosi o zakończeniu rozpoznania rzek Supraśli, Świsłoczy, Biebrzy, Łoposzny i Czarnej Hańczy. Wiadomość ta świadczy o rekordowym tempie prac, podobnie jak fakt, iż już w miesiąc po przyjeździe do Augustowa Prądzyński kończy ogólne rozpoznanie terenu i rysuje pierwszy szkic projektowanego kanału.

W kolejnym raporcie z 15 września donosi o prowadzeniu pomiarów w okolicy Augustów — jez. Wigry — Czarna Hańcza. Był to najważniejszy okres prac projektowych, ponieważ na tym odcinku występowało kulminacyjne wzniesienie działu wodnego Wisła — Niemen. Od prawidłowości pomiarów geodezyjnych na tej trasie zależało całe rozwiązanie hydrotechniczne kanału.

Jak okazała przyszłość, Prądzyński stanął na wysokości zadania. Wody w kanale starcza po dzień dzisiejszy, mimo katastrofalnego pogorszenia się stosunków wodnych w całej Europie.

O wielu szczegółach związanych z pracą i życiem Prądzyńskiego w lasach augustowskich dowiadujemy się z jego listów do ukochanej matki, z którą przez cały czas pobytu w Augustowie korespondował. W liście do niej datowanym 11 września 1823 r., pisany po powrocie z puszczy, skarży się na uciążliwość prac pomiarowych w niezwykle ciężkim terenie. W zakończeniu tego listu dodaje, że *z wyczerpania nie może już dalej pisać...*

Trzeba tu podkreślić, że Prądzyński — jak to wynika z opracowanych znacznie później „Pamiętników” — nie cieszył się nigdy dobrym zdrowiem. Często dawały o sobie znać trudy kolejnych kampanii wojennych, w których brał udział. W Augustowie odnowiła się mu rana odniesiona pod Borysowem, podczas kampanii 1812 r., co bardzo utrudniało wykonywanie wszelkich czynności w ciężkich warunkach terenowych Puszczy Augustowskiej.

Nadeszła późna, deszczowa jesień 1823 r. W listopadzie kiedy prace stały się bardzo uciążliwe, pułkownik zwraca się do gen. Haukego z prośbą o odwołanie zespołu pomiarowego do Warszawy, ażeby tam w okresie zimy wykończyć ostatecznie projekt kanału. W Augustowie ma jedynie pozostać podoficer JAN RAKUSA, który przy współudziale komendanta weteranów augustowskich miał się zająć szczegółowymi pomiarami jezior Wigry, Serwy, Sajno, Białe, Studzieniczne i pozostałych na trasie Augustów — Mikaszówka. Prace te polegały na zdejmnowaniu i pomiarze jezior wraz z określeniem ich głębokości oraz zbadaniu prądów wód, wylewów i roztopów wiosennych, przyborów wód i rozległości wylewów w tym okresie.

Podczas zimy 1823/1824 r. Prądzyński opracowuje w Warszawie szczegółowy memoriał budowy kanału w języku francuskim. Wiosną 1824 r. projekt zostaje uzupełniony danymi zebranymi w Augustowie przez Rakusę i przedstawiony księciu Konstantemu. Po tym zatwierdziła go ostatecznie Rada Administracyjna Królestwa Polskiego 27 lipca 1824 r.

Godny podkreślenia jest fakt, że Prądzyński wykonał w całości projekt kanału, łącznie z niezbędnymi pomiarami terenowymi, w okresie niespełna jednego roku. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ówczesne trudności komunikacyjne oraz prymitywne w stosunku do obecnych instrumenty pomiarowe, to trzeba uznać, że był to wyczyn wprost rekordowy, świadczący o wybitnych zdolnościach i nieprawdopodobnej wprost pracowitości projektanta. Należy pamiętać, że Prądzyński nie był specjalistą w dziedzinie prac hydrotechnicznych, w związku z

czym powierzenie mu opracowania projektu kanału było dla niego nie lada problemem. Sam zresztą wspomina w „Pamiętnikach”, że dopiero w drodze z Warszawy do Augustowa, wiosną 1823 roku, uczył się z zagranicznych ksiąg zakładania kanałów, prostowania rzek.

Wiosną 1824 r. Prądzyński wraca do Augustowa i nadal nadzoruje całokształt prac związanych z budową kanału. Latem tegoż roku przystępuje do realizacji swych planów ostatecznego osiedlenia się w Augustowie. Z listu do matki z 27 listopada 1824 r. dowiadujemy się, że nabył w tej miejscowości posesję, w skład której wchodziły dom z oficyną oraz stajnia z wozownią. Dworek był drewniany, obsadzony drzewami i kwietnikami. W ogrodzie założył Prądzyński inspekty i zasadził 30 drzew owocowych. Była tam również sadzawka, a od ulicy szpaler włoskich topoli. Inwentarz żywy składał się z psa Boutona, 5 koni, 2 krów oraz drobiu. Zapobiegliwy gospodarz sprowadził również z Warszawy meble oraz fortepian dla przyszyłej żony. Z tego samego listu dowiadujemy się, że pułkownik zaczął u siebie przyjmować oficerów nadzorujących prace przy budowie kanału.

Ślub pułkownika z panną EMILIĄ RUTKOWSKĄ z Miedzechowa

miał miejsce 20 września 1825 r. Wkrótce po weselu zabiera Prądzyński młodą żonę do Augustowa; zaledwie kilka tygodni po ślubie spada na młodą parę złowroga wiadomość. Książę wzywa pułkownika do natychmiastowego stawienia się w stolicy. Prądzyński domyśla się, że chodzi tym razem nie o kanał, a o jego udział w przygotowaniach do powstania.

Pobyt pułkownika w Warszawie przedłuża się. Zrozpaczona żona śle z Augustowa tęskne listy. Wreszcie wyrusza do Warszawy. Małżonkowie zamieszkują tam razem od Nowego Roku 1826 r. Po długotrwałym śledztwie, 26 lutego, Prądzyński zostaje uwięziony w klasztorze karmelitów na Lesznie.

W pamiętnikach opisuje Prądzyński szczegółowo pobyt w więzieniu, aż do uwolnienia w 1829 r. Pani Prądzyńska wynajmuje w międzyczasie mieszkanie na Lesznie, na wprost więzienia. Małżonkowie utrzymują ze sobą kontakty drogą korespondencyjną. Pocztę przynosi w obroży mądry i wierny pies Bouton. Z czasem małżonkowie widują się osobiście dzięki przekupieniu straży więziennej przez pułkownika. Po zakończeniu śledztwa Prądzyński zostaje zwolniony z więzienia i decyzyją ks. Konstantego ponownie delegowany do Augustowa.

Do czasu jego aresztowania całością robót przy budowie kanału kieruje gen. JAN MALLET, Francuz, który przyjął obywatelstwo polskie. Mallet jest zaskoczony powrotem Prądzyńskiego i stosunki pomiędzy nimi nie układają się najlepiej. Prądzyński zajmuje się głównie likwidacją i wykupem gruntów przeznaczonych pod kanał.

Pobyt pułkownika w Augustowie trwa nieprzerwanie aż do wybuchu rewolucji listopadowej 1830 r., kiedy to z rozkazu naczelnego wodza zostaje powołany do sztabu głównego wojsk powstańczych.

Po klęsce powstania Prądzyński nie wraca już do Augustowa, z którym wiązał swe plany życiowe. Jego dom przy ul. Krakowskiej (obecnie Wojska Polskiego) został spalony i spustoszony przez wycofujący się z Rajgrodu na Litwę korpus gen. SACKENA w maju 1831 r.

General Prądzyński pozostawił po sobie na Suwalszczyźnie trwałą i chwalebą pamiątkę — jest nią czynny do dziś i dobrze spełniający swą rolę Kanał Augustowski.

Literatura: Czesław Bloch: Gen. Ignacy Prądzyński (1792—1850), Warszawa 1974; Ignacy Prądzyński: Pamiętniki, t. I—IV, oprac. Bronisław Gembarzewski, Kraków 1909.

Jerzy Kuligowski

Technika video w pracy krajoznawczej

Zbliżający się Kongres Krajoznawstwa Polskiego w 1990 roku ma określić nowe, odpowiadające przemianom społecznym i gospodarczym kraju kierunki i metody działalności Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego oraz całego polskiego ruchu społecznego działającego na rzecz idei i praktyki upowszechniania wiedzy o kraju przez oparte na ponad stoletniej tradycji polskie krajoznawstwo.

Krajoznawstwo, jako specyficzna teoria i praktyka realizowana przez PTTK, ukształtowało dotąd pewien tradycyjny zestaw metod oddziaływania społecznego w dziedzinie poznawania kraju, przemienne wykorzystywany przez wiele innych organizacji społecznych, szkoły i szeroko pojęty społeczny ruch oświatowy i kulturalny. Prelekcja, wycieczka, zlot, rajd, zbieractwo, kolekcjonerstwo, fotografia krajoznawcza, barwne przeźrocza, rzadziej amatorski film krajoznawczy i bardzo rzadko zapis magnetofonowy wyczerpywały w zasadzie zbiór środków oddziaływania krajoznawczego. Uzupełniały go publikacje krajoznawcze w czasopiśmie o niewielkim nakładzie i zasięgu społecznym, przewodniki turystyczne

realizowane metodycznie głównie przez własne wydawnictwo PTTK „Kraj” i widokówki, coraz częściej wypierane przez technicznie lepiej przygotowane instytucje niż PTTK-owskie zakłady „Foto-Pam”.

Obecnie rozwój techniki, a zwłaszcza elektroniki, stwarza polskim krajoznawcom możliwość zintensyfikowania popularyzacji szeroko pojętego polskiego krajoznawstwa i dokumentowania jego przemian. Technika video bowiem — szybkie i barwne, ruchome i dźwiękowe utrwalanie obrazów na taśmie magnetycznej — stwarza nie spotykaną dotychczas szansę realizacji wielu celów i zadań w niewspółmiernym do stanu obecnego zakresie. Obok wielu innych zalet czysto technicznych, zawiera ona w sobie szczególnie nośnik przyciągający. Odpowiada fascynacji jaką młodzież dąży do elektroniki, a w połączeniu z treściami polskiego krajoznawstwa, może być nowym źródłem wielu efektywnych oddziaływań wychowawczych. Młodzież — to przecież ponad 50% członków PTTK.

Dotychczas, bardzo nieśmiało i jakby bez istotnego przekonania centralnych władz PTTK, powstają samorzutnie środowiska krajoznaw-

ców zainteresowane praktycznym wykorzystaniem techniki video w pracy krajoznawczej i organizacyjnej. Nie są one jednak zdolne z wielu powodów, w tym finansowych, do przekazania wartości tej techniki szerokiemu ogółowi członków PTTK.

Aczkolwiek długo jeszcze w polskich warunkach krajoznawstwo wykorzystywać będzie barwne przeźrocza i sporadycznie amatorski film krajoznawczy, to w miarę upływu czasu będą to działania z konieczności, nie fascynujące już współczesnego odbiorcy i coraz mniej przekonujące co do treści.

Tymczasem stosowanie techniki video w szczególności umożliwia:

- uzyskanie barwnego, ruchomego obrazu udźwiękowionego niemal natychmiast, bez długich oczekiwań na efekt obróbki fotochemicznej stosowanej przy materiałach światłoczułych;
- uzyskanie równocześnie z obrazem dźwięku;
- bezpośrednie, natychmiastowe sprawdzenie w kamerze uzyskanego efektu;
- bezpośrednią po zapisie projekcję obrazu przy użyciu magnetowidu i odbiornika telewizyjnego.

Inne zalety to: możliwość natychmiastowej konfrontacji efektów z zamierzeniem, dokonywanie korekt w miejscu dokonywania zapisu, a nawet częściowy montaż elektroniczny obrazów bezpośrednio w kamerze. Wymienione osoby zapisu obrazu na taśmie magnetycznej jednoznacznie ukazują wyższość techniki video nad tradycyjnym filmem amatorskim i fotografowaniem na przeźroczkach barwnych.

Krajoznawcze utrwalanie stanów faktycznych towarzyszące turystyce, realizowanej zwłaszcza w formie zbiorowej w kołach i klubach PTTK, obejmowało dotychczas głównie dokumentowanie elementów atrakcyjności poznawanych terenów (kraj-obraz, pomniki przyrody, zabytki architektury, miejsca pamięci narodowej) oraz przebiegu imprez i uroczystości. Te obszary utrwalane dotychczas w sposób tradycyjny uzyskują przez zastosowanie techniki video inną siłę oddziaływania, właściwą dla filmu dokumentalnego. Inny, dotychczas marginalnie wykorzystywany w PTTK obszar, to film instruktażowy, zwłaszcza dla wszystkich dyscyplin turystyki kwalifikowanej.

W pierwszym etapie — moim zdaniem — koła i kluby będą wykorzystywać technikę video do zapisu imprez turystycznych w formie migawek z różnych ich etapów, z natychmiastowym zapisem dźwięku lub czytaniem komentarzem oraz do utrwalania istniejącego stanu elementów atrakcyjności krajoznawczej terenu imprez, architektury, przyrody, tablic pamiątkowych, pomników itp. Dopiero w drugim etapie, po nabyciu doświadczenia technicznego, mogą być zapisy utrwalające sylwetki zasłużonych krajoznawców, twórców ludowych, a także wykonywane filmy krajoznawcze, wielowątkowe o miastach, interesujących wsiach, wielowątkowe z zakresu zjawisk społecznych i kulturowych interesujących krajoznawcę. Stopień złożoności niektórych z tych zamierzeń wymagać będzie jednak znajomości zasad techniki filmowania, a także warunków rządzących filmem jako środkiem masowego przekazu w sferze kultury.

Istotnym zagadnieniem dla dalszej działalności PTTK będzie kwe-

stia utrwalania na taśmie magnetycznej zasobów archiwalnej dokumentacji organizacyjnej i krajoznawczej ze zbiorów pracowni krajoznawczych. Wiele dokumentów z historii społecznego ruchu krajoznawczego i turystycznego nie jest szerzej popularyzowanych — jak wiadomo — z przyczyn technicznych, np. przeźrocza wykonane w jednym egzemplarzu, archiwalne akta, fotografie i dokumenty z początków historii turystyki i rozwoju PTTK, kolekcje odznak, zabytkowych i unikatowych przedmiotów kultury materialnej, zbiory biograficzne, a także izby pamięci i muzea PTTK.

Takie sposoby wykorzystania techniki video w ramach działań organizacyjnych ogniw PTTK nie przekraczają możliwości technicznych, finansowych i kadrowych Towarzystwa. Skupia bowiem ono, zwłaszcza w miastach, członków o różnych zawodach i umiejętnościach profesjonalnych, którzy mogą — w ramach swoich zainteresowań turystycznych i krajoznawczych — zrealizować właściwy zapis przy użyciu techniki video. Świadomie pomijam tu określenia „film”, bo ten kojarzy się z pełną gamą technicznych, realizatorskich i reżyserskich umiejętności. Można założyć, że w odniesieniu do wyszczególnionych uprzednio obszarów wykorzystania techniki video, wystarczające będą umiejętności na poziomie zaawansowanego amatora. Ujawnią się również inicjatywy fotografów krajoznawców oraz tych członków PTTK, którzy film krajoznawczy realizowali w sposób tradycyjny.

Zasygnalizowane tu możliwości zastosowania techniki video w krajoznawstwie wymagać będą ustaleń przez Zarząd Główny i zarządy wojewódzkie PTTK pewnych zasad związanych z tą działalnością, zwłaszcza uregulowania kwestii gospodarki środkami finansowymi. Uważam, że centralnego uregulowania wymagają następujące problemy:

● wyposażenie regionalnych pracowni krajoznawczych PTTK w sprzęt (kamera, magnetowid, telewizor) oraz finansowanie tej działalności. W dalszej kolejności te uregulowania powinny obejmować także inne ogniwa organizacyjne PTTK;

● zasady dystrybucji nagrań video (filmów) w ramach PTTK i poza organizacją w celach popularyzatorskich, z uwzględnieniem przepisów prawnych o dystrybucji filmów i ochronie praw autorskich;

● produkcja filmów krajoznawczych i instruktażowych przez PTTK dla potrzeb szkół i innych organizacji społecznych upowszechniających krajoznawstwo;

● organizowanie specjalistycznych szkoleń i kursów dla realizatorów PTTK-owskich filmów krajoznawczych;

● prezentacja filmów krajoznawczych w TV;

● zaliczenie realizacji filmów techniki video do działań popularyzatorskich Towarzystwa, podobnie jak publikacje książkowe i prasowe oraz objęcie tej działalności systemem wyróżnień corocznych przez Zarząd Główny PTTK.

Uwzględnienie wyżej przedstawionych problemów i uwag jest konieczne dla skoordynowania efektywnej i mającej perspektywę działalności, bez której PTTK nie będzie w stanie dotrzymać kroku przemianom, jakie zachodzą w zakresie oddziaływania na świadomość krajoznawczą społeczeństwa polskiego.

Z przyczyn zapewne materialnych powszechne zastosowanie techniki video nie nastąpi zbyt szybko, ale już dzisiaj należy podjąć wstępne działania i rozwinąć w tym zakresie dyskusję, by jak najszybciej znaleźć właściwe formy i zakres w pracy krajoznawczej PTTK. Sądze, że jest to jedna z wielu dróg poszukiwań zdynamizowania polskiego krajoznawstwa, które w niedalekiej przyszłości — mam tu na myśli Kongres Krajoznawstwa Polskiego w 1990 r. — będzie musiało przedstawić program odpowiadający aspiracjom i potrzebom młodego pokolenia.

Od Redakcji: Artykuł J. Kuligowskiego dyskusji na temat nowych form i metod „Technika video w pracy krajoznawczej” traktujemy jako przyczynek do w pracy krajoznawczej na łamach naszego kwartalnika, do której zapraszamy naszych P.T. Czytelników.

W lutym bieżącego roku dokonano w Wydziale Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie podsumowania działalności inwestycyjnej w województwie koszalińskim w 1987 r.

Z większych inwestycji oddanych do eksploatacji wymienić należy zajazd „Morena” w Kłosie koło Sianowa, wielofunkcyjny budynek obsługi plaży OSiR w Darłównu, 7 sanitariatów w rejonie plaż nadmorskich, stolówkę internatu sportowego OSiR w Białogardzie, pawilon sanitarno-gospodarczy na stadionach OSiR w Białym Borze i Polczyniu Zdroju oraz Klub Olimpijczyka OSiR w Świdwinie.

Bernard Konarski

W dniach 20—21 lutego 1988 r. odbyły się uroczystości związane z obchodami XX-rocznicy powołania Oddziału PTTK w Trzebiatowie. Z tej okazji Oddział otrzymał list gratulacyjny od wicewojewody szczecińskiego dr. Tadeusza Kluki. Zenon Adameczyk i Wacław Jocz otrzymali dyplomy ZG PTTK, Antoni Krzywicki — srebrną Odznakę PTTK, Bożena Ogińska i Henryk Cirocki — odznakę „Zasłużony w pracy wśród młodzieży”, Halina Arendarczyk, Eugenia Nowakowska i Mieczysław Arendarczyk — odznakę „25 lat w PTTK”. Ponadto 9 osobom i 10 zakładom i szkołom wręczono dyplomy i listy gratulacyjne.

Bernard Konarski

Informator Krajoznawczy nr 52. Oddział Wrocławski PTTK. Wrocław 1988. Stronic 48, cena 70 zł.

Numer prawie w całości poświęcony jest mało znanym zabytkom ziemi wrocławskiej. Wyjątek stanowi niezwykle interesujący szkic T. Kusiaka o rodzinie Hauptmannów żyjącej onegdaj „w celniku Karkonoszy”, z której to rodziny wywodzi się laureat literackiej Nagrody Nobla — Gerhard. A. Dobrzyński wy-czerpująco pisze o kamiennych płytach z rytym krzyża zlokalizowanych na terenie Dolnego Śląska, a nad zagadką innego kamiennego zabytku z Borowa zastanawia się A. Kwaśniewski. O obiektach znajdujących się w stanie ruiny lub wręcz nieistniejących piszą S. Jastrzębski (Kalwaria w Pławnej), K. R. Mazurski (Zamek Karsfried nad Nysą Łużycką) i R. Wytyczak (Zapomniane pamiątki wrocławskie).

K. J.

Ignacy Żniński – ojciec polskiego krajoznawstwa w Grudziądzu

W październiku 1986 r. minęła 55-letnia rocznica śmierci **Ignacego Żnińskiego**, dziennikarza, historyka, działacza narodowego, związanego m. in. z Wielkopolską i Pomorzem Nadwiślańskim. W dziejach Grudziądza zapisał się on głównie jako autor pierwszego w języku polskim przewodnika turystycznego o tym mieście. Słusznie więc uważany jest za ojca polskiego krajoznawstwa w Grudziądzu.

Ignacy Żniński urodził się 29 lipca 1869 r. w Gnieźnie w rodzinie rzemieślniczej. Z domu rodzinnego wyniósł przywiązanie do języka ojczystego, ziemi rodzinnej i Polski. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego przez kilkanaście lat pracował jako nauczyciel w szkolnictwie powszechnym na terenie Wielkopolski i Śląska. Podobnie, jak wielu polskich nauczycieli pracujących w pruskim szkolnictwie, miał zatargi z władzami oświatowymi. Patrzyły one niechętnie na jego kontakty z polskimi organizacjami gospodarczymi i kulturalno-oświatowymi, jak również na jego współpracę w charakterze korespondenta z prasą poznańską i „Wiarusem Polskim” w Bochum.

Szykany władz pruskich przyczyniły się do podjęcia przez niego decyzji o rezygnacji z pracy w szkolnictwie. Nastąpiło to w roku 1901. Pomimo zmiany zawodu, sprawy oświaty i szkolnictwa pozostały mu bliskie na całe życie. W późniejszych latach tym problemom poświęcił wiele swoich artykułów, publikowanych m. in. na łamach „Gazety Grudziądzkiej” oraz książkę „Nauka języka polskiego w szkołach pruskich”.

Dnia 4 lipca 1901 r. przybył I. Żniński do Poznania i został pracownikiem redakcji „Kuriera Poznańskiego”, kierowanej przez ks. **Kazimierza Zimmermanna**. Po pewnym czasie przeszedł do redakcji „Gońca Wielkopolskiego”. Z powodu zatargu z wydawcą „Gońca” **Bernardem Miłskim**, przeszedł wkrótce do redakcji „Pracy”, wydawanej przez **Marcina Biedermanna**.

Z Poznania 4 marca 1902 r. przeniósł się do Dortmundu (Zagłębie Ruhry). W mieście tym, zamieszkałym przez wielu polskich emigrantów, założył pismo „Dziennik Polski”. Zajmowało się ono sprawami politycznymi, społecznymi i ekonomicznymi emigracji polskiej w Nadrenii i Westfalii. Było organem tej części emigracji, która znajdowała się w opozycji do dziennika „Wiarus Polski” i jego wydawcy **Jana Brejskiego**. Pierwszy numer

„Dziennika” wyszedł spod pras drukarskich w maju 1904 r. Jego wydawcą i redaktorem w jednej osobie musiał walczyć od początku z trudnościami materialnymi. Pismo nie zdobyło sobie szerszej publiczności. Po prawie 2 latach istnienia czyli w 1906 r., przestało się ukazywać.



W tym samym roku Żniński przeniósł się do Bochum. Chwilowo zrezygnował ze stałej pracy dziennikarskiej. Od czasu do czasu ogłaszał korespondencje w „Zgodzie”, ukazującej się w Wanne (Nadrenia, obecnie: Wanne-Eickel) oraz w piśmie poznańskich. Wraz z **Sylwestrem Buszczyńskim** i **Stanisławem Kunzem (seniorem)** założył Bank Ludowy w Bochum, gdzie pracował jako urzędnik. Był też członkiem zarządu. Z czasem włączył się w nurt działalności Związku Polaków w Niemczech, czołowej organizacji emigrantów w Westfalii i Nadrenii, istniejącej od 1894 r., i stanął na czele grupy działaczy, którzy byli zwolennikami Narodowej Demokracji, w opozycji do ówczesnego prezesa Związku — **J. Erejskiego**. Po ustąpieniu **Brejskiego** nowym prezesem został Żniński. Dążył do połączenia Związku Polaków w Niemczech ze „Strażą”, co mu się nie udało.

W tych latach Żniński wiele podróżował po Westfalii i Nadrenii, organizując gniazda „Sokoła” i oddziały „Straży”, a także populary-

zował prasę polską wśród emigrantów, w tym także „Gazetę Grudziądzką”. Dla potrzeb „Sokoła” napisał broszurkę pt. „Idea sokoła”, której dwa wydania ukazały się w latach 1905—1907. Wydrukowana została ona w drukarni **J. Kawalera** w Oberhausen. Jako działacza społecznego spotykały go często szykany ze strony Niemców. Na porządku dziennym były rewizje w jego domu przeprowadzane przez policję w poszukiwaniu zakazanych wydawnictw.

W czasie pobytu w Bochum opracował i wydał drukiem dla dzieci emigrantów „Elementarz polski z obrazkami”. W skład swoich członków powołało go Towarzystwo dla Szerzenia Elementarzy Polskich na Górnym Śląsku, którego założycielem był dziennikarz **Józef Siemianowski**.

W związku ze zbliżającą się 500-letnią rocznicą bitwy pod Grunwaldem (1410—1910), szeroko propagowanej na ziemiach polskich wszystkich trzech zaborów, a także i wśród emigracji, napisał Żniński popularną pracę pt. „Krzyżacy. Krótka historia Zakonu Krzyżackiego w Polsce”. Wydał ją **W. Kulerski** w Grudziądzu (1908) w nakładzie 80 000 egz., z ilustracjami artysty malarza **Konstantego Górskiego**.

Książka ta wywołała szeroką dyskusję wśród niemieckich dziennikarzy i historyków związanych z Hakatą i ataki ich na jej autora. **J. K. Kaufmann**, pracownik i późniejszy dyrektor archiwum w Gdańsku, napisał nawet broszurę polemiczną pt. „Wie die Polen Geschichte machen?”, wydaną w Berlinie w 1909 r. Zarzucał on m. in. Żnińskiemu fałszowanie dzieł **Krzyżaków** i niedostrzeżenie ich roli w misji cywilizacyjnej na wschodzie Europy. Szereg napastliwych artykułów i not w stosunku do autora „Krzyżaków” ogłosił na łamach „Der Gesellige” w Grudziądzu redaktor naczelny tego pisma **P. Fischer**.

Drugą pracę Żnińskiego o podobnym tytule „Krzyżacy 1410—1910. W pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem...”, wydał w 1910 r. **B. Lewartowski** w Herne (Zagłębie Ruhry).

Żniński interesował się bliżej również sprawami ruchu śpiewaczego. Doceniał rolę pieśni ludowych w podtrzymywaniu tradycji polskich wśród emigrantów. Z myślą o towarzystwach śpiewawczych napisał i wydał broszurę „Polska pieśń ludowa” (Bochum 1910).

W 1910 r. został zaangażowany przez **W. Kulerskiego** na stanowisko

redaktora „Gazety Grudziądzkiej” i przeprowadził się do Grudziądza. W mieście tym mieszkał przy ul. Gosslera 1 (obecnie ul. Staszica). Od 1913 r. był też redaktorem „Przyjaciela Ludu”, mutacji „Gazety Grudziądzkiej”. Podobnie jak wszędzie, gdzie przebywał, rozwinął szeroką działalność w miejscowych organizacjach społeczno - oświatowych. Wstąpił do najstarszej polskiej organizacji na terenie Grudziądza — Towarzystwa Przemysłowców Polskich. W 1912 r. był prezesem jego zarządu. W latach 1911—1914 był prezesem Komitetu Towarzystwa Czytelni Ludowych na miasto Grudziądz, a w latach 1915—1916 prezesem Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia”. Należał też do grona działaczy miejscowego „Sokoła”. Kulerski wysyłał go często — ponieważ Żniński był dobrym mówcą — na wiece wyborcze, zebrania czytelników i tzw. mężów zaufania „Gazety Grudziądzkiej”. Z jego przemówieniami na wiecach i zebraniach polemizowała często prasa obozu przeciwników W. Kulerskiego.

W dniu 29 grudnia 1912 r. w Grudziądzu odbyło się wielkie zebranie mężów zaufania „Gazety Grudziądzkiej”. Przybyło na nie około 300 osób z terenu Pomorza Nadwiślańskiego i Zachodniego, Wielkopolski, Warmii, Mazur, Śląska oraz ze środowisk polskiej emigracji zarobkowej w Niemczech. Na zebraniu tym powołano do życia organizację polityczną pod nazwą Katolicko-Polskiej Partii Ludowej (KPPL). I. Żniński został wybrany sekretarzem jej Rady Głównej. Był

on jednym z autorów programu tej partii, opublikowanego w „Gazecie Grudziądzkiej” w numerze z 31 grudnia 1912 r.

Mieszkając w Grudziądzu interesował się sprawami i dziejami tego miasta. Spod jego pióra wyszedł pierwszy w języku polskim przewodnik turystyczny pt. „Grudziądz”. Ukazał się on nakładem i drukiem W. Kulerskiego w 1913 r. W przewodniku przypomniat polskie tradycje Grudziądza i ważniejsze jego zabytki, wiążąc je z nazwiskami polskich królów i starostów. Przewodnik obalał kłamstwa zawarte w niemieckim przewodniku o Grudziądzu pióra P. Fischera, podkreślając niemieckość tego miasta.

Mniej znane są dalsze jego prace: „Historia Grudziądza”, drukowana w odcinkach w „Gościu Świątecznym”, dodatku do „Gazety Grudziądzkiej” w 1913 r. i „Nauka języka polskiego w szkołach pruskich” (Grudziądz 1914).

W czerwcu 1916 r. wyprowadził się Żniński do Poznania, gdzie objął stanowisko redaktora „Gazety Narodowej”. Po zakończeniu I wojny światowej, z chwilą powstania Rad Ludowych w Wielkopolsce, został wybrany na członka Polskiej Rady Ludowej w Poznaniu. Po wybuchu Powstania Wielkopolskiego zgłosił się do pracy w odbudowującym się polskim szkolnictwie. Jako nauczyciel pracował jednak tylko kilka miesięcy. W tym okresie uzupełnił i poprawił swój „Elementarz polski z obrazkami”, zmieniając jego tytuł na „Nowy elementarz polski z obrazkami”. Ukazał się on drukiem i nakładem Księgarni Św.

Wojciecha w Poznaniu w 1921 roku.

W lecie 1919 r. wyjechał do Warszawy, gdzie został członkiem Mazurskiego Komitetu Plebiscytowego i kierował Wydziałem Prasowym. Po założeniu organu Komitetu — „Masurische Volkszeitung”, redagował to pismo wraz z Franciszkiem Mirosławem Leykiem.

Z Warszawy przez Olsztyn, gdzie przebywał w lipcu 1920 r., wyjechał do Kluczborka. Tam pracował jako publicysta w redakcji pisma plebiscytowego, wydawanego przez Polaków w języku niemieckim „Kreutzburger Zeitung”.

Po zakończeniu plebiscytu na Śląsku powrócił Żniński do Poznania i podjął pracę w redakcjach miejscowych pism. W 1925 r. przebywał w Pelplinie koło Tczewa i pracował w redakcji „Pielgrzym”. W latach 1926—1927 był redaktorem „Gazety Szamotulskiej”. W Szamotulach był działaczem lokalnych towarzystw społeczno - oświatowych. Opracował i wydał w 1927 r. „Pamiętnik Jubileuszowy Sokoła w Szamotulach (1887—1927)”.

Od 1927 r. do końca swojego życia pracował w Poznaniu, najpierw w redakcji „Kupca”, później „Nowego Kuriera”. Odnosił swoje kontakty z „Gazetą Grudziądzką” i publikował na jej łamach korespondencje o tematyce wielkopolskiej. Dla potrzeb redakcji „Gazety” opracował powieść J. I. Kraszewskiego „Lubonie”. Drukowała ją „Gazeta Grudziądzka” w odcinkach w 1927 r.

Ignacy Żniński zmarł 15 października 1931 r. w Poznaniu i został pochowany na Cmentarzu Garnizony.

Bernard Konarski

Andrzej Benesz

ANDRZEJ BENESZ urodził się 14 lutego 1918 r. w Tarnowie w rodzinie inteligenckiej. Po ukończeniu 8-letniego Gimnazjum Humanistycznego w Bochni w 1936 r. rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wybuch II wojny światowej przerwał jego studia. W okresie okupacji pracował jako robotnik przymusowy, a następnie jako kierowca. Działał też w ruchu oporu, jako żołnierz Armii Krajowej w Bochni.

Po wyzwoleniu włączył się w nurt przemian politycznych, wstępując w lutym 1945 r. do Stronnictwa Demokratycznego. Stał się współorganizatorem SD w Bochni. Wkrótce został sekretarzem Powiatowego Komitetu SD w Bochni, a następnie jego przewodniczącym i członkiem WK SD w Krakowie. Funkcje te pełnił społecznie, zawodowo pracując w „Społem”. Był jednocześnie radnym Miejskiej Rady Narodowej w Bochni, gdzie sprawował funkcję przewodniczącego Komisji Sanitarnej.

Z czasem został powołany do pra-



cy w aparacie SD. W 1946 r. przeniósł się do Szczecina, gdzie początkowo pracował jako kierownik planowania w Centrali Złomu. W następnym roku został terenowym inspektorem Centralnego Komitetu przy szczecińskim Wojewódzkim Komitecie SD. Od 1948 r. pełnił funkcję sekretarza WK SD w Szczecinie. Wydatnie przyczynił się do rozwoju Stronnictwa w województwie szczecińskim, a także życia społecznego i gospodarczego regionu szczecińskiego.

W 1952 r. Andrzej Benesz został wybrany sekretarzem WK SD w Koszalinie. Bardzo aktywnie włączył się w życie społeczne i gospodarcze Koszalina i regionu koszalińskiego. Był radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej, będąc członkiem Komisji Komunikacji i później Komisji Kultury. W 1954 r. obrano go prezesem Zarządu Okręgu PTTK w Koszalinie. Przez okres pełnienia tej funkcji doprowadził do powstania wielu oddziałów i kół PTTK, był inicjatorem i współorganizatorem

szeregu imprez turystyki kwalifikowanej — rajdów, zlotów, rejsów itp. Wskutek nadmiaru funkcji społecznych zrezygnował z prezesury, ale pozostał przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Ochrony Zabytków PTTK. Z perspektywy lat można bez przesady stwierdzić, że wniósł wielki wkład w organizację i rozwój PTTK w województwie koszalińskim.

W 1954 r. Andrzej Benesz założył w Koszalinie Oddział Polskiego Towarzystwa Archeologicznego, w którym pełnił funkcję prezesa. Tego samego roku na Kongresie SD wybrano go na zastępcę członka Centralnego Komitetu SD. W 1957 r. wybrano go posłem na Sejm z obwodów koszalińskiego.

Od 1958 r. pracował i działał jako sekretarz WK SD w Gdańsku. Wiele inicjatywy, wysiłku i serca poświęcił wówczas sprawom morza i gospodarki morskiej. Trzy lata później został członkiem Rady Naczelnej SD, a od 1962 r. — członkiem prezydium CK SD. W 1971 r. został wybrany wiceprzewodniczącym CK SD, a dwa lata później powierzono mu funkcję przewodniczącego CK.

Od 1971 r. był wicemarszałkiem Sejmu PRL. Jako przedstawiciel polskiego parlamentu wiele czasu i wy-

siłku poświęcał sprawie obrony pokoju i współpracy międzynarodowej. Był działaczem Polskiego Społecznego Komitetu Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Bardzo aktywnie działał w Prezydium Ogólnopolskiego Frontu Jedności Narodowej. W Sejmie pracował w kilku komisjach, ostatnio jako przewodniczący Komisji Nadzwyczajnej, która przygotowywała projekt ustawy o zmianie Konstytucji PRL.

Wiele lat pracy i uwagi poświęcił sprawom morza. W latach 1969—1971 pełnił funkcję przewodniczącego Klubu Poselskiego SD i jednocześnie przewodniczącego Sejmowej Komisji Gospodarki Morskiej i Żeglugi. Komisja między innymi z jego inicjatywy zajmowała się takimi sprawami, jak: przemysł stoczniowy, przetwórstwo rybne, tramping oceaniczny, konteneryzacja, małe porty polskiego wybrzeża, następcą „Batorego”, żegluga promowa do państw skandynawskich, problemy bytowe i socjalne marynarzy i rybaków oraz wiele innych. W tych sprawach działał również na forum Rady Morskiej TRZZ. Morze było dla niego wielką pasją osobistą, bowiem był jachtowym kapitanem żeglugi wielkiej, honorowym komandorem Yacht-Klubu „Posejdon”, a od 1973

r. prezesem Polskiego Związku Żeglarskiego.

Zainteresowania miał ogromne: był członkiem Głównej Rady Turystycznej GKKFiT, prezesem Towarzystwa Kultury Iberyjskiej, prezesem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Norweskiej, działaczem Ligi Obrony Kraju i honorowym członkiem Stowarzyszenia Geologów-absolwentów Uniwersytetu Wrocławskiego (tu kończył studia archeologiczne). Krótko przed śmiercią zakończył pracę naukową poświęconą etnogenezie Słowian w polskiej literaturze naukowej.

Za walkę w ruchu oporu, pracę zawodową i działalność społeczno-polityczną był wielokrotnie odznaczany. Posiadał Order Sztandaru Pracy I i II klasy, Krzyż Kawalerski i Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, Medal — Za Zasługi dla Obronności Kraju, Honorową Odznakę — Złoty Gryf Pomorski, Honorową Odznakę — Zasłużony Pracownik Morza i inne.

Zmarł 27 lutego 1976 r. w wyniku obrażeń doznanych w katastrofie samochodowej. Pochowany został w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach w Warszawie.

RECENZJE

Izabella Trojanowska, **Szwajcaria Kaszubska**. Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1987, ss. 152, zał. 1 mapka, nakład 20 270 egz.

Dokładnie po trzech latach od chwili wykonania recenzji wydawniczej ukazała się książka będąca po części przewodnikiem, po części informatorem turystycznym, pod mocno kontrowersyjnym i dawno przebrzmiałym tytułem „Szwajcaria Kaszubska”. Nie ma bowiem nic gorszego w regionalnym nazewnictwie geograficznym jak dowolne i nieuzasadnione wprowadzanie nowych nazw a jeszcze gorzej, kiedy przywraca się stare obce, nieuzasadnione i pretensjonalne nazwy, dla określenia obszaru, dla którego istnieją już nazwy ogólnie przyjęte i to za zarówno w turystyce jak i w nauce.

Aby tego uniknąć, w recenzji wydawniczej opracowanej na zlecenie Wydawnictwa Sport i Turystyka, napisałem co następuje: *Przed wszystkim muszę wyrazić swoją dezaprobatę w stosunku do tytułu pracy. Jest on nieuzasadniony zarówno ze względu na jego dezaktualizację, obcość terminologiczną w języku polskim, nieprawidłowość w regionalizacji fizycznogeograficznej, jak i z uwagi na przyjęty przez autorkę zasięg opracowania. Nazwa „Szwajcaria Kaszubska” powstała pod koniec ubiegłego stulecia, w swym oryginalnym brzmieniu „Kaschubische Schweiz”, podobnie jak*

inne „Szwajcarię”, zwłaszcza w Niemczech, i jako „zagraniczna” miała na celu przyciągać turystów w okresie pionierskim rozwoju turystyki, również na Pojezierze Kaszubskie. Nazwa to więc obca i sztuczna, nie mająca geograficznego uzasadnienia, nadana centralnej części Pojezierza Kaszubskiego przez Niemców w czasie zniechęconego przez Kaszubów zaboru pruskiego. Użył jej, zapewne w tłumaczeniu z języka niemieckiego, Aleksander Majkowski w swym przewodniku pt. „Zdroje Raduni. Przewodnik po tak zwanej Szwajcarii Kaszubskiej” wydanym w 1913 roku, wznowionym w latach 1924 i 1936. Nie znaczy to jednak, że mamy bezkrytycznie nazwę tę po latach powtarzać, a poza tym warto dodać, że autor ów ograniczył opis krajoznawczy w swym przewodniku do Kartuzi ówczesnego powiatu kartuskiego, a więc do centralnej, najbardziej zróżnicowanej pod względem rzeźby i obejmującej kompleks jezior raduńskich części Pojezierza Kaszubskiego. Autorka recenzowanej książki natomiast całkowicie dowolnie rozszerzyła zakres terytorialny opracowania, a więc i pojęcie tzw. Szwajcarii Kaszubskiej. Położone na południu od Wzgórz Szymbarskich obszary sandrowe, płaskie jak stół, w niczym żadnej „Szwajcarii” nie przypominają. Zresztą jak można teni niżowym, z całym niezwykle specyficznym inwentarzem form rzeźby te-

renu, nazywać Szwajcarią. Przecież tu nie ma żadnego porównania. A jeżeli autorka chciała również ten propagandowy w sensie turystycznym termin zastosować, to trzeba było znacznie więcej na temat pojeziernego krajobrazu napisać. A tymczasem w tekście recenzowanej książki dużo jest na temat historii i etnografii, a o krajobrazie niezwykle mało. Szwajcaria to przede wszystkim urozmaicona rzeźba i jeziora, a w opisie autorki jest na ten temat bardzo mało. W samych nazwach jezior, opisie lasów i pól kaszubskich Szwajcarii dopatrzeć się doprawdy trudno. Dlatego też proponuję zrezygnować z obecnego tytułu książki. Osobiście proponowałbym „Pojezierze Kaszubskie” lub „Środkowe Kaszuby”.

Z tytułu książki nie zrezygnowano i propozycji recenzenta nie przyjęto. Po co więc recenzent, jeśli zarówno redakcja jak i autorka zostały przy swoim. Redakcja poczuwała się jedynie do obowiązku umieszczenia w książce przedślowia pt. „Od Redakcji”, w którym próbuje się w nieudolny sposób uzasadnić zastosowaną nazwę „Szwajcaria Kaszubska”. Nieudolność ta polega głównie na braku konsekwencji, ponieważ w pierwszym zdaniu pisze się, że nazwa „Szwajcaria Kaszubska” obejmuje swym zasięgiem najwyższą i najbardziej zróżnicowaną pod względem rzeźby i urozmaiconą krajobrazowo część Pojezierza Kaszubskiego, a złaszcza-

cza kompleks jezior raduńskich i Wzgórza Szymbarskie, natomiast już w drugim zdaniu podaje się, że dla potrzeb niniejszego przewodnika Autorka przesunęła zasięg terytorialny tego pojęcia (Szwajcarii Kaszubskiej — przyp. mój) znacznie na południe, aż do linii Leśno — Lubnia — Wiele, co pozwoliło na opisanie Kościerzyny i atrakcyjnych okolic jeziora Wdzydze. Tak więc mianem „Szwajcarii Kaszubskiej” objęto nie tylko centralną część Pojezierza Kaszubskiego, ale znacznie większy obszar tego mezo-regionu fizycznogeograficznego, jak również zachodnią część Pojezierza Starogardzkiego oraz wschodnią część Pojezierza Bytowskiego i Równiny Charzykowskiej, wprawdając w błąd turystów, wśród których rzekomo — jak chce Redakcja — pojęcie „Szwajcarii Kaszubska” jest bardzo popularne”. Autorka z kolei próbuje w części wstępnej przewodnika swą decyzję o zastosowaniu nazwy „Szwajcarii Kaszubska” uzasadnić starą tradycję w literaturze przewodnikowej Pojezierza Kaszubskiego, powołując się na publikacje Aleksandra Majkowskiego. Zapomniała jednak, że przewodnik Majkowskiego wydany w 1913 r. przez PTK ma tytuł: „Zdroje Raduni”, a dopiero w podtytule dodatek „Przewodnik po tak zwanej Szwajcarii Kaszubskiej”. Majkowski zdawał sobie doskonale sprawę z niemieckiego pochodzenia nazwy Szwajcarii Kaszubska i najwidoczniej nie lubił jej, jeśli we wstępie do wydania z 1924 r., gdzie tytuł przewodnika odwrócono nadając mu brzmienie: „Szwajcarii Kaszubska”. Przewodnik po zdrojach Raduni”, napisał, że stało się to na życzenie wydawcy. A więc nie ma co się na Majkowskiego powoływać. Był on na tyle konsekwentny, ograniczył się w swoim przewodniku do „zdrój Raduni”, a I. Trojanowska do swojej „Szwajcarii” włączyła jeszcze zdroje Wdy, zdroje Wierzycy i zdroje Słupi. Cóż za beztroška aneksja. Na załączonej do przewodnika mapce, która nie ma zresztą żadnego tytułu, nie podano nawet granic tego zwiększonego obszaru „Szwajcarii Kaszubskiej”, a szkoda, bo czytelnik otrzymałby przynajmniej jakiś obraz koncepcji autorki. W tekście bowiem autorka wspomina już o „Szwajcarii” i począwszy od strony 55 pisze wyłącznie o Pojezierzu Kaszubskim i Kaszuba-

ch. Niekonsekwencje terytorialne znajdują się też w rozdziale zatytułowanym „Co warto wiedzieć o Kaszubah”, gdzie autorka opisuje całą kaszubszczyznę nie tylko tę „szwajcarską”. Dziwne też, że wśród zainteresowanych kaszubszczyzną widzi autorka przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, wymieniając ich nawet po nazwisku, pomija jednak całkowicie geografów, choć to przecież ci ostatni zajmują się badaniem krajobrazu Pojezierza Kaszubskiego. To zapewne brak zainteresowania autorki tą dziedziną wiedzy spowodował, że opis krajobrazu jest w recenzowanym prze-

wodniku tak skąpy i zawiera tyle błędów. A szkoda, bo przecież właśnie krajobraz geograficzny jest na Pojezierzu Kaszubskim magnesem przyciągającym turystów.

Z nazewnictwem geograficznym w przewodniku wiąże się jeszcze kilka innych błędów, na które warto zwrócić uwagę. Przede wszystkim bardzo dziwnie określa autorka zasięg Pojezierza Kaszubskiego pisząc na stronie 6, że w jego obrębie „znajduje się również Kociewie”, a to nieprawda, bo w aktualnej regionalizacji fizycznogeograficznej Polski J. Kondrackiego wyróżnia się na południe od Pojezierza Kaszubskiego Pojezierze Starogardzkie i tam jest Kociewie. Nie ma też, według tej regionalizacji, Pobrzeża Kaszubsko-Słowińskiego, jest natomiast Pobrzeże Kaszubskie i Pobrzeże Słowińskie. Jezioro Wdzydze położone jest na Pojezierzu Południowopomorskim, a nie „Wschodniopomorskim” (str. 25) i nie na „Pojezierzu Kaszubskim” (str. 55), lecz na Równinie Charzykowskiej. Poza tym nie ma żadnej wzmianki o tym, że jezioro to jest rynnowe, położone na skrzyżowaniu kilku rynien, i że przepływa przez nie Wda, natomiast żadnej „mierzei” na jeziorze tym nie ma (str. 59), bo i być nie może. „Swiętą Kaszubską” nazwał Jezioro Kamienne znany przyrodnik Adam Wodiczko, a nie Wodiczko. Nawiasem mówiąc jezioro to, ani jego „zagraniczna” nazwa nie zmieściły się na załączonej do przewodnika mapie, podobnie jak większość Jezior Potęgowskich i wiele innych miejscowości podanych w tekście, a wśród nich Kamieniecki Młyn, nie zaś „Kamieniecki Młyn”. Wieś położona przy drodze wiodącej z Egierkowa do Kościerzyny nazywa się Kłobuczyno, a nie „Kłobuczyn” (str. 17), a jezioro — Kamionko, a nie „Kamionka” (str. 38).

Są też w przewodniku inne błędy geograficzne, na które trzeba zwrócić uwagę czytelnika-turysty. Największy kłopot sprawiało autorce pojęcie rynny polodowcowej. Udowodniła to w wielu miejscach tekstu nazywając te najbardziej charakterystyczne dla Pojezierza Kaszubskiego formy rzeźby terenu dolinami (str. 16, 19, 38), a pojęcie rynny ograniczając wyłącznie do jezior. Stąd powstały takie określenia jak: „u podnóża zalesionych wzniesień” (str. 16), zamiast w rynnie, albo u podstawy zbiega rynny”, „pokryta łąkami dolina” (str. 16), zamiast dno rynny, „widoki na głęboką dolinę z wysokimi rynnowymi jeziorami” (str. 19), zamiast po prostu widoki na rynnę polodowcową z położonymi w jej dnie jeziorami i inne. Nad Jezioro Wielkim rozcięta erozją krawędź rynny została błędnie nazwana „wzgórzami” (str. 135), a we wsi Zawory zbieżne rynny określone jako „stok wzniesienia” (str. 140).

Dużym niedociągnięciem tzw. „Małego słowniczka”, który obejmuje prawie dwie trzecie tekstu przewodnika, jest brak określenia położenia wielu analizowanych miejscowości i opisu krajobrazu. Takie określenia jak: „malownicza wieś”,

„piękne jeziora”, „wieś położona nad jeziorami”, „w sąsiedztwie piękne lasy” itp. są daleko niewystarczające. Skrajnym przykładem pod tym względem jest hasło „Chmielno” (str. 65—66), gdzie oprócz stwierdzenia „piękne położenie” i wymienienia jezior nad którymi wieś ta jest położona, nie ma nic o krajobrazie. Jest natomiast legenda, dużo wiadomości historycznych, trochę archeologii i garniarstwo. I tak jest wszędzie. O tym na przykład, że Zukowo położone jest bardzo charakterystycznie w dolinie Raduni, a nowa jego część na terasie sandrowej, nie ma ani słowa. Jak wynika z tekstu na stronie 14 jedynie kościół poklasztorny w Zukowie leży w dolinie Raduni.

Drobnych błędów jest jeszcze więcej, które wnikliwie korzystający z przewodnika turysta sam dostrzeże, a jeśli będzie chciał dowiedzieć się cokolwiek o krajobrazie Pojezierza Kaszubskiego zmuszony będzie sięgnąć do innych źródeł. Podano je zresztą w spisie wybranej literatury.

W okresie ogromnych braków w literaturze turystyczno-krajoznawczej północnej Polski wydanie książki I. Trojanowskiej, w dużym stopniu nakładzie, należy odnotować prawie jako wydarzenie i przyjąć z zadowoleniem, mimo wykazanych niedociągnięć i błędów. Jej tytuł i braki w zakresie regionalizacji fizycznogeograficznej przyniosą jednak, niestety, więcej szkody niż pożytku.

Jerzy Szukalski

Grażyna Tyczyńska: **Problematyka pedagogiczna i historyczno-oświatowa na łamach „Jantarowych Szlaków” w latach 1971—1986.** Praca magisterska napisana pod kierunkiem dr. Jerzego Szewsa w Zakładzie Historii Nauki, Oświaty i Wychowania Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Gdańsk 1987.

Jubileusz 30-lecia naszego pisma dość nieoczekiwanie zbiegł się z obroną pracy magisterskiej GRAZYNY TYCZYŃSKIEJ, pracy, która w całości została poświęcona „Jantarowym Szlakom”. Jest to wystarczający powód do przedstawienia rezultatów badań autorki szerszemu gronu czytelników. Zasadność takiego postępowania jest dodatkowo wzmocniona dużymi walorami merytorycznymi przedstawianej pracy.

Całość składa się ze wstępu, trzech rozdziałów, przypisów, załącznika bibliograficznego oraz wykazu źródeł i opracowań. Wstęp stanowi zapowiedź treści opracowania, przedstawia także cel pracy, którym jest wydobycie z 16 roczników „Jantarowych Szlaków” problemów pedagogicznych oraz zagadnień z historii oświaty i wychowania (s. 3). Autorka uzasadnia wybór przedmiotu czasowego (1971—1986) w egzystencji pisma, ponieważ od 1971 r. czasopismo to stało się Biuletynem Turystyczno-krajoznawczym Pomorza i obejmowało znacznie szerszą tematykę” (s. 3). We

wstępie znajduje się także definicja pojęcia „bibliografia” wraz z krótkim rysem historycznym rozwoju działań bibliograficznych w Polsce.

Czasopiśmiennictwo turystyczno-krajoznawcze w Polsce w ujęciu historycznym jest tematem rozdziału pierwszego. Autorka nawiązując do uproszczonej genezy zjawiska wędrowania i podróży ludzi, przechodzi — poprzez definicję terminu „czasopismo” — do zagadnienia zasadniczego. Czytelnik otrzymuje w ten sposób zwięzły zarys dziejów piśmiennictwa turystyczno-krajoznawczego w naszym kraju od XIX-wiecznych początków aż do współczesności.

Rozdział drugi jest omówieniem powstania i kształtowania się biuletynu turystyczno-krajoznawczego „Jantarowe Szlaki”. Autorka umiejętnie przedstawia zawiłości losów naszego pisma sygnalizując perypetie związane z nazwą, wielkością i techniką edycji i oczywiście z finansami. Odnotowuje ważniejsze zmiany personalne, a także przesunięcia w lokalizacji pisma w strukturze organizacyjnej PTTK i co za tym idzie ewolucję oraz — jeśli można to tak określić — emancypację periodyku, który z biuletynu informacyjno-organizatorskiego przekształca się w pismo o *wszechstronnej tematyce* (s. 3) uważane za *jedno z najlepiej redagowanych w Polsce czasopism turystyczno-krajoznawczych* (s. 3 za: Encyklopedia wiedzy o książce, Wrocław — Warszawa — Kraków, 1971, s. 155). Wydaje się, że bliższa prezentacja treści tego rozdziału mija się z celem wobec faktu niedawnej publikacji na naszych łamach obszernego szkicu JERZEGO SZUKALSKIEGO „Narodziny, rozwój i zadania „Jantarowych Szlaków”. („Jantarowe Szlaki”, nr 4(206) 1987, s. 1—8). Warto jednak zaznaczyć, że istotnym wzbogaceniem zawartości rozdziału są kserokopie kilku okładek pisma, w tym najstarszego z 1 października 1958 roku, gdy nasz periodyk nazywał się jeszcze „Echo krajoznawców i turystów”. Przy okazji autorka podaje genezę obecnej nazwy jako rezultatu konkursu (s. 17), a nieco dalej przedstawia wybór numerów specjalnych poświęconych na ogół ważniejszym rocznikom (s. 19).

O ile dwa pierwsze rozdziały pełnią w zasadzie funkcje materiałów wstępnych rozdział trzeci stanowi zasadniczy trzon przedstawianej pracy. Problematyka pedagogiczna i historyczno-oświatowa na łamach „Jantarowych Szlaków” autorka umieściła w pięciu grupach tematycznych:

- Dzieje szkolnictwa i oświaty na Pomorzu w okresie I Rzeczypospolitej.
- Rola szkolnictwa i oświaty w okresie zaborów, walka z germanizacją.
- Walka o szkołę polską na Pomorzu w Prusach Wschodnich i Wolnym Mieście Gdańsku w okresie II Rzeczypospolitej.
- Początki edukacji morskiej i lotniczej w XX-leciu międzywojennym.

- Wykorzystanie wycieczek turystycznych i krajoznawczych w edukacji szkolnej.

Szczerze mówiąc nie przekonuje mnie taki dobór grup tematycznych. O ile trzy pierwsze stanowią zważyta całość przyjmując za przedmiot badań szkolnictwo i oświatę na Pomorzu w ciągłości historycznej, to w grupie czwartej akcent przesuwają się raczej w kierunku popularyzatorskim, bo tak chyba należy rozumieć termin „edukacja morska i lotnicza”. Wrażenie łączenia tematów na siłę rośnie przy tytule grupy piątej, w której przedmiotem dociekań są „wycieczki turystyczne i krajoznawcze w edukacji szkolnej”, a więc już nie szkolnictwo i oświata, a tylko turystyka szkolna wysuwają się na pierwszy plan. Mimo tych zastrzeżeń nie ulega wątpliwości, że szkolnictwo i oświata lub — lepiej — szeroko pojęta edukacja społeczeństwa jest głównym wyróżnikiem materiału wytypowanego przez autorkę do dalszej obróbki.

Podstawą zawartych w rozdziale rozważań autorki na podane tematy jest wybór 22 artykułów zamieszczonych w różnych numerach „Jantarowych Szlaków” na przestrzeni kilkunastu lat. Wierząc w rzetelność opracowania otrzymaliśmy więc pełny zbiór artykułów dotyczących problematyki pedagogicznej i historyczno-oświatowej. Autorka przedstawia podstawowe tezy tych publikacji wychodząc od problematyki szkół średniowiecznego Kwidzyna i Malborka, poprzez tajne organizacje w XIX-wiecznym Chelmie i szkolnictwo polskie w okresie międzywojennym aż po aspekty krajoznawstwa przyrodniczego w pracy współczesnego nauczyciela polonisty. Zgodnie z założeniem, autorka unika sądów wartościujących ograniczając się do przekazywania głównych wątków wybranych artykułów, co — przy takiej różnorodności materiału — musi wywołać wrażenie pewnej niespójności rozdziału, mimo — udanych w dużym stopniu — wysiłków autorki zmierzających do stworzenia zamkniętej całości.

Dla wiernego czytelnika „Jantarowych Szlaków” nieocenioną wartością posiada załączona bibliografia zawartości pisma za lata 1971—1986. Bibliografia składa się z 1659 pozycji, które zostały zgrupowane w 24 działach. Każdy artykuł wymieniony w bibliografii pojawia się w niej tylko raz. Zastosowano na ogół klucz alfabetyczny. Dobrze przemyślany system opisów bibliograficznych oddaje wszystkie istotne informacje dotyczące artykułu. Niestety, wbrew zapowiedzi¹ (s. 59) brakuje indeksu autorów, który miał stanowić uzupełnienie bibliografii.

Rezultat benedyktyńskiej pracy włożonej w opracowanie bibliografii osłabia kilka uwag krytycznych. Dotyczą one głównie błędów w poprawnej na ogół konstrukcji rozdziału. Przede wszystkim wydaje mi się, że definicja pojęcia „bibliografia” wraz z interesującym szkicem historycznym powinna znaleźć się właśnie tu, na początku omawianego rozdziału, a nie we

wstępie, w którym ten rozbudowany wątek „bibliograficzny” wygląda cokolwiek sztucznie i po przebrnięciu czytelnika przez trzy poprzedzające aneksy rozdziały, jest wręcz zapomniana.

Poważniejszą usterką jest jednak — w mojej opinii nadmiar działów, w których zblokowano notki bibliograficzne. Czy rzeczywiście należało rozdzielać tematy: ogólne zagadnienia turystyczno-krajoznawcze (dział I), gospodarka turystyczna (III), czasopiśmiennictwo turystyczno-krajoznawcze (IX)? A czy dział IV (ochrona przyrody i środowiska) i dział V (flora i fauna) nie kojarzą się automatycznie? W rezultacie nadmiernych podziałów czytelnik gubi się przy próbach precyzyjnego określenia treści poszukiwanego materiału. W efekcie np. artykuł „Walory krajoznawcze Wolińskiego Parku Narodowego” (poz. 184) znajdujemy w dziale IV, a publikację „Szata roślinna Wolińskiego Parku Narodowego” (poz. 208) w dziale V. Co ma robić czytelnik, którego interesuje całokształt problematyki tego Parku? Podobna uwaga dotyczy rozdzielenia działu VI (wiedza o morzu) i VII (gospodarka morską) tym bardziej, że pierwszy z nich zawiera zaledwie 7 pozycji. Dla odmiany do jednego worka wrzucono zagadnienia historyczne, pedagogiczne i oświatowe (dział VIII), dzięki czemu natknąć się można na dość dziwaczne sąsiedztwa, gdy np. artykuł „Rozejm polsko-szwedzki w roku 1629” (poz. 306) znajduje się obok publikacji „Wychowanie morskie w praktyce szkolnej” (poz. 307). Żeby zaś rzecz skomplikować jeszcze bardziej artykuł „Bitwa pod Świecinem” (poz. 414) zamieszczony jest w dziale XI (miejsca walk i męczeństwa na Pomorzu). Dlaczego po prostu nie wydzielono działu pod nazwą np. „Historia Pomorza”? Sztuczne wydaje się też połączenie w jednym dziale recenzji i listów (dział XXII), zresztą tu autorka jest tylko w części konsekwentna wprowadzając taki podział, ale już wewnątrz działu. Nieporozumieniem jest porzucenie klucza alfabetycznego dla działu najbogatszego: „Materiały krajoznawcze województw Pomorza”. Jako kryterium kolejności prezentacji autorka nieoczekiwanie przyjęła „ilość publikacji na temat danego województwa. Dlatego też na próżno czytelnik będzie szukał województwa bydgoskiego przed toruńskim, a gorzowskiego przed szczecińskim, a gorzowskiego przed toruńskim. Jest akurat odwrotnie. Nie zawsze szczytelnym jest też podział informacji dotyczący jednego województwa. Dlaczego Sopot jest zamieszczony przed Gdynią, a Tczew połączony z Gniewem, mimo istnienia podziału „inne miejscowości” (w tym wypadku: woj. gdańskiego — K. J.)?

Mam wrażenie, że sprawa prezentacji zgromadzonego w bibliografii ogromu materiału nie została przez autorkę do końca przemyślana. Zdaję sobie sprawę, że proponuję tu rozwiązania dyskusyjne, jednakże jestem pewien, że zmienność przyjętych przez autorkę kryteriów podziału bogatego materiału źródło-

wego, jak i tendencja do superprecyzyjnego „zaszufladkowania” publikacji musi utrudniać korzystanie z cennej bibliografii niwecząc wysiłki autorki świadczącej o jej trosce o czytelników, co byłoby szczególnie ważne przy ewentualności rozpowszechnienia bibliografii. Dobrym pomysłem autorki jest np. przedstawienie sylwetek pomorskich w kolejności alfabetycznej nazwisk bohaterów publikacji, a nie autorów (dział XVI) czy też zastosowania podobnego układu w odniesieniu do recenzji: porządek narzucają tu nazwiska autorów recenzowanych dzieł.

Spojrzenie na pracę Grażyny Tyczyńskiej jedynie z punktu widzenia członka redakcji i wieloletniego czytelnika „Jantarowych Szlaków” rozgrzesza z uważnej analizy zawartości treściowej i formalnej, nie sposób jednak nie sposzrzec kilku błędów rzeczowych. I tak zwycięzca konkursu na nazwę czasopisma nazywał się MARIAN LUDOMIR SKASSA, a nie Skass (s. 17), szefem Departamentu dla Spraw Morskich w 1919 r. został kontraadmirał KAZIMIERZ POREBSKI, a nie Poręba (s. 41), zaś Michał Leszczyński to przede wszystkim znakomity malarz-marynista, a nie tylko autor eseju (s. 42). Niefortunna stylistyka osłabia często wartość przekazywanej wypowiedzi np. zdanie *nastąpił pewien zastój dynamicznego rozwoju* (s. 19) jest klasycznym nawianiem do stylu gazetowego lat siedemdziesiątych, a bezpośrednio powiązanie słów „zastój” i „dynamiczny rozwój” musi wywołać rozbawienie. Nie sądzę, żeby na takiej akurat reakcji autorce w tym miejscu zależało. Można też się zastanowić, w jaki sposób *czasopisma krajoznawczo-turystyczne należą do istotnego składnika ruchu turystycznego* (s. 12) i kim są „...rozsiani Polacy” (s. 46)? Przypuszczalnie błędy maszynowe sprawiły, że jubileusz 30-lecia „Jantarowych Szlaków” wypadł na 1978, a nie 1988 rok (s. 4), a „repolonizacja” została „repolamizacja” (s. 39).

Czy wymienione usterki obniżają rangę omawianej pracy i jej przydatności dla czytelnika naszego pisma? Twierdzę kategorycznie: nie! Praca magisterska Grażyny Tyczyńskiej jest źródłem wiedzy na trzy — mocno z sobą spokrewnione, a jednak różne — tematy. Przypomnę, że są to:

- rys historyczny czasopiśmiennictwa turystyczno-krajoznawczego w Polsce (rozdział I),
- rys historyczny powstania i roz-

woju „Jantarowych Szlaków” (rozdział II),

- problematyka pedagogiczna i historyczno-oświatowa w „Jantarowych Szlakach” 1971—1986.

Dla czytelników naszego pisma, dla przewodników, instruktorów, organizatorów i działaczy PTTK, wreszcie dla Redakcji ogromną wartość przedstawia zamieszczona bibliografia zawartości kwartalnika w latach 1971—1986. Mimo zgłoszonych zastrzeżeń rezultat tej pierwszej próby uporządkowania wieloletniego dorobku „Jantarowych Szlaków” można uznać za zadowalający. 1659 artykułów, setki nazwisk, dziesiątki tematów, bogactwo problemów — to wszystko udało się zamknąć w sformalizowanej, nie pozbawionej usterek, ale jednak czytelnej strukturze. Dziękujemy Pani Grażyno!

Kazimierz Jaśkiewicz

Włodzimierz Mizerski, *Geologia na szlaki*, Wydawnictwo PTTK „Kraj”. Warszawa 1987, ss. 152, nakład 20 tys. egzemplarzy.

Książka W. Mizerskiego o podanym wyżej tytule jest w pewnym sensie wydarzeniem, miejmy nadzieję, przełomowym w naszej literaturze turystyczno-krajoznawczej. Po raz pierwszy bowiem Wydawnictwo PTTK „Kraj” opublikowało pracę popularnonaukową z zakresu nauki o Ziemi, przeznaczoną dla turystów, co w okresie konieczności ochrony środowiska przyrodniczego, tak intensywnie już przekształconego przez człowieka, jest szczególnie istotne. Turysta-krajoznawca wie o środowisku przyrodniczym Polski jeszcze ciągle zbyt mało, ponieważ większość autorów przewodników turystycznych zagadnieniu temu poświęca niewiele miejsca, ograniczając się najczęściej do kilku zaledwie zdań. Nasze przewodniki przesycone są wiadomościami historycznymi i etnograficznymi oraz z zakresu architektury, a szlaki turystyczne opisane są w nich w sposób schematyczny, ograniczając się głównie do kierunku marszu i długości trasy. A jeśli już jakiś obiekt przyrodniczy się wymienia, to prawie nigdy nie określa się jego genezy. A przecież jak stwierdza autor we wstępie recenzowanej książki: „Co innego obserwować efekty działalności przyrody, a co innego — zrozumieć ich przyczyny”. Wędrując przez różne krainy naszego kraju nie wystarczy więc jedynie podziwiać ich piękno, ale trzeba też umieć określić pochodzenie tego piękna. W. Mizerski w swej książce stara się czytelnikowi w sprawie tej pomóc. Czyny to w ośmiu rozdziałach zatytułowanych następująco: 1. Skąły i minerały, 2. Dawni mieszkańcy Ziemi, 3. Odczytułemy ruchy Ziemi, 4. Atmosfera rzeźbiarzem powierzchni Ziemi, 5. Woda draży skały, 6. Lód i zlodowacenia, 7. Krótka historia geologiczna Polski, 8. Geologia na szlaku.

Jak z powyższego wynika pierwszych sześć rozdziałów poświęconych jest ogólnej problematyce geologicznej i ma charakter popularnonaukowego podrecz-

nika. Dwa ostatnie rozdziały odnoszą się natomiast do Polski, przy czym rozdział ostanii, zawierający konkretne przykłady szlaków turystycznych z szerokim naswietleniem zagadnień geologicznych, jest najbardziej interesujący dla turysty, zwłaszcza, iż podobnie zresztą jak całość książki, napisany jest przystępnie i w ładnym stylu. Szlaki są tak wybrane, że prezentują przekrój przez Polskę, od Tatr i Sudetów po Zatokę Gdańską.

Treść pracy uzupełnia słowniczek trudniejszych terminów geologicznych i spis podstawowej literatury przynależnej do każdego rozdziału.

Na szczególną uwagę i pozytywną ocenę zasługują bogata strona ilustracyjna książki. Obejmuje ona liczne fotografie i rysunki skamielin oraz rzęształów, blokdiagramy i rysunki ukazujące procesy geologiczne i geomorfologiczne, mapki stosunków paleogeograficznych i jednostek geologicznych Polski, a w rozdziale ostanim — mapki popularnych szlaków w górach i na Niżu Polskim.

Niestety, książka W. Mizerskiego zawiera też błędy. Wymienię tu jedynie kilka z nich. Otóż wody rzeczne nie są „ważnym czynnikiem kształtowania krajobrazu (str. 85) lecz rzeźby terenu, a więc tylko jednego składnika krajobrazu; rzeka nie „wpada” (str. 89) lecz uchodzi, bo ma ujście a nie wpad; dolina (tu Dunajca) ma zbrocza a nie „stoki”; mało zasoloną wodę morską określa się jako słonawą, a nie „półsłoną” (str. 93) itp. Pisząc o solankach zapomniał autor o Kolobrzegu (str. 99), a jest przecież w sprzedaży butelkowana „Perła Bałtyku”. Nie ma natomiast u brzegów Kępy Redłowskiej „base-nów piywackich” (str. 144); autor miał pewnie na myśli Polankę Redłowską, ale ta znajduje się na wierzchołwie tejże Kępy, a nie u jej brzegów. Nie ma ich zresztą na załączonej mapce szlaku. Najdziwniejsze zaś jest to, że na stronie 110 obniżona została kulminacja Wzgórz Szymbarskich zwana Wieżycą i to aż o prawie 8 metrów, czy wreszcie stwierdzenie, że „rzeki płynące pod lodem zachowywały się identycznie jak rzeki na powierzchni”, bo przecież wiadomo, iż znajdowały się one pod ciśnieniem hydrostatycznym i dlatego wyrzeźbiły tak silnie zróżnicowane dna rynien lodowcowych. W treści książki znalazło się też kilka nieaktualnych obecnie teorii dotyczących genezy doliny dolnej Wisły (str. 89), pochodzenia nadmorskich mierzei (str. 94 i 95) i przybrzeżnych jezior (str. 96) oraz wielkości przepływu wód pradolinami (str. 112), a także nieprawidłowe nazwy z zakresu regionalizacji fizycznogeograficznej. Dotyczy to złego zestawienia nazw Mazury i Pojezierze Mazurskie (str. 113) oraz Wybrzeża Słowińskiego, które nazwane zostało „Pobrzeżem Słowińskim” (str. 125). I jeszcze jedno — autor opisując procesy dotyczące odległej przeszłości geologicznej, bardzo często używa czasu przyszłego „będzie”, ale to, niestety, ogólna plaga.

Te i inne drobne błędy w żadnym wypadku nie mogą przesłonić zasadniczej wartości książki W. Mizerskiego. Jest to udana próba zwrócenia większej niż dotychczas uwagi turystów i krajoznawców na napatykane na szlaku obiekty geologiczne i geomorfologiczne. Czytelnikom recenzowanej pracy należy więc życzyć tylko tego, co uczynił autor w ostatnim zdaniu książki: „sukcesów w odczytywaniu przeszłości geologicznej ziem, które zwiedzają”.

Jerzy Szukalski

UWAGA!

Redakcja zawiadamia odbiorców kwartalnika, że z dniem 1 stycznia 1989 roku **roczna prenumerata** będzie wynosić **800,— zł**. Cena pojedynczego egzemplarza **200,— zł**. Prenumeratory otrzymają bezpłatnie spis treści z poprzedniego roku.

Redakcja

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w Tucholi w latach 1926–1939

Przypadająca w 1986 r. sześćdziesiąta rocznica powołania Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Tucholi minęła nie zauważona. Dlatego w tym krótkim artykule, opartym w głównej mierze na materiałach prasowych, pragnę przedstawić w zarysie ważniejsze dokonania członków Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Tucholi w latach 1926–1939. Były one niemałe, zwłaszcza na niwie krajoznawczej, zważywszy niewielki stan liczbowy członków oraz stosunkowo trudne warunki pracy (zubożenie społeczeństwa). Towarzystwo oddało znaczne usługi administracji powiatowej i mieszkańcom regionu, propagując jego walory, zajmując się ochroną przyrody i opieką nad zabytkami, popierając sztukę ludową oraz prowadząc badania archeologiczne i etnograficzne. W mniejszym stopniu uzewnętrznili się drobne Oddziału na odcinku rozwoju turystyki kwalifikowanej, określanej wówczas spacerową, a także w zakresie zagospodarowania turystycznego, chociaż i w tej dziedzinie zakładano określone posunięcia, które nie doczekały się jednak realizacji na skutek wybuchu II wojny światowej.

Zainteresowanie walorami przyrodniczo-krajoznawczymi regionu Borów Tucholskich sięga połowy XIX w. W końcu XIX w. i na początku XX w. wydane też zostały pierwsze przewodniki turystyczne po Borach Tucholskich, m. in. **Karola Pernina**¹⁾, **Jana Muchradta**²⁾, **Eryka Wernicke'go**³⁾, **Pawła Burmestera**⁴⁾ i **Adalberta Luntowskiego**⁵⁾.

Pierwszy polski przewodnik turystyczny po Puszczy Tucholskiej, publikowany uprzednio w odcinkach na łamach „Gazety Toruńskiej”, wydał w 1922 r. zastępczo dla regionu tucholskiego działacz społeczny i niepodległościowy dr **Kazimierz Karasiewicz** (1862–1926)⁶⁾. Poszerzony i uzupełniony został ponownie wydany jako mała monografia w roku 1926⁷⁾.

Wzrastający w tym okresie ruch turystyczny w Borach Tucholskich, mający zarówno charakter tranzytu nad odzyskane po ponad stu latach wybrzeże jak i formę docelowych pobytów w Puszczy Tucholskiej, przyczynił się równocześnie do większego niż dotąd zainteresowania turystyką i wypoczynkiem ze strony miejscowego społeczeństwa oraz powiatowych i miejskich władz administracyjnych Tucholi, upatrujących w rozwoju turystyki i wypoczynku (miejsc letniskowych) na obszarze Borów Tucholskich, obok możliwości upowszechnienia walo-

rów regionu, także dodatkowe źródło dochodów dla jego mieszkańców.

Aby „...wycieczki te skierować także do Tucholi” 23 kwietnia 1926 r. z inicjatywy burmistrza **Stanisława Saganowskiego**⁸⁾ zwołane zostało w położonym przy Rynku hotelu **Leona Marjanowskiego** „Eilers” (obecnie „Śródmiejskim”) zebranie wszystkich zainteresowanych problematyką rozwoju turystyki i krajoznawstwa w regionie. Uczestnicy zebrania postanowili zorganizować w Tucholi Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, który by zgodnie z celami Towarzystwa popularyzował poprzez odczyty z przedręczkami i filmami piękno kraju



Stanisław Saganowski (1882–1939).
Repr. J. Umiński

rodzinnego i regionu organizował wycieczki po kraju i regionie oraz przystąpił do zagospodarowania turystycznego Borów Tucholskich. Powołany na tym samym zebraniu, pod kierunkiem **Serwacego Zielińskiego**, nauczyciela przyrody i chemii w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Tucholi, Zarząd Tymczasowy zwołał na dzień 11 maja zebranie konstytucyjne Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Tucholi⁹⁾. Na czele wybranego wówczas Zarządu Oddziału stanął **Serwacy Zieliński**, funkcję wiceprezesa otrzymał **Maksymilian Górny** (inspektor szkolny), sekretarza **Teodor Grzenia** (sekretarz starostwa), zastępcy sekretarza **Sylwester Smoliński** (nauczyciel przyrody i rysunku w PSN), a skarbnika **Stanisław Saganowski**.

Już w następnych dniach na łamach miejscowej prasy ukazały się komunikaty informujące o powołaniu przez Oddział PTK w Tucholi biura informacyjno-propagandowego „...celem ściągnięcia letników i wycieczek do Borów Tucholskich” oraz o organizacji w drugie święto Zielonych Świąt dnia 24 maja „...o ile pogoda sprzyja” wycieczki do Piekla i Rudzkiego Mostu, którą zakończy wspólna kawa¹⁰⁾.

Pod koniec pierwszego roku działalności Oddziału liczba członków wyniosła 80 osób. Następne lata charakteryzowała znaczna płynność w tym zakresie, oscylując pomiędzy 30 a 100 członkami, nie przekraczając jednak nawet w okresie szczytowego rozwoju organizacyjnego i programowego przypadającego na lata 1931–1933, stu osób. Pod koniec tego okresu — 29 grudnia 1933 r. — Zarząd Oddziału PTK w Tucholi złożył dopiero formalny wniosek o rejestrację do Starostwa Powiatowego w Tucholi¹¹⁾.

Po **Serwacym Zielińskim**, na kolejnym walnym zebraniu w dniu 2 kwietnia 1927 r. prezesem Oddziału PTK w Tucholi wybrany został **Maksymilian Górny**, który funkcję tę sprawował do 26 czerwca 1928 r., kiedy to na III Walnym Zebraniu PTK w Tucholi powierzono ją **Stanisławowi Saganowskiemu**. Po jego dwuletniej kadencji prezesura przeszła z dniem 21 marca 1930 r. (V Walne Zebranie Oddziału) w ręce **Jana Szynkiewicza**, nauczyciela fizyki i matematyki w PSN w Tucholi¹²⁾. Jego niespożytej aktywności, szczególnie w pierwszych latach sprawowania prezesury zawdzięcza Oddział PTK w Tucholi swój znaczny rozwój na niwie krajoznawstwa. Funkcję prezesa pełnił **Jan Szynkiewicz** do momentu przeniesienia go w 1937 r. do pracy w Państwowym Gimnazjum Męskim w Brodnicy¹³⁾.

W 1936 r. nastąpił wyraźny regres w działalności Oddziału. Społeczeństwo tucholskie — poza małym kręgiem entuzjastów — nie wykazywało większego zainteresowania krajoznawstwem i turystyką. Na odejście z Towarzystwa wielu członków niewątpliwym wpływ miało również zniesienie w 1934 r. przez Ministerstwo Komunikacji indywidualnych uprawnień do korzystania przez członków organizacji turystycznych ze zniżek kolejowych, a także niewielki wzrost dochodów z turystyki w regionie. Dopiero od XIII Walnego Zebrania w dniu 4 kwietnia 1938 r., kiedy to prezesurę objął mecenas **Michał Dereziński**, a skład Zarządu Oddziału został znacznie odmłodzony, podjęta zosta-

ła ponownie szersza działalność PTK w Tucholi.

Członkowie Towarzystwa w Tucholi rekrutowali się głównie spośród nauczycieli, urzędników, rzemieślników i przedstawicieli wolnych zawodów. Słabo reprezentowana była młodzież. Brak bliższych danych o działalności koła krajoznawczego młodzieży szkolnej przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim (przekształconym w 1937 r. w Państwowe Liceum i Gimnazjum), chociaż wiadomo skądinąd, że koło takie istniało. Niepewna jest także informacja o istnieniu koła terenowego PTK w Śliwicach.

Grupując w swoich szeregach przede wszystkim przedstawicieli miejscowej inteligencji Zarząd Oddziału podjął na szeroką skalę działalność o charakterze naukowym i propagandowym. W ramach Towarzystwa kierowały nimi specjalnie powołane komisje: naukowa i propagandowa.

Zamierzając wydać monografię powiatu tucholskiego Zarząd Oddziału opracował specjalną ankietę krajoznawczą, mającą stanowić podstawę szczegółowego jej opracowania. Ankieta rozesłana została zarówno do osób prywatnych (nauczycieli, pracowników administracji leśnej, duchowieństwa, właścicieli ziemskich) jak i instytucji działających na obszarze Borów Tucholskich¹⁴). Materiały do monografii wraz z zestawem fotografii obrazujących walory regionu zostały zebrane i opracowane do końca 1933 r. Jednak do wybuchu II wojny światowej mimo starań Zarządu, z braku odpowiednich funduszy, nie udało się jej opublikować w całości. Można domniemywać, że część z opracowanych materiałów znalazła się w wydany przez Komitet I Tygodnia Borów Tucholskich w 1939 r. opracowaniu pt. „Zwiedzajcie Bory Tucholskie”¹⁵), w którym zamieszczono artykuły członków Towarzystwa **Józefa Ossowskiego** (Z historii miasta Tucholi, Okolice Tucholi, Kurhany i kręgi kamienne w Odrach oraz Bory Tucholskie — to nie tylko Tleń) i **Jana Szynekiewicza** (Z przeszłości Borów Tucholskich). Obaj autorzy publikowali też swe artykuły na łamach wychodzącego dwa razy w tygodniu „Głosu Tucholskiego”. Były one w głównej mierze poświęcone problematyce historycznej i prehistorycznej regionu¹⁶). Natomiast w kwietniu 1936 r. **Jan Szynekiewicz** wygłosił odczyt w rozgłośni toruńskiej Polskiego Radia pt. „Na starym szlaku burzowym”, prezentując przeszłość i teraźniejszość miasta Tucholi i okolicy.

Opublikowanych zostało również szereg haseł opracowanych przez członków Oddziału, głównie nauczycieli, do wydawanego przez władze naczelne PTK „Słownika Geograficznego Państwa Polskiego i ziem historycznych z Polską związanymi”¹⁷). Komisję Powiatową opracowywania haseł do Słownika tworzyli: **Jan Szynekiewicz**, **Teodor Grzenia**, **Józef Ossowski**, **Stefan Paternowski** i **Piotr Zdek**. W czerwcu 1932 r. miejscowi nauczyciele o-

pracowali szczegółowy arkusz do badań terenowych dla potrzeb Słownika, a w dniach 14—18 lipca prowadzone były przez jedenastoosobową Komisję Redakcyjną Słownika Geograficznego z udziałem językoznawcy, twórcy dialektologii polskiej **Kazimierza Nitscha** (1874—1958) historyczne i gwarowe w powiecie tucholskim. Badania prowadzone z udziałem miejscowych nauczycieli, leśników, rolników i księży stały się równocześnie formą samokształcenia w zakresie wiedzy o gwarach kaszubskiej, borowiackiej, kociewskiej, krajeńskiej, lubawskiej i mazowieckiej. **Jan Szynekiewicz** zamieścił na łamach „Głosu Tucholskiego” artykuł pt. „O Słowniku Geograficznym Państwa Polskiego”, w którym przedstawił



Jan Szynekiewicz (1892—1956).

Repr. J. Umiński

pierwsze wyniki badań historycznych i gwarowych w powiecie tucholskim, uwypuklając równocześnie ofiarną pracę nauczycieli w tej dziedzinie¹⁸). Owocem badań lingwistycznych była praca pt. „Gwara Borów Tucholskich”, wydana nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki¹⁹).

Przy współpracy i wydatnej pomocy działaczy Oddziału PTK w Tucholi, a zwłaszcza **Jana Szynekiewicza** i **Piotra Zdeka** (następcy **Maksymiliana Górnego** na stanowisku inspektora szkolnego i wiceprezesa Zarządu Oddziału w latach 1932—1933) prowadzone były na terenie powiatu tucholskiego w latach 1932—1935 szeroko zakrojone prace archeologiczne. Kierowali nimi profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego **Józef Kostrzewski** (1885—1969), twórca szkoły neoautochtonicznej i nauczyciel kilku generacji archeologów polskich oraz **Zygmunt Zakrzewski** (1867—1951), numizmatyk i archeolog, założyciel Towarzystwa Archeologicznego w Poznaniu. Badania prowadzone były m. in. w Bładowie, Bysławku, Cekcynie, Gostycynie, Kęsowie, Klonowie, Małej Kloni, Małym Mędromierzu, Minikowie, Słupach, Raciążu, Tucholi, Zdrojach i Żalnie. W Słupach

odkryto w 1933 r. kurhan z wczesnej epoki brązu, a w 1934 r. stwierdzono groby kłozowe. W innych miejscowościach, na obszarach wydymowych Borów Tucholskich odkryto osady z okresu neolitu (3500—1700 p.n.e.). Uprzednio, w 1930 r. stwierdzono 20 nowych stanowisk archeologicznych m. in. na terenie majątku Bralewnica, gdzie odkryto urny z końca epoki brązu. Zwrócono także uwagę na olbrzymie zastoiisko w rejonie Obrowa, obok którego zlokalizowano grodzisko pierścieniowate. Wyniki prac wykopaliskowych zostały później opublikowane na łamach czasopism naukowych, m. in. Towarzystwa Naukowego w Toruniu²⁰). Latem 1934 r. prowadził badania na obszarze Borów Tucholskich dr **Bronisław Nagel** z ramienia Instytutu Bałtyckiego w Toruniu, uzyskując materiały potwierdzające szereg cech kultury borowiackiej o podłożu kaszubskim.

Bezspornie najbardziej spektakularnym efektem działalności krajoznawców tucholskich było zorganizowanie regionalnego Muzeum Borów Tucholskich. Inicjatorem i głównym motorem starań o utworzenie muzeum krajoznawczego w Tucholi, a następnie jego kilkuletnim społecznym kustoszem był nieustrudzony w działaniu prezes **Jan Szynekiewicz**. Peczątki starań o powołanie muzeum wiążą się z prowadzoną w 1929 r. przez Oddział PTK w Tucholi zbórką eksponatów na Międzynarodową Wystawę Komunikacji i Turystyki „Komtur” w Poznaniu, która miała miejsce w następnym roku w dniach od 6 lipca do 10 sierpnia. Już w listopadzie 1929 r. ukazał się na łamach „Głosu Tucholskiego” artykuł **Jana Szynekiewicza** pt. „Muzeum Regionalne w Tucholi”, w którym autor przedstawił potrzebę i projekt utworzenia muzeum oraz apelował o poparcie inicjatywy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Poinformował również, że PTK rozpoczęło już zbieranie eksponatów²¹).

Towarzystwo uzyskało wkrótce zgodę magistratu na udostępnienie na cele muzealne pomieszczeń w gmachu ratusza, a Wydział Powiatowy w Tucholi wyasygnował na potrzeby Oddziału PTK w Tucholi kwotę dwustu złotych. Ponieważ subwencje Zarządu Miejskiego i Wydziału Powiatowego w Tucholi nie stanowiły znaczącej dotacji, o pomoc w realizacji zamysłu powołania muzeum PTK zwróciło się do miejscowego społeczeństwa. Do powstania muzeum przyczyniły się również w znacznym stopniu efekty wieloletnich poszukiwań archeologiczno-etnograficznych zakończonych w regionie tucholskim nauczycieli i uczniów Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Tucholi.

Zbiory eksponowane zostały w kwietniu 1931 r. w dawnej sali posiedzeń w ratuszu. Uroczyste poświęcenie i otwarcie regionalnego Muzeum Borów Tucholskich odbyło się 4 października 1931 r. z udziałem starosty powiatowego **Edwarda Woronowicza** i burmistrza **Stanisława Saganowskiego**. Poświęcenia dokonał długoletni proboszcz tucholski

ksiądz dr **Konstanty Kreft**. W czasie uroczystości otwarcia referat nt. „Ślady prehistoryczne na ziemiach polskich, a szczególnie w Borach Tucholskich” wygłosił **Piotr Zdek**²³). Po adaptacji w nowym domu mieszkającym przy rynku (u zbiegu z ul. Świecką) czterech pomieszczeń na cele muzealne oraz inwentaryzacji zbiorów przeniesiono je do nowego lokalu 1 marca 1933 r.

W poszczególnych pokojach znajdowały się cztery działy muzeum: prehistoria, etnografia i przemysł ludowy, historia miasta i regionu oraz przyroda. Zgromadzono tu eksponaty z dziedziny archeologii (wydatnie zwiększone po sezonie wykopaliskowym w 1933 r.), etnografii (wyroby ludowe oraz narzędzia użytkowe), historii (m. in. dokumenty osadnicze, stare księgi cechowe, plan miasta Tucholi wykonany cztery dni po pożarze miasta w dniu 17 maja 1781 r., okazy starej broni) i numizmatyki (monety staropolskie, krzyżackie, pruskie i biskupie), przyrody i geografii (skamieliny, czaszki niedźwiedzia i tura, poroża łosia i jelenia). Ogółem zbiory, liczące w dniu otwarcia muzeum 192 eksponaty, osiągnęły w 1937 r. liczbę 950. Przy muzeum działała również niewielka, ale wartościowa biblioteka regionalna.

W księgozbiornie, w którym znalazły się stare modlitewniki, zbiory kazań, książki o tematyce ludowej, kilkanaście pozycji pochodzących z darów spadkobierców zasłużonego działacza oświatowego **Józefa Janta-Połączyńskiego** (1811—1890) z Koślinki pod Tucholą. Obok kustosa opiekę nad poszczególnymi działami sprawowali: **Piotr Zdek** i **Stefan Paternowski** (historia), **Sylwester Smoliński** (przemysł ludowy — sztuka ludowa), **Wiktor Wandtke** (przyroda) **Władysław Adamowicz** (fotografia).

W 1934 r. w związku ze stałym powiększaniem się zbiorów ówczesny starosta **Jerzy Hryniewski** wysunął koncepcję oddania na rzecz muzeum części budynku po zlikwidowanym w 1933 r. inspektoracie szkolnym, mieszczącym się opodal dworca kolejowego przy dzisiejszej ulicy Bojowników PPR. Nie doszło jednak do realizacji tego projektu, a wzrastające koszty utrzymania muzeum — mimo pełnienia przez **Jana Szynkiewicza** społecznie funkcji kustosa — postawiły przed Zarządem Oddziału problem dalszego jego prowadzenia przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Ponieważ dyrekcja Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Tucholi wystąpiła do Oddziału z propozycją udostępnienia bezpłatnie w swym gmachu pomieszczeń na cele muzealne, Zarząd wyłonił ze swego grona pięcioposobową komisję, która miała zbadać warunki lokalowe w Seminarium oraz ocenić przydatność proponowanych w Seminarium pomieszczeń dla muzeum. Ostatecznie, z powodu braku środków i odpowiedniego lokalu (przekazane na cele muzealne pomieszczenia w ratuszu przy rozroście zbiorów nie były ich w stanie pomieścić) oraz konieczności naukowego opracowania zbiorów, Zarząd Oddziału na

XII Walnym Zebraniu Oddziału w dniu 15 marca 1937 r. podjął uchwałę o czasowym przekazaniu eksponatów muzealnych powołanemu w tym czasie w miejsce dotychczasowego Seminarium Państwowemu Liceum i Gimnazjum w Tucholi w depozyt. Zbiory złożone zostały do skrzyń, a opiekę nad nimi powierzono **Leonowi Korthalsowi** (od wspomnianego zebrania sekretarzem Oddziału). Muzeum zawiesiło działalność²⁴). W pomieszczeniach Liceum zbiory pozostawały do wybuchu II wojny światowej, by w niedługim czasie po wkroczeniu wojsk niemieckich do Tucholi i wcieleniu województwa pomorskiego do III Rzeszy (26 października 1939 r.) ulec zniszczeniu lub rozproszeniu.

W okresie swej działalności muzeum było najpierw otwarte dla publiczności pół godziny w każdą pierwszą niedzielę po głównym nabożeństwie, później we wtorki i piątki w godzinach od 14—15.30, a w niedziele od 12.30—15. Zbiory były również udostępniane po uprzednim porozumieniu się z kustoszem w innym czasie. Wśród zwiedzających przeważali uczestnicy wycieczek, głównie szkolnych. Rządziej odwiedzali muzeum indywidualni turyści. Za wstęp Oddział pobierał pierwotnie 10 groszy od osoby, a dzieci i młodzież szkolna były zwolnione od opłat. Później podniesiono opłatę za wstęp do 20 groszy. Młodzież płaciła 10 groszy. Należy w tym miejscu stwierdzić, że praca muzeum nie wywołała na dłuższy czas większego zainteresowania ogółu społeczeństwa Tucholskiego. Władze Oddziału Tucholskiego PTK usiłowały zwrócić uwagę mieszkańców miasta i regionu na kulturotwórczą rolę muzeum, m. in. poprzez artykuły w miejscowej i regionalnej prasie²⁵).

Niemalą rolę w upowszechnianiu wiedzy o regionie i kraju odgrywały odczyty organizowane przez krajoznawców Oddziału. Działalność odczytowa prowadzona była głównie w oparciu o siły miejscowe — nauczycieli i specjalistów innych profesji. Gościli również w Tucholi i wygłaszali prelekcje profesorowie wyższych uczelni, jak **Zygmunt Zakrzewski** i **Kazimierz Nitsch**, a także wybitni krajoznawcy m. in. **Kazimierz Kulwiec**, który wizytując Oddział w październiku 1933 r. wyraził najwyższe uznanie całemu Zarządowi za twórczą pracę dla dobra polskiego krajoznawstwa. Przeciętnie w roku wygłaszanych było 3 do 4 odczyty, najwięcej (8) wygłoszono w 1931 roku.

Działalność sensu stricto turystyczna nie rozwinęła się w pełni. Spowodowane to było niewątpliwie brakiem większego doświadczenia w tej dziedzinie działaczy Oddziału PTK w Tucholi, jak i nikłym — z uwagi na ogólne zubożenie społeczeństwa — zapotrzebowaniem na tę formę działalności. Spośród kilkunastu wycieczek, których organizatorem lub współorganizatorem był Oddział PTK w Tucholi trzeba wymienić wycieczkę zorganizowaną przez Oddział Tucholski w dniach

3 do 10 sierpnia 1926 r. do Grodna i Wilna, zapoznanie z pięknem Borów Tucholskich uczestników wycieczki ze Stanów Zjednoczonych A. P. przybyłych na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu w 1929 r. (jej przewodnikami byli **Stanisław Saganowski** i **Leon Marjanowski**), współorganizację (wraz z Oddziałem PTK w Chojnicach) wycieczki na III Targi Północne i Wystawę Lniarską w Wilnie w dniach od 6 do 8 września 1933 r. (w drodze powrotnej zwiedzano również zabytki starej Warszawy z Zamkiem Królewskim) oraz wycieczkę autokarową 29 czerwca 1938 r. do Biskupina trasą Sępólno Krajeńskie — Więcbork — Nakło — Bydgoszcz — Inowrocław — Pakość — Znin, połączoną ze zwiedzaniem solanek inowrocławskich i Kalwarii Pakoskiej, a także terenów naftowych w Zalesiu.

Działacze Oddziału PTK w Tucholi służyli również radą i pomocą w organizowanym w dniach 15—17 maja 1937 r. przez Polski Touring Klub Rajdzie Krajoznawczym po Polsce, którego trasa przebiegała przez Bory Tucholskie i Tucholę. Tuż przed wybuchem II wojny światowej, w dniach od 13 do 20 sierpnia 1939 r., zorganizowany został w Tucholi „Tydzień Borów Tucholskich”, połączony z wystawą rzemiosła, przemysłu i kupiectwa. W czasie „Tygodnia” odbyło się szereg imprez turystycznych. W dniach od 15 do 20 sierpnia odbywały się codzienne wycieczki autobusami, powózkami i pieszo w Bory Tucholskie: do Tlenia, Sliwic, rezerwatu ciś w Wierchlesie trasą Piekło — Zamrzenica — Minikowo — Byśław. Zorganizowany został również spływ kajakowy Brdą z Woziwody do Piekła. Przewóz kajaków do miejsca rozpoczęcia spływu nastąpił specjalnie do tego celu przystosowanym samochodem²⁶). Spływy Brdą na odcinku od Woziwody do Rudzkiego Mostu i Świtą organizował Oddział PTK w Tucholi także na początku lat trzydziestych. Koło turystyki wodnej PTK w Tucholi korzystało z urządzeń przystani Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” na Brdzie w Rudzkim Moście. Obok spływów Brdą organizowało też spływy Wdą i po jeziorach byszewskich. W roku 1933 odbyto 3 większe i 15 mniejszych wycieczek, przebiewając łącznie około 1200 km²⁷). W tym okresie wyznakowano pierwszą w Borach Tucholskich ścieżkę turystyczną z Tucholi do uroczyska Piekło, długości 7 km²⁸).

Wybuch II wojny światowej przerwał bogatą działalność krajoznawczą i planowane zamierzenia aktywizacji turystycznej regionu Tucholskiego. Zniszczeniu uległy w większości zasoby muzeum i biblioteczki regionalnej, w kolejnych egzekucjach, jakie miały miejsce od 24 października do 11 listopada 1939 r. w lasach koło Rudzkiego Mostu zostali zamordowani wraz z innymi mieszkańcami Tucholi i powiatu Tucholskiego działacze Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego: burmistrz **Stanisław Saganowski** (inicjator założenia Oddziału PTK

w Tucholi i jego prezes w latach 1928—1930), sekretarz Starostwa Powiatowego w Tucholi **Teodor Grzenia** (sekretarz Zarządu Oddziału w latach 1926—1935) oraz wieloletni członkowie Komisji Rewizyjnej Oddziału, kierownik szkoły w Tucholi **Józef Ossowski** i prezes Stowarzyszenia Samodzielnych Kupców w Tucholi **Stanisław Maćkowski**, a także wierni sympatyki Towarzystwa kierownik drukarni, drukarz i wydawca „Głosu Tucholskiego” **Jan Lewandowski**²⁹). Pozostał jednak w pamięci dorobek działaczy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Tucholi, szczególnie ich dokonania na niwie krajoznawczej.

Przypisy:

- 1) Karl Pernin: Wanderungen durch die sogenante Kassubei und die Tuchler Heide als Beiträge zur Landeskenntnis, A. W. Kafemann, Gdańsk 1886
- 2) Johannes Muelradt: Die Tuchler Heide in Wort und Bild, A. W. Kafemann, Gdańsk 1908
- 3) Erich Wernicke: Wanderungen durch die Tuchler Heide, A. W. Kafemann, Gdańsk 1913
- 4) Paul Burmester: Beiträge zur Landeskunde die Tuchler Heide, Grudziądz 1914

- 5) Adalbert Luntowski: Westpreussische Wanderungen. Danzig — Die Weichselniederung — Die Tuchler Heide, Georg Westermann, Berlin — Braunschweig — Hamburg 1914
- 6) Kazimierz Karasiewicz: Przewodnik po Boraach Tucholskich (z mapkami), Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Warszawa 1922
- 7) Kazimierz Karasiewicz: Bory Tucholskie, Druk. W. L. Anczyca, Warszawa 1928
- 8) Orędownik Urzędowy powiatu Tucholskiego, 1926, nr 31, z 21 IV
- 9) Orędownik Urzędowy powiatu Tucholskiego, 1926, nr 35, z 6 V
- 10) Orędownik Urzędowy powiatu Tucholskiego, 1926, nr 38, z 22 V
- 11) Archiwum Państwowe w Bydgoszczy, (cyt. AP-B), zesp. Urząd Wojewódzki Pomorski w Toruniu, sygn. 411
- 12) „Głos Tucholski”, II: 1930, nr 5, z 25 III
- 13) Stefan Bilski: Zarys Historii Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Brodnicy 1873—1973. Towarzystwo Miłośników Ziemi Michałowskiej, Brodnica 1973, s. 96 i 98
- 14) „Głos Tucholski”, III: 1931, nr 5, z 10 I
- 15) Zwiedzajcie Bory Tucholskie, nakładem Komitetu Tygodnia Borów Tucholskich, (Tuchola) 1939
- 16) „Głos Tucholski” III: 1931, nr 94—113; VI: 1934, nr 22—24; VI: 1934, nr 6 oraz 13—14; VII: 1935, nr 72
- 17) Słownik geograficzny państwa polskiego i ziem historycznie z Polską związanymi. Pomorze Polskie, Pomorze Zachodnie, Prusy Wschodnie (obszerny wstęp) t. 1, PTK, Warszawa 1926

- 18) „Głos Tucholski”, IV: 1932, nr 23, z 23 VII
- 19) Ludwik Zabrocki: Gwara Borów Tucholskich. Szkic historyczno-genetyczny. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 1934
- 20) Zdzisław A. Rajewski: Nowe materiały do pradziejów Pomorza (z pow. chojnickiego i Tucholskiego (5 tabl.), (w:) „Zapiski Towarzystwa Naukowego w Toruniu”, Rok 1934, tom IX, zeszyt 9—12, s. 193—202
- 21) „Głos Tucholski”, I: 1929, nr 107, z 25 XI
- 22) Jan Szykiewicz: Muzeum Regionalne w Tucholi (w:) „Gryf”, R. 8. 1931—1932, nr 3 (druk 1932), s. 34—36
- 23) „Głos Tucholski”, III: 1931, nr 119, z 13 X
- 24) AP-B, zesp. Urząd Wojewódzki Pomorski w Toruniu, sygn. 411
- 25) „Głos Tucholski”, VII: 1935, nr 71, z 20 VI
- 26) „Głos Tucholski”, XI: 1939, nr 56, z 15 VII
- 27) Janusz Umiński: Z badań nad historią organizacji i instytucji krajoznawczo-turystycznych w regionie bydgoskim w latach 1900—1939 (w:) Problemy turystyki i kultury fizycznej w regionie bydgoskim, Bydgoskie Towarzystwo Naukowe, Warszawa — Poznań 1975, s. 29
- 28) Ibid., s. 30
- 29) Włodzimierz Jastrzębski: Terror i zbrodnia. Eksterminacja ludności polskiej i żydowskiej w rejencji bydgoskiej w latach 1939—1945. Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1974, ss. 140—141



Jubileusz Edwina F. Kozłowskiego

W dniu 7 maja br. w siedzibie Zarządu Oddziału PTTK Gdańsk-Zaspa odbyła się jubileuszowa uroczystość z okazji 30-lecia pracy publicystycznej i 25-lecia pracy autorskiej kolegi redaktora **Edwina F. Kozłowskiego**, kierownika Pracowni Regionalnej PTTK w Gdańsku.

Kol. Kozłowski podczas swej działalności na przestrzeni tych lat napisał — jak nam oświadczył — około 3600 notek i artykułów oraz

wydał 8 książek o tematyce turystyczno-krajoznawczej.

Na spotkanie przybyło ponad trzydzieści osób. Dorobek autorski i publicystyczny Jubilata przedstawił kol. **Czesław Skonka**. Jubilat otrzymał ogromną ilość kwiatów i wiele nagród, prezentów i wyróżnień, zarówno od różnych instytucji, jak również od osób prywatnych. Pięknie wystąpiła delegacja ze Starogardu, reprezentująca Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej na czele z prezesem mgr. **Fal-**

kowskim i dr. **Milewskim**, od której kol. Kozłowski otrzymał piękną rzeźbę kwiatów kociewskich. Na spotkaniu odczytano również wiele telegramów i listów gratulacyjnych jakie otrzymał Jubilat, m. in. Zarządu Głównego PTTK w Warszawie i prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia Autorów Polskich. Całe spotkanie upłynęło w nastrawie ciepłej i rodzinnej atmosfery przy kawie i doskonałych ciastkach.

W. K. W.



Dziesięciolecie Oddziału PTTK „Lubiana”

W dniach 26—28 sierpnia 1988 r. w Ośrodku Wczasowym Zakładów Porcelany Stołowej „Lubiana” w Lubianie, nad Jeziorem Granicznym, odbyła się uroczystość związana z 10-rocznicą działalności Oddziału PTTK „Lubiana”, połączona z Ogólnopolskim Kaszubskim Splywem Kajakowym Ceramików.

Splyw kajakowy, w którym wzięło udział 287 uczestników z całego kraju, odbył się na trasie Jezioro Graniczne — rzeka Graniczna — Jezioro Osuszyno — Jezioro Gar-

czyn — Jezioro Graniczne. Komandorem splywu był prezes Oddziału PTTK „Lubiana” **Jan Gromowski**.

Na zakończenie tej imprezy w niedzielę, 28 sierpnia kol. J. Gromowski dokonał podsumowania działalności Oddziału w minionym dziesięcioleciu. Oddział PTTK „Lubiana” posiada między innymi bardzo żywotne i prężnie działające sekcje: kajakową, motorową i krajoznawczą, które przeprowadziły w tym okresie wiele doskonałych zorganizowanych imprez.

W uroczystości związanej z 10-leciem Oddziału wzięli udział licznie zaproszeni goście zarówno ze strony władz wojewódzkich z Gdańska, jak i ze strony władz miejsko-gminnych z Kościerzyny. Wręczono jubilatowi wiele nagród i dyplomów, a wyróżniający działacze zostali odznaczeni Honorowymi Odznakami „Zasłużony Działacz Turystyki”, jak również Złotymi i Srebrnymi Honorowymi Odznakami PTTK.

W. K. W.

Od kilku lat jestem czytelnikiem kwartalnika „Jantarowe Szlaki”. Podobno kwartalnik ten obejmuje swoim zasięgiem województwo olsztyńskie. Piszę podobno, dlatego że nasze województwo w artykułach „Jantarowych Szlaków” to biała plama. O ile zagadnienia związane z Trójmiastem, Pojezierzem Kaszubskim, Żuławami, czy innymi terenami wokół Gdańska są rozpracowane do ostatniego szczegółu o tyle artykuły dotyczące naszego województwa można policzyć na palcach jednej ręki. Jeżeli się już coś

pisze, to o Wielkich Jeziorach Mazurskich leżących na terenie województwa suwalskiego.

Województwo olsztyńskie podobnie jak województwo gdańskie czy elbląskie, posiadają bardzo ciekawą historię, jest też tutaj wiele ciekawych zabytków np. Grunwald, Kanał Elbląski, Olsztyn, Lidzbark warmiński i inne.

Myślę, że w „Jantarowych Szlakach” pojawiają się w końcu artykuły o naszym województwie. Jeżeli brakuje autorów to sam mogę coś napisać, ponieważ zajmuję się zna-

kowaniem i opisywaniem szlaków turystyki pieszej w naszym województwie.

Z turystycznym pozdrowieniem

Jan Żebrowski

Ostróda, ul. 21 Stycznia 18/2

Od Redakcji: Przyznajemy naszemu Czytelnikowi rację. W ostatnim okresie w naszym kwartalniku nie ma zbyt wiele artykułów o województwie olsztyńskim.

List naszego czytelnika traktujemy jako apel do wszystkich działaczy olsztyńskich. Piszcie do nas o swoim regionie. Czekamy na Wasze artykuły!

Kazimierz Jaśkiewicz

BALTEXPO '88

Już po raz czwarty odbyła się w Gdańsku w dniach 6–9 września br. Międzynarodowa Wystawa Morska BALTEXPO'88. Wystawa — w całości poświęcona gospodarce morskiej — jest jedyną tego rodzaju w krajach RWPG, a o jej rosnącym znaczeniu świadczy fakt ciągłego wzrostu liczby uczestników i różnorodności tematycznej. W BALTEXPO'88 uczestniczyło 407 wystawców (170 krajowych i 237 zagranicznych) z 21 krajów. Oprócz tradycyjnych, rozbudowanych stoisk narodowych Danii, Finlandii, Norwegii, Szwecji, RFN, Holandii, Wielkiej Brytanii i — po raz pierwszy w tym roku — ZSRR, można było oglądać oferty przedstawicieli Bułgarii, Czechosłowacji, Węgier, Austrii, Belgii, Brazylii, Francji, Hiszpanii, USA, Japonii, Włoch i Szwajcarii. Ilościowo dominowały oczywiście oferty polskie skupione głównie w „Centromorze” (86 wystawców) i „Navimorze” grupującym 23 wystawców. W porównaniu z pierwszą Wystawą BALTEXPO'82, na której gościliśmy 154 firmy z 15 krajów, a powierzchnia terenów wystawowych wynosiła 2600 m² (obecnie 14 000 m²) jest to znaczny postęp. Jak stwierdził komisarz tegorocznej Wystawy Sławomir Majman z Przedsiębiorstwa Reklamy i Wydawnictw HZ „Apolo”, które zajęło się organizacją BALTEXPO'88 — Wystawa nie jest największą tego rodzaju imprezą na świecie, jest za to jedyną notującą ciągły rozwój.

Na stoiskach w hali „OLIVII” i w czterech specjalnie zmontowanych pawilonach, jak zwykle dominowały oferty przemysłu okrętowego, chociaż w charakterze wystawców wystąpiły także porty, linie żeglugowe, przedsiębiorstwa połowów i przetwórstwa ryb, stocznie remontowe, uczelnie, spółdzielnie, biura projektowe i spółki, których działalność nie zawsze dotyczy typowo morskiego profilu. Do najciekawszych eksponatów należały elementy wyposażenia statków, jak np. modele silników okrętowych, układy sterownicze, systemy nawigacyjne, sprzęt informatyczny, echosondy, radary, urządzenia elektryczne i energetyczne, środki łączności zewnętrznej i wewnętrznej. Uwagę zwiedzających przyciągały ruchome modele stabilizatorów, specjalistyczny sprzęt ratowniczy, wyposażenie nurka i pletwonurka. Ferią barw kusily monitory komputerów i urządzeń radarowych, a na zewnątrz podziwiać można było egzemplarze jachtów, łodzi motorowych i innego sprzętu pływającego z... rowerem wodnym włącznie.

Zgodnie z tradycją Wystawę wspomagały liczne imprezy towarzyszące. Niewątpliwie najważniejszą było zorganizowane pod patronatem Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ seminarium zatytułowane „Budownictwo okrętowe

2000”. Na uwagę zasługiwało też symposium „Polsko-zachodniemiecka współpraca w gospodarce morskiej — dziś i jutro”, a także prezentacje gdańskiego Ośrodka Doradztwa i Treningu Kierowniczego na temat tzw. przedsiębiorstwa sieciowego oraz spotkania organizowane przez poszczególne grupy wystawców. BALTEXPO'88 stała się okazją do wydania specjalnych numerów polskich i zagranicznych pism fachowych ze słynnym brytyjskim „Lloyd's List” na czele. Dość nieoczekiwanym przedmiotem transakcji stały się dzieła sztuki zdobiące w trakcie Wystawy stoisko „Handlomurow”. Dzięki temu obrazy kilku gdańskich artystów zmieniły właściciela, aby przejąć nowe funkcje już jako elementy wystroju statkowych, jak należy przypuszczać, wnętrz.

Wartość BALTEXPO dla rozwoju polskiej gospodarki morskiej, dla rozszerzenia międzynarodowych kontaktów, wreszcie dla wymogu konieczności nądzania za światem, jest bezsporna. Przez te cztery dni Gdańsk był prawdziwą Mekką dla szerokiego rzesz inżynierów, techników i ekonomistów różnych, niekoniecznie „morskich” specjalności, znajdujących — tu bez wż i dewiz! — żywy kontakt z tym, co w światowej gospodarce morskiej najnowsze i najciekawsze. Tu podpisywano umowy, nawiązywano kontakty, które być może ukształtują przyszłość wielu firm, tu spotykali się liczni kooperanci naszych stoczni. Jest to więc impreza przede wszystkim dla fachowców, ale czy tylko? Czy BALTEXPO ma szansę stać się także atrakcją turystyczną stanowiącą akcent lokalnego kolorytu, tak

istotny dla miasta, jak np. Targi dla Poznania?

Wydaje mi się, że odpowiedź powinna być twierdząca. Atrakcyjność wielu stoisk — nie tylko merytoryczna, również plastyczna — sprawia, że Wystawa może być także odbierana przez laików potrafiących docenić walory poszczególnych ekspozycji, ich niepowtarzalność i wysmakowaną często finezję. Atmosfera Targów, powiew wielkiego biznesu może oczywiście stanowić przedmiot snobistycznych skłonności, ale przypomina także, że świat wcale nie musi być szary i bylejaki. Dla tzw. przeciętnego turysty — zwłaszcza, jeśli jest nim człowiek młody — wizyta na BALTEXPO może zaowocować skierowaniem zainteresowań w stronę spraw morskich. Może to jest właśnie jeden z lepszych sposobów na wypracowanie w świadomości polskiego społeczeństwa tezy, że „Polska — krajem morskim” to nie tylko slogan? Kształtowaniu takiego myślenia sprzyja spora ilość okazjonalnych publikacji w periodykach i prasie codziennej — często są to cenne materiały syntetyzujące rozważania na temat kondycji współczesnej Polski morskiej. BALTEXPO to wreszcie przypomnienie, że handlowe i morskie tradycje Gdańska liczą już wieki całe. Potężne niegdyś centrum morskiego handlu znajduje dobrą kontynuację swego dawnego znaczenia w różnorodnym gwarze gości „Olivii”.

Po BALTEXPO'86 wydawca „Lloyd's List” I. L. Smith powiedział „...to jest wystawa, w której należy uczestniczyć”. Z pewnością nie myślał wyłącznie o wystawcach.

UWAGI

UWAGI

Redakcja zawiadamia P.T. Czytelników, że posiadamy ograniczoną ilość roczników „Jantarowych Szlaków” z lat: 1982, 1983, 1984. Ponadto dysponujemy pewną liczbą egzemplarzy numerów archiwalnych z lat: 1972 (nr 5, 6—7, 12), 1974 (1—2, 3), 1975 (4, 11—12), 1985 (1, 2, 3), 1986 (3), 1987 (2, 3, 4).

Ceny egzemplarzy z lat siedemdziesiątych: 40 zł, z lat 1982—85: 60 zł, z roku 1986: 75 zł. Cena rocznika wynosi 220 zł.

Wysyłka zamówionych egzemplarzy nastąpi — na koszt zamawiającego — po otrzymaniu formalnego zamówienia (instytucje). Osoby prywatne otrzymają po zgłoszeniu zamówienia, odpowiedni rachunek i wysyłka będzie realizowana po przesłaniu redakcji dowodu wpłaty. Numery archiwalne można także nabywać bezpośrednio w siedzibie Redakcji w Gdańsku przy ul. Ogarnej 72 (Krowia Brama) w czwartki w godz. 10.00—16.30. Nasze konto: ZO PTTK w Gdańsku. NBP II O/M Gdańsk. Nr 19028-1690-132 z zaznaczeniem „Jantarowe Szlaki”.

J. Maciejewski, J. Załęski. Gmina Malczyce. Inwentaryzacja krajoznawcza województwa wrocławskiego. Zeszyt 8. Oddział Wrocławski PTTK. Wrocław 1987. Nakład 1000 egz. Cena 100,— zł.

Publikacja stanowi wyczerpujące kompendium wiedzy turystycznej o omawianym regionie podając szczegółowe opisy 13 miejscowości i znajdujących się w nich obiektów turystycznych. W części ogólnej autorzy przedstawiają położenie geograficzne, dzieje, gospodarkę i zagospodarowanie turystyczne gminy. Całość jest bogato ilustrowana planami miejscowości i 64 fotografiami obiektów, a ważnym uzupełnieniem jest mapa gminy Malczyce.

K.J.

Franciszek Pabich: Mały Leksykon Chojnicki, wyd. Muzeum Historyczno-Etnograficzne w Chojnicach, Chojnice 1987, ss. 99, nakład 3000 egz., cena 300 zł.

Mały Leksykon Chojnicki zawiera w postaci ułożonych alfabetycznie hasel wszystkie najważniejsze wydarzenia z dziejów Chojnic, od czasów pierwszej wzmianki historycznej z 1275 r. do czasów współczesnych.

Autor Leksykonu, **Franciszek Pabich**, znawca regionu, artysta malarz, a także znany licznym kolekcjonerem przez publikacje poświęcone historii papiernictwa i filigranistyce, z niezwykłą starannością, ale także z osobistym spojrzeniem, dał specyficzną odpowiedź na społeczne zapotrzebowanie na wiedzę regionalną, niezbędną zarówno mieszkańcom Chojnic, jak również licznym turystom i krajoznawcom.

O popularyzację wiedzy w Chojnicach dba z niezwykłą starannością lokalne Muzeum Historyczno-Regionalne, zaskakujące niejednokrotnie miłośników regionu trafnym doбором swoich publikacji.

J.K.

Jerzy Malinowski: Leon Wyczółkowski, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987, ss. 46, nakład 40 000 egz., cena 150 zł.

Wydana w serii „ABC sztuki” mała monografia, poświęcona **Leonowi Wyczółkowskiemu** (1852—1936), malarzowi, grafikowi i pedagogowi, poszerza w popularny sposób wiedzę o roli tego artysty w dziejach sztuki polskiej w początkach i pierwszej połowie XX w.

Jego twórczość, ceniona już za życia artysty, weszła na trwałe do skarbnicy kultury polskiej. Stała się ona także przedmiotem znacznego zainteresowania krajoznawców Pomorza. W latach 1922—1936 w podbydgoskim dworku w Gościeradzu, ofiarowanym przez społeczeństwo Wielkopolski, stworzył artysta wiele prac o tematyce przyrodniczej, a miejscem jego inspiracji i wędrówek twórczych były okolice Bydgoszczy, Koronowa i Bory Tucholskie. Obok wysokich wartości artystycznych, dzieła artysty po raz pierwszy zwróciły uwagę na przyrodniczą atrakcyjność wielu fragmentów pomorskiego krajobrazu. Reprodukowane już w okresie międzywojennym we wielu czasopiśmie inspirowały do zwiedzania niezwykle atrakcyjnych przyrodniczo terenów w okolicach Koronowa, rezerwatu „Cisy staropolskie” we Wierchlasie i malowniczych brzegów Brdy. Znaczący zbiór jego dzieł, stał się załącznikiem wielkiej kolekcji w Muzeum Okręgowym w Bydgoszczy, które jest spadkobiercą pamiętek osobistych i warsztatu artysty z tego okresu.

Leon Wyczółkowski stał się także patronem liczących poczynają bydgoskiego środowiska turystów zrzeszonych w PTTK. Jego imię nosi jeden z podbydgoskich szlaków turystycznych, a w 1983 r. Zarząd Wojewódzki PTTK w Bydgoszczy

ustanowił „Medal im. Leona Wyczółkowskiego” — najwyższe honorowe wyróżnienie regionalne nadawane za wybitne zasługi dla PTTK w województwie.

J.K.

Jan Malinowski: Mariana Turwida twórcze i działalność. Refleksje z kręgu kultury wielkopolsko-pomorskiej, wyd. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1987, wyd. I, ss. 303, nakład 800 egz., cena 400 zł.

Publikacja poświęcona życiu, twórczości i działalności społecznej na niwie kultury **Mariana Turwida**, artysty malarza, pisarza i publicysty, twórcy i inicjatora wielu przedsięwzięć kulturalnych w Wielkopolsce, a od 1945 r. w Bydgoszczy.

Książka, bez której wiedza o życiu kulturalnym miasta zawsze będzie niepełna, przydatna jest w szczególności zaawansowanym krajoznawcom i przewodnikom turystycznym, zwłaszcza, że zawiera bibliografię twórczości literackiej i spis dzieł malarskich Turwida.

J.K.

Miejsca Pamięci Narodowej w granicach dawnego powiatu mogileńskiego, zebrał i opracował Antoni Wesołowski, wyd. Urząd Wojewódzki w Bydgoszczy i Mogileńskie Towarzystwo Kulturalne, Mogilno 1987, ss. 155, nakład 1000 egz., cena 500 zł.

Publikacja, obejmująca południową część województwa bydgoskiego między Trzemesznem, Mogilnem, Strzelnem i Pakościami, zawiera opisy i fotografie miejsc pamięci narodowej z lat 1794—1864, 1918—1919 i 1939—1945 znanego krajoznawcy i artysty fotografika **Czesława Woźnego**.

W treści artykuły: „Ziemia mogileńska w okresie okupacji hitlerowskiej”, **Czesława Łuczaka** (referat wygłoszony na sesji popularno-naukowej w Mogilnie 17 listopada 1966 r.) i „Wyzwolenie z niewoli pruskiej 1918—1919” **Zdzisława Grota** (fragment z monografii „Studia z dziejów ziemi mogileńskiej”).

Niestety, nakład jej w ilości 1000 egzemplarzy nie zaspokoi wszystkich zainteresowanych. Szkoda wielka. A może wydawca pokusił się o drugie wydanie.

J.K.

Wiesław Zajączkowski: Biskupin — rezerwat archeologiczny, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1987, ss. 56, nakład 29 700 egz., wyd. I, cena 100 zł.

Popularny przewodnik uwzględniający aktualny stan ekspozycji przestrzennej Państwowego Muzeum Archeologicznego w Biskupinie. Zawiera podane w popularnej formie informacje o unikatowym w Europie rezerwacie archeologicznym. Wewnątrz: mapka sytuacyjna i plan rozmieszczenia ekspozycji na terenie rezerwatu.

Nowością w stosunku do innych wielokrotnie wydawanych przewodników i informatorów o Biskupinie są aktualne dane o rozmiarach ekspozycji i szereg danych liczbowych wynikających ze stale prowadzonych badań nad prehistoryczną osadą biskupińską.

Przewodnik zawiera ponadto wziętą informację o pracach z zakresu archeologii doświadczalnej, której zadaniem jest rekonstrukcja różnych przejawów działalności dawnych grup ludzkich w osadzie, w tym hodowli koników polskich, a od 1984 r. owiec wroszówek i kóz oraz prób nad rekonstrukcją uprawy i roślin z okresu wczesnej epoki żelaza.

J.K.

Biuletyn Przewodnicki. ZW PTTK Włocławek Nr 52/88.

W cyklu prezentacji środowiska geograficznego i przyrodniczego województwa włocławskiego **I. Pietruszczak** przedstawia Kotline Włocławskie. Do historii dawnej i nowszej Włocławka nawiązują artykuły **T. Sławińskiego**, **O. Krut** i **J. Jabczyńskiego**, a w ramach „Notatek z przyrody” **W. Cyman** daje krótką charakterystykę jawora i fiołka leśnego.

K.J.

Biuletyn Przewodnicki. ZW PTTK Włocławek Nr 53/88.

Województwo włocławskie rozpatrywane w aspekcie zagrożeń środowiska naturalnego i możliwości surowcowych — oto treść wiodących artykułów Biuletynu autorstwa **I. Pietruszczak** i **J. Adamskiego**. O wybitnych postaciach Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej piszą **M. Krajewski** i **R. Depta**, a w tradycyjnym „Zielniku” znajdujemy tym razem zdrojówkę rutewkową i klon zwyczajny.

K.J.

Informator krajoznawczy. Oddział Wrocławski PTTK. Zeszyt 51.

Kontynuacja cyklu o dolnośląskich kalwariach jest szkic **S. Jastrzębskiego** i **K. R. Mazurskiego** o kalwarii w **Marianskiej Dolinie** w Klodzku. **R. Wytyczak** pisze o pierwszej encyklopedii sudeckiej **Johanna Bernda** z 1828 r. O bazaltowych gołoborzach Ostrzycy przeczytać można w artykule **K. Maciejaka**, natomiast o pracownianem o wartościach poznawczych ponadregionalnych jest z pewnością szkic **H. Grügera** „Cystersi na Śląsku i ich znaczenie dla barokowej pobożności i kultury”.

K.J.

Isabella Trojanowska. Wsie letniskowe nad Jeziorami Raduńskimi. Centralny Ośrodek Informacji Turystycznej — Oddział w Gdańsku. Gdańsk 1988. Nakład 10 tys. egz., stron 24, cena 200 zł.

Niezwykle aktywny edytor, jakim jest gdański Oddział COIT-u wydał informator **I. Trojanowskiej**, prezentujący 12 wsi letniskowych leżących w centrum Pojezierza Kaszubskiego. Autorka podaje najistotniejsze wiadomości historyczne, geograficzne i krajoznawcze dotyczące Brodnicy Dolnej i Górnej, Chmielna, Czapielskiego Młyna, Golubia, Krzesznej, Ostrzyc, Rebozowa, Stężyca, Szymbarka, Wieżycy i Zgorzałego. Charakterystyki miejscowości są wzbogacone informacjami o najbliższej okolicy przedstawianej z punktu widzenia miejscowych atrakcji turystycznych. Opisy miejscowości zawierają informacje praktyczne (baza żywieniowa, komunikacyjna itp). Tekst uzupełniają barwne fotografie i mapka. Adresatami publikacji są indywidualni i zbiorowi amatorzy turystyki, których w tym pięknym zakątku naszego kraju niedy nie brakuje. Załować należy, że publikacja ukazała się dopiero pod koniec sezonu 1988.

K.J.

Wedrowiec Lubelski. Biuletyn ZW PTTK w Lublinie Nr 1/12/87.

Oprócz zwykłych aktualności numer zawiera szkice prezentujące Lubelski Klub „Rochochodnik”, Akademicki Klub Turystyki Rowowej „Wentyl” i Oddział PTTK w Naleczowie. Kajakowy szlak rzeka Biała przedstawia **H. Lewicki**, a **A. Wasilewski** przypomina szkoleniową wycieczkę lubelskich organizatorów turystyki.

K.J.

Wędrowiec Lubelski. Biuletyn ZW PTTK w Lublinie Nr 2/13/87.

Oryginalnym artykułem wstępnym jest przypomnienie treści dokumentu wystawionego przez Władysława Łokietka w Krakowie w 1317 r., a nadającego Lublinowi prawo magdeburskie. Historią krajoznawstwa na Lubelszczyźnie zajmuje się w obszernym szkicu M. Pajdowski, a staropolskie obyczaje opisuje B. Wasilewski. Kontynuacją z poprzedniego numeru jest materiał J. Kaczora i E. Miśztała o działalności Klubu „Wentyl”. W ramach aktualności zamieszczono m. in. artykuł J. Targoniskiej o XVII Centralnym Zlocie Aktywu Krajoznawczego i M. Wyszowskiego o spotkaniu Kręgu Seniorów PTTK.

K. J.

Wypoczynek nad morzem oferują.. Centralny Ośrodek Informacji Turystycznej — Oddział w Gdańsku. Gdańsk 1988. Nakład 40 tys. egz.

Publikacja stanowi pięknie wydany informator oferujący usługi zleceniodawców czyli siedmiu nadmorskich regionalnych biur turystycznych: szczecińskiej „Pomeranii”, kolobrzeskiej „Bałtywii”, słupskiego „Przymorza”, władysławowskiego „Helu”, „Kapielińska Morskiego Sopot”, „Gdańsk — Touristu” i elbląskiego „El-Touristu”. Każde z tych biur mając do dyspozycji dwie stroniczki zamieściło wszystkie istotne dane na temat swojej działalności ze szczegółowym wykazem adresów i telefonów, punktów informacyjnych, hoteli, campingów itd. Tekst podany jest w ustalonym identycznym dla wszystkich biur porządku, co ułatwia szybkie znalezienie informacji. Część tekstową uzupełnia bogata, barwna szata graficzna (opracowanie Zdzisława Walickiego) z poglądową mapą naszego Wybrzeża, wieloma fotografiami i odpowiednio wkomponowanymi znakami plastycznymi poszczególnych biur. Całość — wydrukowana na dobrym, kredowym papierze — stanowi niezwykle pożyteczny materiał informacyjny dla wszystkich organizatorów wycieczek zbiorowych i turystów indywidualnych.

K. J.

Barbakan Warszawski. Biuletyn Stołecznego ZW PTTK Nr 1/127.

W ramach cyklu „Poznajemy nasz region” St. Osman przedstawia Warszawę jako „kurort”, a W. Ciszewski opisuje zespół parkowo-pałacowy w Radziejowicach. Czy zwycięży rozsądek zastanawia się K. Mering, okazując perypetie związane z zagospodarowaniem łuku siekierowskiego. Aktualności regionalne i omówienie nowości wydawniczych stanowią uzupełnienie numeru. Zakończenie to, jak zwykle, reprodukcje plakatów, proporczyków, stempli i znaczków turystycznych.

K. J.

Barbakan Warszawski. Biuletyn Stołecznego ZW PTTK Nr 2-3/128—129.

Turystów szukających informacji krajoznawczej z pewnością zainteresują artykuły St. Osmana przedstawiające Czerwińsk nad Wisłą i tajemnicze mazowieckiej wsi Miedniewice. T. Kowalik przedstawia wrażenia z wycieczki na budowę stacji metro Ursynów, a M. Foland pisze o dawnych warszawskich karczmach. Obszerny i ładnie ilustrowany szkic A. Korgoła poświęcony ochronie zabytków i tradycji z tym związanym również zainteresować znawców przedmiotu. Inte-

resującym punktem numeru jest dokonany przez W. Ciszewskiego przegląd ośrodków OZGT PTTK w Warszawie i województwie stołecznym.

K. J.

Barbakan Warszawski. Biuletyn Stołecznego ZW PTTK Nr 4-5/130—131.

Najnowszy numer warszawskiego biuletynu otwiera efektownie ilustrowany „Powrót drzwi płockich” Z. Drogosz. Temat płocki kontynuuje M. Foland przedstawiając słynne zbiory tutejszego muzeum (Płocka secesja). Okolice Mińska Mazowieckiego prezentuje W. Rutkowski, a o historii Politechniki Warszawskiej pisze T. Kowalik. Oprócz licznych aktualności numer zawiera ciekawie skonstruowany opis trasy rajdu kolarskiego „Szlakiem wielkiej wojny 1409—1411”, a w cyklu „Kolekcjonerstwo turystyczne” jest tym razem mowa o pocztówkach PTTK.

K. J.

Informator o obiektach PTTK. Wydawnictwo PTTK „Kraj”. Warszawa 1988. Nakład 20 tys., stronic 256, cena 600 zł.

Zasadniczą część informatora poprzedzona jest regulaminami PTTK odnoszącymi się do obiektów turystycznych. W książce zastosowano układ terenowy, wojewódzki, według porządku alfabetycznego. Opisy dotyczą stanic wodnych, campingów, zajazdów, obozowisk, schronisk i domów turysty. Każdy opis zawiera dokładną charakterystykę obiektu wymieniając np. ilość miejsc, urządzenia i usługi, możliwości wyżywienia itp. Kilkudzianowa prezentacja miejscowych atrakcji turystycznych i pobliskich szlaków turystycznych, a niekiedy także fotografia obiektu, niewątpliwie zwiększa atrakcyjność opisu. Cennym uzupełnieniem informatora jest skorowidz wszystkich wymienionych obiektów.

K. J.

Ks. Stanisław Bogdanowicz. Katedralna Bazylika Mariacka w Gdańsku. Gdańsk 1988. Nakład 20 tys. egz. s. 136, cena 300 zł.

Książka znakomicie wypełnia lukę wydawniczą między wielostronicowymi przewodnikami miejskimi prezentującymi siłą rzeczy wszystkie atrakcje turystyczne Trójmiasta, a niskonakładowymi, zgrzebnie wydawanymi broszurami poświęconymi kościołowi NMP. Czytelnik otrzymuje atrakcyjnie wydany, bogato ilustrowany przewodnik przekazujący historię dawną i najnowszą, a także przekształcenia architektoniczne i obiekty wewnętrzne świątyni. Największą bodaj zaletą książki jest jej aktualność: autor — z kompetencją — właściwą gospodarzowi świątyni — przedstawia bazylikę i jej wnętrze wg stanu na początek roku 1988. Przewodnika nie trzeba właściwie reklamować — jego powodzenie wśród licznych rzesz miłośników Gdańska jest pewne. Mankamentem wydawnictwa są nie zawsze wyraźne fotografie i miękkie okładki. W najbliższym czasie zamieścimy recenzję.

K. J.

Bogusław Kreja. Nazwy miejscowe Kociewia i okolicy. Regionalna Pracownia Krajoznawcza PTTK w Gdańsku. Gdańsk 1988. Nakład 2 tys. egz. s. 158, cena 300 zł.

Praca B. Kreja wychodzi naprzeciw rosnącemu ciągle zainteresowaniu pochodzeniem i historią nazw poszczególnych miejscowości. Autor przedstawia wybór przeszło 230 nazw z obszaru byłych powiatów starogardzkiego, świeckiego, tczewskiego i kościerskiego. Głównym kryterium wyboru była długość i interesująca historia jakiejś nazwy, chociaż autor przyznaje, że nie unikał — a wręcz przeciwnie! — nazw nasuwających problemy interpretacyjne. Konsekwentnie przestrzegana dyscyplina konstrukcyjna (część słowna, szeroki wybór zapisów dokumentacyjnych, komentarz objaśniający nazwę oraz prezentacja nazw identycznych lub podobnych) przy wzorowym opracowaniu redaktorskim sprawia, że otrzymaliśmy książkę, w której interesująca treść ujęta została w przejrzystej i precyzyjnej formie. Gorąco polecamy.

K. J.

Zaprosili nas:

- Oddział PTTK Lubiana w Lubianie na uroczystości związane z 10-rocznicą powstania Oddziału i X Ogólnopolskim Spływem Kajakowym rzeką Graniczną i jeziorami kaszubskimi Graniczne, Osuszyno i Garczyn w dniach 26—28 sierpnia 1988 r.
- Zarząd Główny PTTK w Warszawie na Centralny Zlot Aktywu Krajoznawczego we Wdzydzech Kiszewskich w dniach 1—3 września 1988 r.
- Zarząd Oddziału PTTK przy Stożcu im. Komuny Paryskiej w Gdyni na spływ kajakowy „Złote Liście” w październiku 1988 r. w Wierzyca.

Na str. 1 okładki: Widok na wzniesiony budynek reaktorowni (na pierwszym planie fundament pod komin wentylacyjny). Fot. S. Wiesiołowski. Na str. 4 okładki: Kościół Św. Mikołaja w Gdańsku. Widok od strony południowo-wschodniej. Fot. M. Kalinowski.

Numery bieżące i archiwalne można nabywać w Gdańsku: Regionalna Pracownia Krajoznawcza, ul. Ogarna 72, parter, II wejście i w redakcji kwartalnika. Ponadto numery bieżące można nabyć: w Bydgoszczy — w Regionalnej Pracowni Krajoznawczo-Metodycznej, al. Ossolińskich 25; w Gdańsku — Oddział PTTK, ul. Długa 45, parter, oraz w księgarniach Domu Książki również na terenie województwa gdańskiego; w Szczecinie — BORT PTTK, al. Jedności Narodowej 49a; w sklepie pamiątkarskim PTTK przy ul. Ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego 28, w Regionalnej Pracowni Krajoznawczej, ul. Dworcowa 6 oraz w BORT PTTK w Koszalinie, ul. Świerczewskiego nr 4.

UWAGA!

Redakcja zawiadamia odbiorców kwartalnika, że z dniem 1 stycznia 1989 roku roczna prenumerata wynosi 800,— zł. Cena pojedynczego egzemplarza 200,— zł. Prenumeratory otrzymają bezpłatnie spis treści z poprzedniego roku.

Redakcja

UWAGA!

jantarowe szlaki

